

S p i s T r e ś c i

L/P	T e m a t	str.
1.	Wprowadzenie	1
2.	Na rozdrożu	20
3.	Odlet	31
4.	W zakazanej strefie	36
5.	Powitanie	58
6.	Wygnanie	72
7.	Skazanie na pokutę	74
8.	<u>Życie w grobowcu</u>	94
9.	Adaptacja do warunków kace ^{to} _{wych}	96
10.	Charakterystyka lokat. bunkra	100
11.	Śledztwo i nadgraniczne perypetie	122
12.	<u>Za kratami</u>	138
13.	Życie więzienne	148
14.	Porządek więziennego dnia	151
15.	Los kota w worku	171
16.	<u>Za^a drutami</u>	176
17.	Funkcjonowanie obozu	192
18.	Aparat obozowy	194
19.	Porządek dnia	196
20.	Obozowy wikt	203
22.	Pojęcie muzulmana	208
22.	Obozowe życie	215
23.	W karczerze	230
24.	W mi ^u skim więzieniu	250
25.	Robyt w drugiej celi	258
26.	Przeżycia własne	285
27.	Rozprawa	296
28.	W szponach obozu Wołkowyskie	303

lp.	temat	strona
29.	Charakterystyka obozu	331
30.	Konstrukcja i wyposażenie ziemianek	334
31.	Wrastanie w jałowy grunt	345
32.	Na odziale U P - e	372
33.	Samosąd	394
34.	Pożegnani z życiem obozowym	402
35.	Rozstanie z Krajem Rad	419
36.	Powtórne spotkanie z P R L.	431
37.	Kto nas wybawił	461
38.	Kilka słów o zaginionych w radzieckich łagrach	463
39.	Rozczarowanie P R L - em	471
40.	Czy warto powracać do przeszłości	486

Ewentualne tytuły

1. Wspomnienie byłego muzulmanina Nr 6746
2. W zajętej strefie
3. Odrzutek
4. Łagrowa edukacja
5. Wymuszony wjazd

Oludier Nicerepsitel
ul: Mickiewicza 68/8
Moro Baryczowo
Telex 522920 Olszyc.

Wprowadzenie

II/1857

Wydarzenia i związane z nimi moje przeżycia, które postanowiłem przekazać potomnym, zaczęły się od jednej głupawej decyzji. W konsekwencji zaprowadziła mnie ona jeżeli nie do piekła, to na pewno do czyśćca w ludzkim wydaniu, przeznaczonego dla istot znajdujących się wówczas na najruchliwszym żrakuie prowadzącym z ziemi do niebios. Tam dokonywano rozliczenia z nieprawomyślnych występków po czym, na ogół w zależności od kondycji delikwenta, wcześniej lub później wysyłano w przyspieszoną podróż do wieczności.

W życiu codziennym spotyka się głupotę dosyć powszechnie, ale zazwyczaj nikt nie lubi się do niej przyznawać. W moim przypadku żadne wykręty nie wchodziły w rachubę, ponieważ popełniłem głupotę w postaci czystej i dość oryginalnej. Jeżeli przydarzy się potknięcie w podjęciu ryzykownej decyzji, jeżeli z kilku alternatyw wybieramy niewłaściwą, jeżeli wreszcie z nieświadomości wyniknie niedorzeczność, mówi się trudno - popełniliśmy błąd. Streszczając krótko, moje przedsięwzięcie zaliczyć trzeba do gatunku tych, które określa się mianem "szukania guza na głowę".

Jak bowiem inaczej określić postępowanie osobnika, który z premedytacją wchodzi w kolizję z prawem bez wyraźnej potrzeby ?

W celu lepszego zrozumienia wypada zapoznać Czytelnika z okolicznościami mającymi pośredni wpływ na wspomniane postanowienie. Otóż działo się to dawno temu, w roku 1947, na obszarze północno-wschodnim II Rzeczypospolitej. Tam zrodził się w mojej głowie pomysł naruszenia granicy nowożytnego imperium.

Zarówno miejsce, jak i nastroje tamtych czasów cechowała specyfika podsycająca namiętności ludzkie. Nie sądzikem,

że uczynek mój może spowodować srogi gniew kolosa. Wychodziłem naiwnie z założenia, że zrobienie małej dziury w płocie liczącym kilka tysięcy kilometrów nie wyrządzi zauważalnej szkody. Sąd mogłem wówczas wiedzieć, iż nie był to zwyczajny płot, lecz żelazna kurtyna chroniona orężem i sankcjami dekretów, i że tych co ośmielają się ją naruszyć traktuje się na równi z przestępcami podnoszącymi rękę na władzę.

Muszę dodać, że w owych czasach dla miejscowej ludności wszelkie zarządzenia i ustawy prawne pozostawały abstrakcją. Już ósmy rok egzystowała ona z prawem na bakier w niekończącym się konflikcie z władzami. Cały urok życia poddanych polegał na łamaniu, omijaniu, a w najlepszym przypadku lekceważeniu wszelkiego rodzaju norm prawnych lub administracyjnych, ich nieskuteczność dostarczała faktycznie jedynego im zadowolenia. Czy można oczekiwać od młodego obywatela, który w takich warunkach wyrósł, spędził połowę swego krótkiego życia, żeby był inny? Żeby szanował obowiązujące nakaazy i zakazy? Musiałaby to być jednostka wyrodna...Ale nie mogło być inaczej również dlatego, że władze same nie respektowały praw przez siebie ustanowionych. Owszem, te normy prawne służące interesom aparatu państwowego przeżywały swą świetność, pędzono je w nadmiarze, większość z nich miała charakter represyjny. Wydawano je po to, by sankcjonowały przemoc i takie też usiłowano egzekwować w całej rozciągłości. Natomiast normy prawne chroniące interesy obywateli były bez skupułów gwałcone, ich rola ograniczała się jedynie do stwarzania pozorów praworządności. Rzecz zrozumiała, że ten swoisty podział nie przyczyniał się do prawidłowego funkcjonowania aparatu państwowego. W rezultacie w życiu codziennym dominowały negatywne zjawiska, oczywiście bardziej dotkliwe dla obywatela niż rządzących, ale w końcowym efekcie obie

strony nie miały pożytku z nierzędu. Wprowadzie władza jako strona silniejsza nie doznawała krzywd, ale w wyniku powszechnej obojętności i niechęci połączonych ze sprzeciwem z trudem tylko potrafiła wyegzekwować przewidziane świadczenia i posłuch. Z kłęk taka postawa społeczeństwa wytrącała władze z równowagi, w rewanżu za upór spadały na ludność liczne kary i tym sposobem diabelski krąg się zamykał. Trzeba zdać sobie sprawę, że szerzące się zło wyrastało ze specyficznego złożonego podłoża, w zarysie wypada z nim zapoznać. Ograniczę się do najważniejszych informacji nie wdając się w szczegóły i analizę głębszych uwarunkowań.

Weźmy pierwszy z brzegu problem zakończenia wojny? Delikatnie mówiąc ludność Wileńszczyzny zakończenie wojny przyjęła z mieszanymi uczuciami, na pewno nie entuzjastycznie, zaś zdecydowana większość z przygnębieniem. Aczkolwiek Wileńszczyzna złożyła ofiary jedne z największych i najbardziej krwawych i jej dalszy los pozostawał pod dużym znakiem zapytania.

Od klęski wrześniowej ludzie żyli nadzieją. Utratą niepodległości zbytnio się nie przejmowano, bowiem panowało powszechne przekonanie, iż obaj agresorzy wyjdą ze zmagania wojennych pokonani i ukarani. Pogląd ten nabrał realności, kiedy skończyła się przyjaźń zaborców i przystąpili do krwawych porachunków między sobą. Ta pomyślna sytuacja nie trwała jednak długo.

Pierwszego rozczarowania doznano, gdy dotarła wieść, że ziemia wileńska stała się kwestią sporną w rozgrywkach na arenie międzynarodowej. Początkowo niezbyt wierzono krążącym pogłoskom, a nikt nie dopuszczał myśli, aby tę ziemię miano odłączyć od Polski. Łudzono się, iż sprzymierzeńcy razem z rządem londyńskim nie dopuszczą, żeby arcyagresorowi

przyznać tego rodzaju prezent.

Z upływem czasu krążąca plotka zaczynała ludzi denerwować a osobnicy nieufni a męże bardziej przezorni zaczęli wyrażać swe opinie z pewną dozą pesymizmu. Niepewne nastroje z chwilą opanowania terenu przez akowców poszły w zapomnienie. Przez prawie pół roku ludność żyła wrażeniami prowizorycznej władzy polskiej. W tym czasie Niemcy niewiele mieli do powiedzenia. Zaistniała rzeczywistość odpowiadała wszystkim, a czy miała to być władza trwała, o tym na razie z radości nie myślano, większość zadowalał stan faktyczny. Pod opiekuńczymi skrzydłami akowców powodziło się nie najgorzej, można było nawet zapomnieć, że gdzieś trwa wojna. Niestety, spokój ten trwał krótko. Już wiosną roku 1944 wyczuwało się, że AK nie było pewne swoich racji. W udostępnianych informacjach z nasłuchu radiowego ciągle powtarzało się jedno; sprawa ziem polskich znalazła się w impasie. Większe nadzieje zaczęto pokładać, gdy sprawę tę przejął w swoje ręce Mikołajczyk. Uważano, że zdoła on doprowadzić do pomyślnego ustalenia przyszłych granic.

W międzyczasie zaczęły dochodzić odgłosy zbliżającego się frontu. W tej sytuacji wysunęła się na ozoło nie kwestia granic, lecz pytanie, co będzie teraz, już za kilka dni, z miejscową ludnością. Wycofujące się oddziały akowskie same były zdezorientowane i nie bardzo wiedziały co począć. Ich rola ograniczała się do pocieszenia, że sprawa tych ziem jest w toku załatwiania, i że dopóki to nie nastąpi będziemy chwilowo zmuszeni poddać się zarządzeniom władz radzieckich. Uważali też, że sprzymierzeńcy na pewno uzyskali przyrzeczenie od władz radzieckich, iż nie użyją przemocy wobec ludności, i dzięki temu będziemy zabezpieczeni przed samowolą. Rychło okazało się, iż te przewidywania nie były

warte funta kłaków. Od razu po ponownym nastaniu władzy radzieckiej rozpoczęły się prześladowania; starym obyczajem jej reprezentanci ślali terror nie przebierając w środkach i metodach, stawiając na zastraszenie.

Już w pierwszych dniach swej władzy zlikwidowali oddziały i organizację akowską prawdziwych obrońców miejscowej ludności. Następnie ogłosili powszechną mobilizację do wojska radzieckiego. W rewanżu wszyscy mężczyźni podlegający poborowi zbojkotowali to zarządzenie i tym samym znaleźli się w kolizji z prawem, co oznaczało konieczność ukrywania się w lasach. W rezultacie władze znalazły się w dość kłopotliwej sytuacji. Aby z niej wybrnąć ogłaszają teraz już pobór do polskiego wojska, oczywiście ludowego. To pociągnięcie również nie poskutkowało. Dopiero późną jesienią, gdy nastąpiły mrozy większość mężczyzn opuściła kryjówki, udając się głównie do wojska polskiego. Część siłą wcielono do armii radzieckiej. Stosunkowo liczny odsetek pozostał nadal w kryjówkach,

Od początków władzy radzieckiej każdy dzień dostarczał nowych wrażeń. W takiej sytuacji zainteresowania polityczne zeszły na dalszy plan. Gdy trzeba było być przygotowanym, że każdy następny dzień może przynieść niespodzianki przy ciągłych różnego rodzaju nieprzyjemnościach i pokonywaniu kłopotów dnia codziennego, nie było kiedy zastanawiać się nad przyszłością, dzień gbieżący pochłaniał bez reszty.

W atmosferze ogólnego otępienia dotarła wiadomość o zakończeniu wojny. Odiąd zaczęto żyć oczekiwaniem na powrót zwycięzców do domów. Pierwsi z demobilizacji powrócili z wójaczką we wrześniu a masowo w październiku i listopadzie. Spory odsetek młodzieży, głównie samotnej, pozostał w Polsce, między innymi i mój najstarszy brat.

Przez dłuższy czas wyglądałem na drogę prowadzącą ze

stacji, ale wyczekiwania okazały się daremne. Początkowo miałem mu za złe, że pozostał w Polsce. Uważałem się za pokrzywdzonego, gdy w rodzinach sąsiadów cieszą się powrotem bliskich a ja takiego dnia nie mogłem doczekać. Pogodziłem się, kiedy ruch rezerwistów ustał. Ledwie skończyło się jedno życie, a już zaistniało nowe - o szerokim zasięgu i dużym znaczeniu.

Późną jesienią roku 1945 - chyba w grudniu - pojawiła się fama głosząca możliwość wyjazdu z rodzinami do Polski. Najpierw krążyła ona w wersji nieoficjalnej, nie było wiadomo skąd się wzięła, stąd większość traktowała ją jako plotkę. Wkrótce, po kilku tygodniach, przedstawiciele aparatu państwowego uczynili z tej wiadomości groźbę, podczas spotkań z miejscową ludnością, załatwiania spraw i przy urzędowych kontaktach zaczęli straszyć pogroźkami w rodzaju "Jeżeli komuś się nie podoba władza radziecka, to niech wyjeżdża do Polski. Budziły się domysły, że za tym się kryją jakieś pociągnięcia rządowe, ale do oficjalnej wiadomości żadnych konkretnych informacji nie podawano. Dopiero po utworzeniu punktów repatriacyjnych można było się dowiedzieć, jakie należy spełnić warunki, aby uzyskać zezwolenie na wyjazd. Do akcji repatriacyjnej miejscowa ludność odniosła się początkowo nieufnie. Potraktowaną ją jako jedną z bardziej wyrafinowanych form represji. Trzeba pamiętać, że ludność, zwłaszcza różnicza, była materialnie i emocjonalnie silnie związana z ziemią od wielu pokoleń; dobrowolne wyrzeczenie się ziemi uchodziło za coś nienaturalnego i nie mieściło się w świadomości zwykłego śmiertelnika. Wprawdzie z procedurą i faktem deportacji mieszkańcy tych okolic byli oswojeni, ale w odmiennym charakterze. Znane były dobrze z przeszłości praktyki carów w tej dziedzinie, ograniczały się one

jednak do dorosłej ludności płci męskiej. Bardziej wyrafinowane metody zsyłki na Syberię zastosowali "wyzwoliciele ludu" w latach 1940 i 1941; ich inowacja polegała na tym, że porywali rodziny w pełnym komplecie. Zarówno jedni jak i drudzy działali z zaskoczenia i oczywiście pod przymusem. Obecnie stanęli przed takim zadaniem lecz w zmienionej sytuacji. Dotąd nie słyszano, aby gdziekolwiek, za wyjątkiem imperium rosyjskiego, w cywilizowanym świecie w ostatnim stuleciu przesiedlano ludność. Wydawało się zatem, że kiedy nastąpiło zbliżenie między dzikusami i humanitarną częścią świata, podobne obchodzenie się z ludnością spotka się z ogólnym potępieniem na forum międzynarodowym. Zastosowano chwyt oryginalny i bardziej nowoczesny żądając dobrowolnego skazania się na banicję. Takie rozwiązanie nie mieściło się w głowach; za jaką to niby popeźnioną karę mieli się pozbywać i wyrzekać wszystkiego co ocenili najwyżej? Ten zbiorowy nastrój znalazł odbicie w opiniach krążących na temat rozpoczętej repatriacji, przemawiających za pozostaniem na miejscu. Oto kilka spośród nich: zakładano, iż opuszczenie rodzinnych stron nie ma sensu, ponieważ wkrótce muszą nastąpić zmiany. Dodawano jeszcze, że skoro potrafiliśmy przetrzymać 150-letnią niewolę rosyjską, to wszystkich nas nie wyniszczy kilkuletnia niewola radziecka.

Wątpliwości rodzący wypowiedzi demobilizowanych żołnierzy, powracających z Polski. Zdaniem wielu z nich nie było po co wyjeżdżać do kraju, bowiem i tam rządzą komuniści wspomagani radzieckimi specjalistami od gwałtu.

Obawiano się wreszcie czynnego oporu ze strony ludności niemieckiej na Ziemiach Odzyskanych, liczono się z możliwością odwetu. Tym, którzy mieli świeżo w pamięci różne okropności wojny, przyszłość z rodziną w oboych stronach zapowia-

dała się niepewnie. Nic też dziwnego, że w pierwszych dniach repatriacji chętnych do wyjazdu nie było prawie wcale. Ten mimowolny bojkot prawdopodobnie spowodował u władz radzieckich obawę, iż zamierzona akcja nie wypali. Aby tego uniknąć podejmują dodatkową decyzję, na mocy której osoby znajdujące się w areszcie, w więzieniu czy obozie pracy będą zwalniane, jeżeli rodzina złoży prośbę-wniosek o wyjazd do Polski. Po ogłoszeniu tego zarządzenia repatriacja ruszyła z martwego punktu. Dla tych co mieli za sobą wyrok lub na niego czekali lepszym wyjściem od przymusowego pobytu w lagrach był dobrowolny wyjazd do Polski. Za nimi pociągnęła do punktów repatriacyjnych ludność napływowa z Polski centralnej co razem spowodowało spore ożywienie. Ten wzrost zainteresowania wyjazdem podziałał zaraźliwie na innych. Gdy ruszyły pierwsze transporty raptem wszystkich pozostałych opanowała chęć wyjazdu. Rezultat był taki, że w punktach repatriacyjnych wytworzył się niebywały tłok. Aby otrzymać potrzebne dokumenty stano w kolejkach tygodniami, dniami i nocami. Wzmógł się napływ zdecydowanych na wyjazd wykorzystwały czynniki wystawiające zezwolenia. Strona oficjalna zaostrzyła wymagania a prywatnie niewspółmiernie wzrosła wysokość łapówek. W naszym terenie panujący bałagan i rozgardiasz wykorzystwały przedsiębiorcze jednostki z podziemia i cichaczem włączyły się do prowadzonej akcji. Kwitnące na całego fabrykowanie lewych dokumentów oddawało nieocenioną przysługę głównie osobom poszukiwanym przez organa bezpieczeństwa a jednocześnie odciążało rządowe biura, chyba niewiele ustępując tym ostatnim w ilości wydanych zezwoleń na wyjazd. I o dziwo, wszyscy na lewych dokumentach przekroczyli szczęśliwie granicę, nie zdarzyła się żadna wpadka. Do dziś nie mogę pojąć, jak możliwe było przepuszczenie tak

dużej liczby osób bez wpadnięcia na trop nadużyć. Zdaje się, że odegrały tutaj rolę różne okoliczności: doskonały sposób fałszowania, wysoki haracz płacony odpowiednim organom, wreszcie władzom zależało na pozbyciu się niepożądanego elementu - ta ostatnia wersja wydaje się najmniej prawdopodobna. Trzeba bowiem przyznać, że władzę radziecką niełatwo jest wymanewrować, zazwyczaj bywa ona zdolna "na wycucie" dokonać w porę właściwych cięć. Tak było i z akcją repatriacyjną. Kiedy przybrała ona masowy charakter znaleziono proste wyjście zamykając punkty repatriacyjne.

Z opisu niniejszego można odnieść wrażenie, że wszystkie przedstawione perypetie trwały dłuższy czas. W istocie tak nie było, wszystko zachodziło w przyspieszonym tempie. Tak np. wydawanie dokumentów na wyjazd rozpoczęto w styczniu a zakończono w maju roku 1946, pierwszy transport odszedł w lutym, a ostatni w czerwcu tego samego roku. Praktycznie więc, zanim repatriacja rozwinęła się na dobre już ją zlikwidowano. W rezultacie wyjechało do Polski z tego regionu tylko kilka procent ludności, ta najbardziej zagrożona i najbardziej zaradna. Wielu, bardzo wielu chętnych zostało pozbawionych szansy. Z mojej stacji odeszły tylko 4 transporty.

Zamknięcie repatriacji dla władz radzieckich oznaczało duży krok naprzód w kierunku stabilizacji. Dotychczas wobec wszelkiego rodzaju wykroczeń - rzeczywistych i wymaganych! - organa bezpieczeństwa były bezradne. Tylko część sprawców wpadała w ich ręce, reszta kryła się w niedostępnych miejscach skąd przy nadarzającej okazji wymykała się do Polski, narażając na szwank reputację tropicieli. Po zamknięciu granic na cztery spusty takie pokpiwanie już nie miało miejsca, aczkolwiek proces ujarzmiania nie został jeszcze całkowicie zakończony. Nadal pozostawała pewna grupa osób wyjętych spod prawa

nie ujętych w ewidencji z okresu wojny, nadal zdarzało się też ukrywanie zagrożonych osób, ale ścigani zdawali sobie w pełni sprawę, z tego, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. W początkach roku 1947 elementy nieugięte znalazły się rzeczywiście w stadium agonizacji, zaś organa ścigania święciły triumf, z likwidacją niesubordynowanych jednostek nie musiały się spieszyć wiedząc, że czas pracuje na ich korzyść.

Z chwilą zakończenia repatriacji wprowadzono w życie nowe zarządzenie, odtąd wszystkie akty urodzenia i zgonów dotychczas prowadzone przez kościół zostały przejęte przez terenowe ogniwa administracyjne. Od tego momentu władze były w stanie wychwycić nieprawidłowości w sferze ewidencji ludności, gdzie panowała istna dżungla. W czasie sporządzania dotychczas spisów ludności powszechnie podawano dane fikcyjne, jak było komu wygodniej. Fałszerstwa odnosiły się prawie wyłącznie do personalii mężczyzn zdolnych do służby wojskowej a polegały przeważnie na zmianie daty urodzenia oraz stosunkowo częstym zatajeniu, że dany osobnik kiedykolwiek się urodził; takich kosmitów była liczba grupa. Część kosmitów młodszych roczników była "zakotwiczona" do metryki młodszego rodzeństwa, egzystowało dwóch na jednej, rzadsze były przypadki fikcyjnej zmiany płci. Dla zilustrowania przytoczę pierwszy z brzegu przykład, wzięty z mego najbliższego otoczenia. Otóż młodzieniec urodzony faktycznie w roku 1923 władzom radzieckim w roku 1944 przedstawia się jako rocznik 1928 i tym sposobem unika poboru w czasie wojny, gdy w roku 1946 otrzymuje wezwanie do odbycia służby wojskowej wyciąga właściwą metrykę, a rocznik 1923 ju nie podlega temu obowiązkowi. Za te kpiny w żywe oczy z władzy delikwent musiał odpracować 5 lat w kopalni szkła w Magadanie.

*Zarys 9.2
całkowicie oryginalny
z Kancelarii nr 10*

Z tą odpowiedzialnością bywało zresztą różnie, część tych, którzy popełnili wiele wykroczeń uniknęła kary, natomiast wielu zupełnie niewinnych musiało odcierpieć tylko dla przestrogi. Po przejściu ksiąg metrykalnych z kościołów organa bezpieczeństwa na więcej niż rok czasu pełne ręce roboty zania zostały wykryte wszystkie fałszerstwa. Równolegle sypały się jak z rogu obfitości różnego rodzaju kary.

Praca NKWD odbywała się ona etapami z ukierunkowaniem na jeden rodzaj podejrzanych. I tak: Tuż po wkroczeniu rozpoczęło się poszukiwanie osób z którymi NKWD miało porachunki z roku 1941 a w dalszej kolejności kolaborantów niemieckich oraz tych którzy weszli w konflikt z partyzantką radziecką. W roku 1946 skupiono się na likwidacji organizacji ukowskiej oraz zbrojnego podziemia.

Do roku 1947 czystka o charakterze politycznym w zasadzie została zakończona. Mimo, że w czasie jej nasilenia wymiar sprawiedliwości pracował pełną parą, jednka nie zdołał wszystkim zatrzymanym sfabrykować dowodów winy, stąd wielu podejrzanych przetrzymywano bez wyroków aż do roku 1956. Od roku 1947 wymiar sprawiedliwości przestawił się na wymierzanie kar wywodzących się z podłoża administracyjnego, oczywiście dla okrasy nie zapomniano i o tych pochodzenia politycznego. Najczęściej do kolizji z prawem dochodziło na tle zaległości w odstawach kontygentów, niewykonanie planów przy wyrębie lasów, fałszowanie danych osobowych, ukrywania się i wreszcie miały miejsce aresztowania bez żadnych dla postrachu na otoczeniu. Ten ostatni rodzaj "wyróżnienia" był najniebezpieczniejszy, gdyż oznaczał za uznanie za element wrogi, który mógł być przetrzymywany w obazach bez określonego terminu.

Za niewywiązanie się z obowiązkowych dostaw kary więzienia

groziły, głównie za nierozliczenia się z dostaw zboża i ziemniaków zaś kary pieniężne za nierozliczenia kontygentów pochodzenia zwierzęcego. Powodów do skazania było kilka: niezrealizowanie planu, ukrywanie zboża, zła jakość, niedotrzymanie terminu odstawy, za robienie zapasów i handel na czarnym rynku. Z powodu rozliczeń zbożowych od żniw do połowy zimy domy ciągle nawiedzali funkcjonariusze odpowiedzialni za odbiór zboża wspomagani osobnikami z innych komórek. Nic nie pomagało wywiązanie się z nałożonego kontygentu, bowiem natychmiast nakładano nowe świadczenia bez końca na coraz to inne wzniosłe cele. W rezultacie rolnik bał tak długo niepokoiony i straszony, aż naocznie mogli się przekonać, że został on ogołocony do cna i z kątów wyzierała bieda, wówczas dawano mu spokój. W takim położeniu kara więzienia już nie groziła, ale dopóki w obejściu znajdowała się choć garść ziarna stale trzeba było być przygotowanym na zafasowanie wyroku, wszystko zależało od dobrej woli tych co ściągali zboże, jaką oni wyrażali opinię o danym rolniku. Drugą zmorą gnębiących gospodarzy była wyrąb i wywózka drzewa z lasów, tu również przez całą zimę nie dali żyć. Wyznaczali na każde gospodarstwo pewną ilość drewna do wycięcia lub wywiezienia. Wysyłali ludzi w lasy odległe niejednokrotnie o 100km i tam za darmo, na własnym wikcie trzeba było harować przez część zimy a kiedy wypełniło się plan do domu zaraz zjawiali się funkcjonariusze odpowiedzialni za eksploatację lasów i nakładali nowy plan. W razie odmowy lub podczas kolejnej kontroli i stwierdzenia obecności w domu czekał areszt za sprzeciwianie się władzy a pozatym wyrok. Mężczyznom w sile wieku sen z powiek spędzał strach prze

bezpodstawnym aresztowaniem. Nieraz ofiara wyczuwała na odległość, że nie jest mile widziana przez władzę i, że czekają ją represje. Na ogół represje wywierano na gospodarzy zaliczanych do kułaków, wywodzących się z rodzin byłych legionistów lub o antyradzieckim jawnym nastawieniu, ale zdarzały się też aresztowania, które w niczym się nie naraziły. Sposób zatrzymania był dwojaki: znienacka lub z fazą przygotowawczą stopniowym dobieraniem się do skóry przez wykorzystywanie różnych punktów zaczepnych np. manipulacjami kontyngentowymi lub dowolnych innych pretekstów. W kategoriach sędów postępowanie to było całkowicie uzasadnione. W pełni zdawali sobie sprawę, że wszystka ludność była do nich nastawiona wrogo, każdy zatem rodzaj represji w stosunku do kogokolwiek trafiał bez pudła w przeciwnika. Nie było pomyłki jeśli się kierowało "praworządnością" radziecką a, że represja spadała na tą lub inną osobę nie miało większego znaczenia. Ideałem było wytępienie całej ludności a, że to nie nastąpiło należy zawdzięczać wyłącznie okoliczności, iż Związek Radziecki w czasie wojny poniósł duże straty w ludziach i był zmuszony prowadzić racjonalną gospodarkę pozostałymi zasobami. Trzeba zdawać sprawę, że ta racjonalność również wyrażała się tym, iż w owych latach prowadzono na wielką skalę inwestycje za pomocą niewolniczej siły, to był okres rozkwitu łagrów, więc aby je zapełnić stosowano powszechnie rodem z piekła środki.

Dla mieszkańców wschodnich rubieży Polski zmaganie z despotyzmem azjatyckim nie było zjawiskiem nowym, wszak i jrgo natarcie odpierało wiele pokoleń od przeszło czterech wieków. Współczesny despotyzm uzbrojony w nową ideologię

i doskonałony do granic perfekcji okazał się bardziej jednak agresywny i groźniejszy zwłaszcza wobec bezbronnego przeciwnika.

Na czoło wybijały się dwa bardzo istotne momenty. Ziemie zdobyte na Polsce o indywidualnej gospodarce rolnej znajdujące się wówczas w granicach ZSRR uchodziły za najzasobniejsze w płody rolne poza tymi rejonami które partyzantka radziecka podczas okupacji niemieckiej zdążyła doprowadzić do ruiny. Były to ziemie względnie gęsto zaludnione posiadające znaczne rezerwy siły roboczej. Straty wojenne, zsyłki do obozów i na Syberię oraz wyjazd do Polski rekompensował duży przyrost naturalny dorastającej młodzieży. A im większe tkwiły rezerwy tym większą stosowano siłę ~~siłę~~ i przemoc aby je wydobyć, zaś zapotrzebowanie na siłę roboczą było nieograniczone. Usuwanie zniszczeń wojennych i przyspieszona industrializacja odbywała się za bardzo skąpe strawę. Dlatego na te wielkie budowy nikt z ochotą nie pędził więc dla zachęty nie przebierano w środkach. Właśnie wówczas w moich stronach zapanowały stosunki podobne do istniejących ~~w osiemnastym wieku w Afryce~~ w osiemnastym wieku w Afryce w okresie polowania na niewolników. Mężczyźni w wieku produkcyjnym unikali jakiegokolwiek kontaktu z funkcjonariuszami państwowymi co oznaczało praktycznie, że się przed nimi kryli. Wszelkie sprawy w urzędach, rozliczanie z ciążących zobowiązań, odbierania nakazów, udział w zebraniach i naradach załatwiała ^{się} kobiety. Mężczyźni stawiali przed oblicze władzy jedynie wtedy gdy byli wzywani imiennie a i wówczas najpierw żona wybadala po co. Prawie każdy mężczyzna miał w domu przygotowaną kryjówkę i jeśli w obejściu spostrzegł obcą podejrzaną osobę

natychmiast zniknął z jej oczu, gdy przebywał w pracy również starał się skryć w jakimś zakamarku. Oczywiście zdarzały się przypadki zaskoczenia ale w takiej bezpośredniej styczności z intruzem gospodarz z reguły nie wdawał się w rozmowę, odpowiadał jedynie na stawiane pytania do tego zazwyczaj wykrętnie. W rezultacie położenie mężczyzn przebywających na wolności nie wiele różniło się od doli poszukiwanych, bowiem tych co waleśali się po wsiach wypełniających nałożone zadania nie brakowało. Można ich było spotkać o każdej porze dnia, wszystko zależało od przeprowadzanych akcji.

Jakby brakowało własnych nieszczęść i biedy dołączyła do nich jeszcze nędza z centrum Rosji a ściślej z Ukrainy, Tłumy głodujących Ukraińców wyczerpanych do ostatecznych granic przelewały się po drogach, szlakach i węzłach komunikacyjnych oraz wsiach i osiedlach w poszukiwaniu wsparcia. Mieli oni nikłe szanse na zdobycie chleba, tylko nieliczni go nabywali, a dla pozostałych nie przejawiano nawet litości.

W ostatnim stuleciu był to jeden z największych głodów w Europie o podobnej skali jak w Leningradzie podczas blokady. Spotkanie konających z głodu w miejscach publicznych było rzeczą normalną, ludzie mijali ich obojętnie, inna sprawa czy mogli im pomóc.

Przedstawiłem w skrótovej formie jak wyglądała sytuacja ludności na Wileńszczyźnie w drugim roku po zakończeniu wojny, wtedy gdy większość naródów kontynentu europejskiego zażywała błogiego spokoju, zabiłżniśło wojenne rany i mogły wreszcie w pełni cieszyć się życiem i ufnie patrzeć w przyszłość.

W tym samym czasie ludność ziemi wileńskiej

przeżywała koszmar, czuła się opuszczona przez świat ,
ojczyznę i Boga, skazana na łaskę - pozostawiona sam na
sam z dziką bestią.

Największym rozczarowaniem była wieść, że ziemia wileńska
nie wejdzie w skład nowego państwa polskiego. Było też
wiadome , że obszar ten nie uzyskał żadnego samorządu
ani nie będzie poddany międzynarodowej kontroli. Nowy
warszawski rząd pod egidą kanibali narodowych nie
wykazywał najniejszego zainteresowania losem miejscowej
ludności ponieważ był zajęty pożeraniem co wartościowszych
współobywateli/ wiadomość o tym wtedy jeszcze nie była
ugruntowana/

Tak beznadziejnego położenia jak wówczas chyba nigdy nie
było przedtem. Upadek II Rzeczypospolitej w 1939 roku
jako tymczasową porażkę, okres wojny schodził na oczekiwani
u dnia odrodzenia, stąd wszelkie represje ze strony
najeźców znoszono z nadzieją, iż stan ten przemienie poczym
znowu nastąpi powrót do normalnego życia. W roku 1947
zgasł ostatni promyk nadziei. Werdykt wydany w Poczdamie
wskazywał jednoznacznie, iż dla mocarstw zachodnich, los
zagubionego ludu był zupełnie obojętny, dla jego
2 nabrzmiałych sprawnie wykazano najniejszego zainteresowa-
nia , Dla własnej wygody bez skrpułców pominięto milcze-
niem tą kwestję.

W tym ogólnym przygnębieniu spore obywatelnie wywołały pojawiające się w prasie wiadomości o rozruchach i toczonych walkach w Grecji. Wielu uważało, że konflikt rozszerzy się na skalę międzynarodową i że w przypadku starcia dwóch systemów ZSRR czekała niechybna porażka, gdyż przy powszechnym niezadowolaniu i zniszczonej kulawej gospodarce nie miały one żadnych szans. Wspomniane wydarzenia bynajmniej nie rozwijały się upragnionych syczeń, dlatego w szybkim czasie przestały interesować i ponownie zapanowała apatia. Czego jak czego, ale powodów do apatii i przygnębienia nie brakowało. Częstym zjawiskiem było rozbieżenie rodzin z przyczyn następujących: członkowie rodzin pozostali na zachodzie lub w Polsce z wojska, z kolei inni w warunkach przebywali w więzieniach i obozach pracy, jeszcze inni odbywali służbę w wojsku radzieckim, znowu część rodzin była rozbita wyjazdem do Polski, bowiem część członków rodziny pozostawała pilnować gospodarstwa. W większości domów kogoś brakowało przyczyna z niechcеныmi możliwy był jedynie kontakt listowy i to zmniejszenie w każdym przypadku. Obok smutnień z powodu nieznanego losu bliskich, dochodziły jeszcze kłopoty natury bytowo-gospodarczych o których mowa była wcześniej. Władza radziecka w tym czasie przygotowywała grunt pod kolektywizację z tej racji kładły duży nacisk aby jak najszybciej doprowadzić gospodarstwa chłopskie do do kompletnej ruiny.

Opisywane zjawiska, wynaturzenia, panujące stosunki i nastroje wśród ludności starają się oddać w ogólnym zarysie. W rzeczywistości występowały wszystkie negatywne strony życia miały miejsca, chociaż lokalnie i indywidualnie warunki układały się różnie, lepiej lub gorzej. Aczkolwiek ustrój radziecki głosił, iż wprowadzał w życie zasady równości i w praktyce ta idea nie miała nic wspólnego z zakładanym ideałem. W jednym tylko byli blisko wytkniętego celu, a mianowicie wcielili w życie nie tylko powszechną, ale generalną nędzę.

W owych latach nie zdarzyło się żeby ktokolwiek opływał w dostatkach i wiódł beztroski żywot. Skala biedy jak jej zróżnicowanie była różna, jedni żyli w znośnych warunkach a inni puchli z głodu. O ile na odcinku materialno-bytowym mogli się pochwalić osiągnięciami, że zlikwidowali ^{przeżyli} ~~nieżyli~~ to w sferze psychologicznej w rozdzielaniu nieszczęść postępowali wyjątkowo niesprawiedliwie, gdyż jedne rodziny były tolerowane na innych wyżywali się bezumiaru, obciążali je wszelkimi możliwymi karami, gnębili zapamiętałe aż ofiara wyzionęła ducha.

Mogłoby się здаwać, że w ówczesnych warunkach przynajmniej wykonawcy rozkazów-wszelkiej maści urzędnicy i funkcjonariusze rządowi czuli się wspieranymi? Otóż tak wcale nie było, gdyż ówczesna w zatrutej atmosferze można swobodnie oddychać? Ówczesni ci ludzie mieli sumienie i chociażby z pobudek czysto humanitarnych nie zawsze byli zachwyceni wykonywaną pracą. Odwrotnie otrzymywali oni zadania nierealne, których dokładnie nie sposób było wykonać, wobec czego do ich pracy stale były zastrzeżenia i wymaganiami nie było końca, taka sytuacja w żadnym wypadku nie mogła dawać zadowolenia. Jedyną nagrodą była możliwość utopienia trosk w samogoniu. W celu wyobrażenia sobie panującego wówczas klimatu przedstawię położenie własnej rodziny.

Szczerze muszę przyznać, że w porównaniu z innymi nie mieliśmy powodów do narzekań, a według mojej oceny znajdowaliśmy się w znacznie korzystniejszej sytuacji od przeciętnej i to pod każdym względem. Nie należy stąd wyciągać wniosku, że nas głaskano, bo ~~nie~~ takich w ogóle nie było. Otrzymywaliśmy i my ciężko, ale w miarę znośne. Chcieli takie traktowanie przyjąć za wyróżnienia w takim razie zawdzięczaliśmy wyłącznie naturze, ożenkowski ojca w podeszłym wieku. Ojciec zmarł w 1946 roku śmiercią naturalną nie zasnając większych krzywd normalnie spowodu swego wieku.

nie jest wymierne, ponieważ zależy ono od psychicznej odporności jednostki. Na pewno osoby dorosłe trudniej znosiły zaistniałą rzeczywistość niż młodzież, która nie miała wyrobionego własnego zdania ani przyzwyczajenia, toteż nienormalne stosunki mniej ją raziły. O tym jaka wówczas panowała atmosfera, niech świadczy taki fakt: Ciągłe życie w zagrożeniu spowodowało wystąpienie epidemii szaleń. Pierwsze takie objawy wystąpiły już w roku 1947, zaś masowe w latach następnych w okresie powszechnej kolektywizacji. Osobnicy mniej odporni psychicznie na skutek długotrwałych napięć popadali w szaleń przeważnie kończący się śmiertelnie. Choroba ta przez pewien okres czasu spowodowała największą zgonów. Czym się ona tłumaczy z punktu medycznego, nie jestem w stanie wyjaśnić, natomiast historię jej dobrze znają ośrodki szpitalne zachodniej Białorusi.

W tak nakreślonych ramach mieścił się los szeregowych jednostek,

N a r o z d r o ż u

Z perspektywy czasu nie mogę uwierzyć, skąd w młodości brało tyle energii. Dla dwu niepełnoletnich osób utrzymanie gospodarstwa wielkości średniej, zaliczanego do kulackiego, o bardzo niskim stopniu mechanizacji, głównie bazującej na pracy ręcznej, nawet nie przy wysokiej produktywności, wymagało dużego wysiłku, poza tym starczało czasu na zabawę, romans, przejrzenie prasy i przeczytanie książki, przy czym wolnego czasu chyba trochę zostawało, bo na dodatek zapragnęłam bliżej poznać życie wielkomiejskie. Wypady do Mińska, Wilna czy pomniejszych ośrodków w tamtych czasach należały do ryzykownych. Na szlakach komunikacyjnych, węzłach kolejowych i w miastach działy się "antejskie sceny", banityzm szerzył się na każdym kroku i każdej porze dnia, tłumy podróżnych przewalały się jak fale na wzburzonym morzu, środki transportu pękały we szwach, na bazarach i ruchliwszych arteriach miejskich spotykało mieszaninę ras, typów różnych

nacji. Ta masa ludzka była porzaczana, wymęczona, o zatroskanych twarzach, czujna i napięta. Aby wiernie oddać obraz, zdarzenia i atmosferę tamtych dni, należałoby stworzyć odrębną epopeję. Ogólny ponury i groźny nastrój ulicy i arterii komunikacyjnych wcale nie oddawał charakteru miast, bowiem ludność rdzenna ginęła pod lawiną obcych. W skład rwącego nurtu wchodziły: od zachodu z obszaru Niemiec i Polski powracali zdemobilizowani z wojska i ci, którzy byli wywiezieni na roboty, ze wschodu wyruszyli ci, co szukali schronienia na zachodzie przed władzą radziecką. Ż kolei z dalszych miejscowości wschodnich napływali głównie głodujący za chlebem, przesiedleńcy poszukujący dachu nad głową, dostarczający prowiant do Żagrów, handlarze i spekulanci. Mrowisko to było naszpikowane oprychami, chyhającymi na dobytek podróźnych, grasowali oni bezkarnie całymi watahami. Na ulicy lub rynku potrafili oni w biały dzień pozbawić garderoby o większej wartości na oczach osób postronnych i takie wypadki zaliczały się do normalnych. Ludność wiejską do kontaktów z miastem zmuszała konieczność, bo tak się składało, że na kresach wschodnich przez cały okres wojny i po wojnie na wieś nie dostarczano żadnych artykułów i towarów przemysłowych. Nie istniały sklepy ani inne formy zaopatrzenia. Niezbędne środki do życia zdobywano drogą wymiany z wojskiem lub ludnością miejską za płody rolne. Do pierwszego wyjazdu do dużego miasta namówił mnie kolega z Mińska przebywający czasowo na wsi. Dla mnie była to pierwsza w życiu podróź koleją i pierwsza styczność z miastem, aczkolwiek mieszkaliśmy w pobliżu stacji, lecz nie zachodziła takowa potrzeba. Z tamtej podróży, gdyby nie wstyd i była możliwość, chętnie bym zawrócił z połowy drogi do domu. Pobyt w mieście i podróź napawał przerażeniem, organizm mój fizycznie i psychicznie nie akceptował zetknięcia z nieznanym trybem współżycia i korzystania z udogodnień technicznych. Duchu postanowiłem, że więcej nosa nie wysądzę poza wiejskie opłotki. Po powrocie przez kilka dni nie

mogłem dojść do siebie. Przeżyłem strach, przemoczenie, niewyspanie oraz zgromadziłem wyjątkowe nieprzyjemne obserwacje. Dopiero wówczas zdałem sprawę dlaczego osoby oswojone z miastem tzn. światowe wolały siedzieć w domu, a jeżeli z rzadka wyjeżdżały to robiły to grupowo, ale na ogół niewielu decydowało na wyjazdy. Gdzieś po tygodniu, gdy wypoczęłem i poczułem się pełen sił, nastąpiło rozdzielenie jaźni. Ku wielkiemu zdziwieniu z głębi odezwał się głos pokusy, znalazł on jakąś okrężną drogę dla zmylenia rozsądku i zaczął podpowiadać, aby jeszcze raz dokonać wypadu. Początkowo w miarę skutecznie odpędzałem się przed tą natrętną myślą, ale z upływem dni rozsądek zaczął słabnąć aż w niedługim czasie został pokonany.

Za drugim razem wybrałem się w drogę sam i odniosłem znacznie lepsze wrażenie, na skutek tego nabrałem osmielenia, a zarazem rozzuchwaliłem. Odtąd popadłem w nałóg i bez wścizgostwa nie mogłem żyć, jak ryba bez wody. W środowisku wiejskim dusiłem się codzienną monotonością, zaś wypadki do miasta dostarczały niepowtarzalnych przeżyć, tak jak w filmie za każdym razem przed oczyma rozgrywały się nowe żywcy wzięte z życia sceny w przedziwnych okolicznościach. Być może źródłem podniecy było to, że nie pozostawało się biernym obserwatorem, lecz mimo woli musiało się grać swą rolę choćby podrzędną, obarczoną ryzykiem w różnej skali, w zależności od sytuacji mogło się skończyć utratą bagaży, obrażeniami, kalectwem a w najgorszym wypadku ~~kalectwem~~ i śmiercią, co nie należało do rzadkich przypadków.

Z czasem gdy nabyłem minimum umiejętności kaskaderskich poczułem się pewny siebie, a co się z tym wiązało i stopień zagrożenia zmalał. Po nabraniu rutyny pozwalałem na dalsze wysoki kilka razy w miesiącu, nie czyniłem tego ze względów zarobkowych, ponieważ to zajęcie nie dawało liczącego dochodu, ostatecznie tą drogą łatwiej było pozyskać niezbędne, lecz niedostępne przedmioty, ale głównym celem moich wypraw była chęć wyzycia się oraz znalezienia uznania w gronie rówieśników.

Czułem, że obie te nie wygórowane ambicje zaspakajałem w pełni. Z drogi wracałem jak pies z wesela, sponiewierany, wymęczony. Taki wypad wymagał dwu nieprzespanych nocy i jednego lub dwu dni, lecz po nabraniu sił znowu ciągnęło w rajzę. W sumie na włóczędże spędziłem dużo dni. Miałem wiele szczęścia, bowiem ani razu nie naraziłem się na szwank chociażby najdrobniejszy. Nawet ani razu nie zostałem zatrzymany, chociaż poruszałem się bez żadnego dowodu tożsamości. Jeździłem przeważnie sam, gdyż wtedy całą uwagę skupiłem ^{mojemi} na ~~podróżach~~ obserwowaniu podróźnych, zdarzających się zajść, a w spokojniejszych momentach oddawać kompletacji. Nie lubiłem wyjazdów grupowych, jeśli do nich dochodziło to i tak w drodze urywałem od grupy. Doświadczenie życiowe nabyte w miejscu zamieszkania w połączeniu z bogatymi obserwacjami zebranymi podczas podróży dawały już pełny obraz doli szeregowego obywatela ZSRR. Taka pozywka była wystarczającą do rozmyślań nad zaistniałą rzeczywistością. Wiele się nie zastanawiałem to nigdzie nie widziałem odpowiedniego miejsca w takich warunkach dla siebie. Dla ścisłości jestem zobowiązany dodać, że z natury wcale nie należałem ^{em} do tych co obejmowali się przyszością, lub cynie uczestniczyłem w życiu politycznym. O sprawach politycznych można spotkać wzmiankę w wielu tekstach, ponieważ ta problematyka dominowała, zajmowała poczesne miejsce w myśniu obywateli, ale wcześniej, natomiast w roku 1947 była ona ^{już} dyfinitelywnie wytępiona. Otóż niczym nie wyróżniałem od reszty młodzieży, żyłemny sprawami bieżącymi niewiele się martwiąc dniem jutrzejszym, oczywiście od czasu do czasu nachodziły czarne myśli, lecz do nich nie przywiązywało większego znaczenia, przechodziło się nad nimi do porządku dnia codziennego.

Dla nas wówczas najczulszym punktem była sprawa służby wojskowej. Pięcioletni okres odbywanie jej w najodleglejszych zakątkach ZSRR / wyróżnienie dla naszego regionu za częste dezercje/ nie były prespektywą ^{nie}ciągłą,

aczkolwiek bezpośrednio dla mnie ta perspektywa jeszcze nie groziła, ale w moim otoczeniu ten problem ciągle należał do aktualnych. Z innych spraw drugorzędnych, lecz jatrzących należy wymienić ~~ważną~~ zaistniałą pustkę po dokonanej repatriacji. Już sam moment rozstania z osobami bliskimi, sąsiadami i znajomymi dostarczał mi nieprzyjemnych przeżyć, nie tylko dla tych co opuszczali rodzinne strony, ale i dla pozostających na miejscu. Jak wiadomo nikt chętnie nie wyzbywa przedmiotów, do których się przywiąże nie mówiąc o inwentarzu żywym. Nawet odlot jesienny ptaków, z którymi nie utrzymuje się bezpośredniej więzi, pozostawia po sobie pewien żal chociaż wiadomo, że wiosną wrócą. W tym świetle rozłąka z osobami, z którymi łączyły wspólne przeżycia i duchowa więź, pozostawia po sobie o wiele trwalszy ślad. Obserwacja wywoźących podwód, załadunek na wagony i odprawa transportów sprawiała wrażenie oczyszczania wspólnoty z balastu, usuwanie ze środowiska wyrzutków społeczeństwa, więc cała tamta akcja mogła być czymś nienaturalnym i pozostawiała po sobie głęboką wyrwę. Aby zlikwidować powstałą lukę potrzeba było dłuższego okresu czasu. Po każdym odejściu transportu pozostali na miejscu z niecierpliwością oczekiwali na wiadomość, jak znieśli podróż krewni i znajomi i gdzie się osiedlili. Chyba nigdy przedmiot geografii nie był tak wysoko ceniony jak w tamtych czasach. W celu ustalenia miejsca osiedlenia posługiwano się głównie mapami z przedwojennych podręczników szkolnych o małej dokładności, na których można było odnaleźć województwa i część powiatów w granicach przedwojennych, dlatego udawało tylko w przybliżeniu ustalić miejsce pobytu, chociaż niejednokrotnie w tym zajęciu uczestniczyli gromadnie mieszkańcy wsi. Znacznie gorzej sprawa wyglądała, kiedy transport trafił na ziemię odzyskaną i stamtąd przychodziła wiadomość, wtedy już nie było możliwe zlokalizować miejsce osiedlenia, ponieważ many nie obejmowały tych obszarów.

Szczegół ten wydaje się bez znaczenia, ale wówczas dla osób zainteresowanych przedstawiał swoją dużą wartość. Zidentyfikowanie adresu na mapie działało uspakajająco, bowiem do takiego punktu można było odnieść wiele spraw np: ocenić mniej więcej odległość miejsca zakotwiczenia, poziom rolnictwa, dogodność połączeń komunikacyjnych i wiele innych ustaleń, chociażby rozrzut terytorialny innych repatriantów, których los nie był nam obojętny, natomiast bez punktu zaczepnego nie bardzo się wierzyło, że dana rodzina dotarła do jakiegoś określonego celu, raczej się wydawało, iż dotarli do bliżej nieznanego przestrzeni, dlatego są nieuchwytni, poza tym z tych obszarów nie dysponowało się żadnymi wiadomościami uzupełniającymi, stąd mi trudno było uwierzyć jeśli ktoś donosił, że w takiej próżni znalazł punkt oparcia.

Do końca 1946 roku w towarzyskich spotkaniach do najbardziej ożywionych rozmów należała wymiana wiadomości na temat, gdzie trafili przesiedleńcy i jak się urządzili. Z napływających informacji, wynikało jednoznacznie, że wszyscy dotarli do miejsca przeznaczenia szczęśliwie i że powodziło się im lepiej niż w starym miejscu zamieszkania, a co się z tym wiązało nie żałowali podjętej decyzji. Do tego zgodnego zadowolenia wielu odnosiło krytycznie, przyjmowało je za wyświechtany zwrot obyczajowy, nie oddający prawdziwego położenia, który można było interpretować dowolnie: dać wiarę, że naprawdę natrafili na znośne warunki, lecz żeby udało się taki stan osiągnąć wszystkim, to było mało prawdopodobne, pozostawała druga ewentualność, że nikomu nie powodziło dobrze jedynie nie mieli odwagi przyznać do doznanej porażki.

Do mego przekonania przemawiała druga racja, ponieważ ku temu miałem w zanadrzu ważki powód a mianowicie: Podczas wyjazdu do Polski zwrócił się z prośbą do mnie bliski sąsiad, abym pomógł mu utrzymać korespondencję z bratem przebywającym w łagrze, na co wyraziłem zgodę. Zadaniem moim było zachowanie pozorów, że osoba przebywająca w obozie pracy utrzymuje łączność z adresatem na obszarze ZSRR,

bowiem z zagranicą im nie było wolno utrzymywać korespondencji, ponadto było wiadomym, że listy w łagrze podlegały cenzurze. Wobec tego z jednej strony i drugiej przychodziły listy na mój adres a ja je po zmianie koperty wysyłałem dalej do celu przeznaczenia i tak mimo woli zapoznawałem z treścią tych listów. Osoba z Polski w listach stwarszała pozory, że pisze z dawnego miejsca zamieszkania, ale donosiła o życiu w Polsce niby trzeciej osoby, dzieląc się uzyskanymi wiadomościami od niej. Oczywiście dla adresta było wiadomym, że w rzeczywistości pisze o sobie, natomiast listy nadchodzące z obozu były krótkie i bez treści nieodmiennie powtarzało, że piszącemu powodzi się dobrze i czuje się zdrow, tylko w jednym liście wystąpiło odstępstwo od utartego schematu, a polegało ono na zmianie adresu, co oznaczało przejazd piszącego do innego obozu.

Na marginesie poruszonego tematu warto bliżej zapoznać się z rodziną, której pomagałem utrzymywać łączność. Składała się ona z pięciu braci, dwu po pierwszej wojnie światowej pozostało w ZSRR, przy czym oba "upodobali" sobie pobyt w obozach pracy, jeden z nich - duchowny zmarł tam w okresie drugiej wojny, zaś drugi z wykształcenia inżynier nadal przebywał w obozie i właśnie jemu wywiadozalem przysługę. Odznaczał się on nadzwyczajną żywotnością, bowiem poczynając od lat dwudziestych do końca pięćdziesiątych z krótkimi przerwami ~~nieprzerwanie~~ spędził w obozach około 30 lat, po ostatecznym wyjściu na wolność trzymał się dobrze i przeżył ponad 90 lat. Trzeci ich brat zginął w Katyniu, czwarty i piąty przeżyli wojnę i oba zamieszkali w Polsce.

Na początku 1947 roku minęło sześć miesięcy od odprawienia ostatniego pociągu z repatriantami, przez ten czas nie było wypadku, aby komukolwiek zezwolono na wzajemne odwiedziny, łączność między bliskimi osobami utrzymywano tylko listowną, zaś granicę tuż po zakończeniu wojny szybko zamknięto na cztery spusty, przedzielając skutecznie kraj chińskim murem.

Takie pociągnięcie władz intrygowało wszystkich, uważano, że za tym musiały kryć ważne powody, jeżeli tak ostro izolowali bliskie sobie ~~mnymi~~ ludźmi. Z drugiej strony półroczny okres rozstania był wystarczająco długi do rozbudzenia tęsknoty do granic optymalnych, a jednocześnie za krótki, aby zaczęła ona wygasnąć, więc nic dziwnego, że w takiej sytuacji już późną jesienią 1946 roku pewnego razu błysnęła myśl, aby nielegalnie przez zieloną granicę wyskoczyć do Polski. Z nadejściem zimy straciła ona wszelką realność i nie chybnie więcej nie powróciłaby, gdyby nie przypadkowe zdarzenie.

Pewnego razu gdy byłem w Mińsku w styczniu 1947 roku, na dworcu natknąłem się na polskiego oficera elegancko umundurowanego na wzór przedwojenny, tylko zreformowany orzołek świadczył o innych czasach. Otaczała go grupka pasażerów, usiłując nawiązać z nim rozmowę. Z ciekawości dołączyłem do nich. Z oczu otaczających przebiegało podniecenie i zaciekawienie połączone z dumieniem, co można było odczytać jako niespodziewane spotkanie z rzadkim okazem, natomiast oficer udawał zaskoczonego i niby zastraszonego. Już od pierwszego spojrzenia odczuwało się, że był niezadowolony z zainteresowania jego osobą. Taką postawę z pełną świadomością akcentował podczas rozmowy. Na stawiane pytania odpowiadał monosylabami, nawiązana rozmowa nie kleiła, szła kulawo. Nie miał chęci wcale odpowiadać nic na temat sytuacji w Polsce. W sumie otaczający go prawie nic nie mogli się dowiedzieć, ponieważ on pytania zbywał ogólnikami, wreszcie w toku wymiany zdań jeden z uczestniczących zwrócił się do niego, aby odpowiedział śmiało-otwarcie, gdyż jesteście Polakami i nic mu nie grozi. Na tę zachętę z jego ust padły takie słowa "Na tym obszarze nie ma Polaków, bo ci, co czuli się nimi, wyjechali do Polski" Po tak sformułowanym zdaniu rozmowa urwała natychmiast, na chwilę zapadła przykra cisza i nie wiadomo kiedy wszyscy bez słowa rozeszli się.

zas oficer pozostał sam przez nikogo nie niepokojony. Od tego zdarzenia wyobrażenia o nowej Polsce stały się jeszcze bardziej niejasne. Podenerwowany postawa oficera już w czasie drogi powrotnej przeanalizowałem wszystkie dręczące wątpliwości dotyczące problematyki polskiej i ostatecznie postanowiłem do niej wybrać na rekonesans. Za taką decyzją przemawiały względy następujące:

1. zaspokojenie ciekawości
2. przecieranie szlaku, z którego w razie potrzeby mogli skorzystać inni. O tym, że otwarta furтка wyświadczy nieocenioną przysługę byłem święcie przekonany, gdyż było wielu takich, których zmuszała konieczność do wyfrunienia.
3. względy emocjonalne - z jednej strony, rzecz normalna pragnienie zaspokojenia tęsknoty z osobami bliskimi, ale nad uczuciem górowało drugie natury ambicjonalnej. Wielokrotnie w myślach wyobrażałem siebie w roli bohatera, witanego radośnie z otwartymi ramionami, przyjmowanego z szacunkiem i podziwianego, nawet miałem ułożoną listę rodzin, które miałem zamier odwiedzić, w ten sposób pragnęłem zdobyć jak najszerszy rozgłos.
4. w dalszej kolejności do tej podróży skłaniała chęć poznanie Polski od strony turystyczno-krajoznawczych jako obcych nieznanych stron.
5. Jako ostatnia argumentacja przemawiająca za zamierzonym przedsięwzięciem było zorientowanie jakie były możliwości osiedlenia się w Polsce na pobyt stały, ale to w bliżej nieokreślonej przyszłości gdyby nie nastąpiły zmiany na arenie międzynarodowej. Osobiscie taką ewentualność wykluczałem, stąd w tym kierunku zamierzałem podjąć starania wyłącznie na wszelki wypadek, lub gdyby zaofierowano wyjątkowo atrakcyjne warunki.

może ta i wybujała wyobraźnia spełniła swoje zadanie, bowiem była głównym bodźcem mobilizującym do działania. Niestety do tych wówczas marzeń podchodziłem całkiem poważnie i ani na chwilę nie zrodziła się wątpliwość, iż zostaną w sferze fantazji. Po dokładnym sprzezytowaniu celu z pełną konsekwencją przystąpiłem do niezbędnych przygotowań do podróży. Zacząłem od własnych sprawunków, układało się pomyślnie jak z płatka, okazjnie nabyłem Polską przedwojenną gienzową skórę na buty oficerki, które obstałowałem u szowca, cieszącego się największym wzięciem. Z kolei innym razem natknąłem się na bazarze na garnitur wysokiej jakości, rzadko spotykanej czystej wełny, przelewającej w rękę. Nabyłem go za wysoką cenę, lecz tego wcale nie żałowałem, ponieważ nie zależało mi na wydatku, lecz na tym by najszycowniejszy wyglądać, co w tamtych latach nie było sprawą łatwą z powodu powszechnego ubóstwa. Na gatunkowo dobre przedmioty można było tylko natrafić na bazarach i to przypadkowo pochodzące ze zdobyczy wojennych z krajów przyległych do ZSRR. Dobry ubiór poniekąd świadczył o zaradności właściciela. Do wiosny udało się spełnić życzenia w tej materii nawet na wyrost, ubrany byłem od stóp do głowy, pozostawało jeszcze zgromadzić niezbędne środki pieniężne oraz pewną ilość towaru na wymianę w Polsce, aby było czym pokryć koszty podróży. Zanim rozpoczęły się prace polowe jedno i drugie miałem po za sobą, czyli pod koniec marca byłem zapięty na ostatni guzik. W każdej chwili mogłem wyruszyć w drogę, gdyby na przeszkodzie nie stało gospodarstwo. Wiosenne siewy i prace polowe również poszły sprawnie, skończyłem je w agrotechnicznym terminie. Podgoniłem prace w gospodarstwie i dysponowałem wolnym czasem potrzebnym do prowadzenia prac budowlanych związanych z usuwaniem ~~w~~niszczeń wynikłych podczas frontu. Układało się wszystko pomyślnie, zgodnie z powziętym planem, bez nieprzewidzianych przeszkód.

Zdawałem sprawę, że zawdzięczałem ten sukces zdecydowanej postę-
-wie, twardo krok po kroku zmierzałem do wytkniętego celu.

W połowie czerwca już mogłem wybrać w drogę. Za tym terminem
przemawiał interes gospodarstwa, bowiem w okresie martwym przed
sianokosami mogłem pozwolić na dłuższą nieobecność w domu. Za
przeszkodzie jednak stanął problem natury towarzyskiej a mia-
-nowicie: w naszej parafii 24 czerwca w dzień św. Jana odby-
-wał się doroczny odpust. Z tej okazji młodzież mojej miejscow-
-ści organizowała wielką zabawę z zaproszeniami. Zgodnie z
utartym zwyczajem zapraszało się młodzież z sąsiednich parafii,
z którą utrzymywało kontakty towarzyskie. Chocież to było dla
mnie nie na rękę, gdyż kolidowało z saniami, ale nie wypadało
naruszać obowiązujących reguł, zwłaszcza, że zależało na spotka-
-niu z mile widzianą osobą. Tamten wygospodarzony tydzień
wolnego czasu spędzony bez konkretnego zajęcia zamiast wypo-
-czynku, bardziej wymęczył niż przy ciężkiej pracy. Dotąd nie
ustalałem dokładnego terminu wyjazdu, ani nawet myślni nie
wybiegałem, kiedy to nastąpi. W nawale codziennych obowiązków
nie było czasu na zastanawiania, ^{się} postępowałem systematycznie
zajmowałem tymi sprawami, które niecierpiały zwłoki. Po zakońc-
-niu jednej przystępowałem do następczej. W rezultacie termin
wyjazdu ulegał zwłoce, dlatego nie zaprzętałem nim głowy, a tu
nagle wysunął się on na pierwsze miejsce i wtedy nieoczekiwanie
poczułem lekkie zdenerwowanie. Zdawałem sprawę, że stracony ~~mał~~
wolny czas przydałby się w podróży. W tej sytuacji ostatni ty-
-dzień wyjątkowo dłużył. Dalej wyjazdu nie zamierzałem odkła-
-dać, postanowiłem nieodwołalnie wybrać się w drogę w dniu 24
czerwca przed północą podczas trwania zabawy.

W wyznaczonym dniu z rana spakowałem rzeczy do plecaka i wynio-
-szłem go do stodoły, następnie z szkolnych książek wyrwałem
najdokładniejszą mapę, włożyłem ją do portfela oraz świadectwo

szkolne z trzeciej klasy jako dokumentem tożsamości. Na tym praktycznie kończył prawie półroczny okres przygotowawczy. Nawet wtedy nie przypuszczałem, że od tamtego momentu zacznie się drugi rozdział w moim życiu.

O d l o t

Czy w kościele na odpuszcie modliłem się szczerze, tego nie pamiętam, natomiast dobrze zapamiętałem, że zabawa należała do udanych, huczna z zadawalającymi postępami w sprawach sercowych. Kiedy zbliżył się ustalony z góry czas, wywołałem brata i oznajmiłem mu, iż za chwilą wyruszę w Polskę. Uzgodniliśmy wspólnie, co miał podczas mojej nieobecności robić, podałem przybliżony termin powrotu i na tym się rozstaliśmy. Brat był jedyną osobą, której zdradziłem swoją tajemnicę, aczkolwiek okazji do pochwalenia się nie brakowało, a też i język nie raz "świerzbiał"; mmm lecz mimo wszystko dłużej udało się utrzymać go za zębami. Z tych względów z nikim nawet nie pożegnałem ani na zabawie, ani w domu. Po rozstaniu z bratem wpałem do stodoły, zabrałem plecak i za moment znalazłem się na drodze prowadzącej do stacji. Podczas marszu oddałem się rozmyśleniom nad drugą częścią planu, który dotąd nie był dopracowany, a faktycznie prawie nie ruszony, tylko w ogólnym mglistym zarysie tkwił w mojej świadomości. Wiedziałem, że granica przebiega niedaleko Grodna i Wołkowyska. Z tymi miastami łączyła kolej i mogłem bezpośrednio przeszkód do nich dojechać. Odnośnie granicy z wyobraźni miałem wyrobione zdanie, że będzie to linia terenowa strzeżona z jednej i drugiej strony przez żołnierzy, którzy pilnują wyznaczone odcinki o nieznannej długości dla mnie i na tym cała wiedza się kończyła. Podczas marszu nie mogłem się zdecydować, gdzie jechać: Grodna czy Wołkowyska. Odległość do tych stacji była prawie jednakowa, natomiast w jakiej odległości od tych miast przebiegała granica

nie wiedziałem, ponieważ na mapie linia graniczna nie była zaznaczona. Na wyczuwanie wywnioskowałem, że z Grodna do granicy było bliżej, niż z Wołkowyska, ale w Grodnie przewidywałem dodatkowe utrudnienie z powodu przeprawy przez rzekę Niemen. Zdawałem sobie sprawę, iż wpaść jej nie pokonam, natomiast na moście mogły stać posterunki, sprawdzające dokumenty, chociaż z drugiej strony wydawało się, że w większym ośrodku miejskim będzie łatwiej niezauważonym zbliżyć do granicy.

W sumie moje rozważania do niczego nie doprowadziły. Postanowiłem jechać w tym kierunku, w którym będę miał wcześniejszy pociąg. Wobec tego kiedy dotarłem do stacji, wykupiłem bilet tylko do Lidy, gdzie pociąg kończył bieg, dalej już zależało od przypadku-wcześniejszego połączenia.

Po zajęciu miejsca w wagonie, pomimo środka nocy i nie wyspania sen nie przychodził z powodu natrętnych myśli, krążące wokół czekającej przeprawy, przed którymi nie mogłem się opędzić. Od czasu do czasu popadałem w krótką drzemkę, aby po przebudzeniu stwierdzić, iż pociąg niewiele posunął do przodu, aczkolwiek tę trasę znałem dobrze, jednak się wydawało, że tamtym razem specjalnie na złość włókł o wiele wolniej.

Po trzech godzinach męczącej jazdy wreszcie rankiem stanął pociąg w Lidzie, natychmiast po opuszczeniu wagonu pobiegłem do rozkładu jazdy w celu zorientowania w dalszych połączeniach. Jak się okazało wcześniej, za dwie godziny odjeżdżał pociąg do Wołkowyska. Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem bez ociągania nabyłem bilet. Jednocześnie powzulem lekką ulgę, bowiem jeden ciężar spadł z serca, bo to, co mogło przytrafić w Grodnie, już stało się nieaktualne, teraz los sam wytyczył trasę, czego nie miałem zamiaru zmieniać.

4 chwilą nabycia biletu od razu zdałem sprawę, że granicę wypadnie przekraczać w terenie lesistym, a ponieważ nic konkretnego.

trzymały się kupy. Taka jazda niczym się nie różniła od jazdy drabiniastym żelaznym rozpędzonym wozem po bruku.

Były to wagony powszechnie używane w owym czasie na terenie ZSRR, o konstrukcji drewnianej, bez przedziałów, z wbudowanymi poprzecznie ławkami z oparciem na wysokości siedzącego pasażera. Oczywiście te najbardziej zniszczone nadające się jedynie na złom przeznaczano na obsługę mało uczęszczanych tras, tej jak do Wołkowyska znajdującej się w rejonie nadgranicznym. Jazda w takich warunkach miała jedną ważką zaletę, a mianowicie: nie pozwalała skupić i oddać rozmyślaniom, co dla mnie było niewskazaniem, mimo tego plusu nie wytrzymałem tego rodzaju tortur i na jednej ze stacji przediadłem się do innego wagonu, który wydawało, że był w lepszym stanie, a być może nie wagon zdecydował, lecz konduktorka o miłym wyglądzie. Ledwie na dobrze rozsiadłem się pociąg zatrzymał na węzłowej stacji Mosty, gdzie tory rozgałęziały w kierunku zachodnim na Grodno, zaś południowym na Wołkowysk. W Mostach nieliczni pasażerowie wysiedli i wagon opustoszał prawie całkowicie. Wówczas do miasta po sprawunki ludzie nie mieli po co jeździć, gdyż handel nie istniał, inaczej sprawa wyglądała na głównych szlakach komunikacyjnych łączących duże miasta, tam tłok w ruchu pasażerskim był związany z przemieszczaniem ludności. Pociąg w Mostach stał dłuższy czas, wyciszone i uspokojone wagony podziały usypiająco do tego znużenie również dało o sobie znać, więc wyciągnąłem się na ławce i za chwilę popadłem w drzemkę od czasu do czasu perkając ukradkiem na konduktorkę, która siedziała w rogu wagonu w sporej odległości od mego miejsca. W półnie, zasugerowany obserwacją konduktorki nawet nie słyszałem kiedy pociąg ruszył, ani nie odczuwałem, w jakiej był sprawności technicznej, moją uwagę przykuły ciekawsze sproszenia.

Po chwili od ruszenia pociągu do wagonu wsiadł młody konduktor, ~~nie~~ i skierował kroki do mojego obiektu zainteresowania, przysiadł się do niej by po krótkim słownym wstępie zaczęli wzajemnie obdzielać się całusami, przyczym czule sciskając. Ku memu zgorszeniu ona zamiast bronić się przejęła inicjatywę w swoje ręce. Z zarumianionymi policzkami i sypiącymi iskrami z oczu energicznie atakowała partnera, natomiast on udając ~~panimama~~ biernego poddawał się jej woli. Z przymrużonymi powiekami zerkiałem i zazdrośnie wzdychałem, pragnąc zamiany rolami, zaś ich pieszczoty przeciągały. Pomimo pociągającego widoku sam nie wiem kiedy zasnąłem prawdziwie, nieprzespana noc w końcu zmogła. Jak długo spałem i co mnie zbudziło, tego nie wiem. Kiedy otworzyłem oczy, od widoku, jaki zobaczyłem z wrażenia skamieniałem, dech zanarło w piersiach, zaś wzrok natknął coś rozkosznego. O zgrozo! Upartę o ławkę klęczało dziewczę z zarzuconą kiecką na łopatki, ukazując obnażone pulchne, okrągłe pośladki, ^z on na kolanach nasładował napęd na koła lokomotywy parowej. W pewnej chwili partner zastygł, poczym podgrwał na nogi, stanął wyprostowany z okazałym prąciem ciężącym ku dołowi i powolnymi ociężałymi ruchami zaczął doprowadzać do ładu dolną część garderoby, natomiast partnerka pozbawiona podrażnień prąciem obejrzała się do tyłu, rzucając przewlekłe spojrzenie zamglonym tęsknym wzrokiem jakby oczekiwała na dalsze spółkowanie, po czym z ociąganiem podniosła się, obracając profilem w jego stronę i zanim podolek spódnicy zdążył opaść na chwilę ukazały się kształtne jak utoczone o kolorze alabastru uda, u których nasady widniała czarna skromna łatka, opromieniona blaskiem ciała.

Zaczarowany rozgrywającą sceną udawałem, że śpię. Pod wpływem urzekającego widoku podniecenie rosło, z wrażenia dosłownie drętwiałem, starałem się nie poruszyć, aby ich nie spłoszyć. Wprawdzie zajęci rozkoszną zabawą, pochłanieni sobą bez

reszty na zachowanie ostrożności byli zobojętniali, gdyż cały świat w tamtym czasie należał do nich, dopiero po wygaśnięciu uniesienia erotycznego i doprowadzeniu garderoby do porządku ona już trzeźwym wzrokiem rozejrzała się wkoło, raczej wówczas moja obecność wzbudziła jej podejrzenie. W celu stworzenia pozorów normalnej sytuacji zaczęła głośno rozmawiać z partnerem, natomiast on po wymianie kilku zdań opuścił wagon. Ja w tym czasie przestałem udawać śpiącego.

Na jednej stacji podczas postaju pociągu konduktorka wyszła na peron, a kiedy pociąg ruszył po zamknięciu drzwi znalazła się, koło mnie, nie tyle z potrzeby, co z ciekawości na jej reakcję zwruciłem się z pytaniem, jak daleko jesteśmy od Wołkowyska? Na moment lekko zażenowała, po czym z drwiącym pół-śmiechem na ustach odpowiedziała grzecznie, miłym brzmieniem głosem, że blisko i wkrótce będziemy na miejscu. Z oznakami zadowolenia, nie okazując speszzenia moją zaczepką, oddalając przerwała nawiązaną rozmowę.

Po obejrzeniu atrakcyjnego krótkometrażowego filmu dobry nastrój udzielił się i mnie, przestałem niepotrzebnie rozmyślać, co czekało dalej.

Nareszcie po 5-6 godzinach jazdy znalazłem się w Wołkowysku, pokonując odległość około 120km z "zawrotną" szybkością w granicach 20km/godz. W pogodny słoneczny dzień 25 czerwca w godzinach popołudniowych/16-17⁰⁰/ stałem samotnie na peronie, rozglądając wkoło, rozmyślałem co dalej począć? "Ozodek" podpowiadał, że przy panującej pustce, braku pasażerów, wystąpienie się na pokaz obcej osobie było rzeczą niewskazaną, ponieważ za chwilę mógł stać się obiektem zainteresowania dla osób niezyczliwych.

W z a k a z a n e j s t r e f i e

Na stacji w Wołkowysku zatrzymałem się tylko na tyle, ile
potrzebowałem

potrzebowałem na ustalenie stron świata. Na dworzec nie zachodziłem, bezpośrednio z peronu skierowałem do wąskiej uliczki o parterowej rzadkiej zabudowie. Leżała ona na obranym zachodnim kierunku. Po 20 min. drogi a może szybciej ulica kończyła się ślepa, dalej przede mną rozpościerała równa, otwarta przestrzeń, konkretnie ugorowe pastwiska poprzetykane pasami pól uprawnych, ciągnącymi w dal, gdzie na horyzoncie majaczyła ściana lasu. Z tych pobieżnych ustaleń, według mego zdania wynikało, że dworzec w Wołkowysku jest położony w znacznej odległości od miasta, lecz czy tak jest w rzeczywistości tego nie byłem pewien chociaż sądzono mnie było odwiedzić go jeszcze kilka razy, ale w takich okolicznościach, w których nie mogłem zajmować się jego lokalizacją.

Wyty przeżytych wrażeń, w dobrym nastroju i bez najmniejszych obciążeń psychicznych, czułem się pewnie jak na własnym terenie, więc parłem do przodu na przekaj, nie szukając dróg ani ścieżek, przecinałem w poprzek zaniedbane grunta w kierunku widniejącego lasu, nad którym wisiała blada o tej porze dnia słoneczna tarna tarcza. Po godzinie forsownego marszu dotarłem do lasu, obok niego biegła polna droga, wszedłem na nią i podążałem dalej w kierunku zachodnim. W pewnym momencie ujrzałem przed sobą na dukcie leśnej wyjeżdżającego rolnika z kłódą drzewa na wozie. Kiedy znalazł się on na drodze, przyspieszyłem kroku i po zrównaniu z wozem pozdrowiłem jego, po czym nie zwlekając wdałem się z nim w rozmowę a ścisłej przystąpiłem do przeprowadzenia wywiadu - z którego wynikało co następuje: Kierunek marszu obrałem właściwy, dokładnej odległości do granicy on nie wiedział, zaś w przybliżeniu szacował na około 50km. Od Wołkowysku obowiązywała strefa przygraniczna, w której obce osoby na przebywanie i poruszanie musiały posiadać specjalne zezwolenie, wydawane przez odpowiednie organa.

W dalszej rozmowie rolnik zapewniał, że w najbliższej okolicy mogą się czuć względnie pewnie, ponieważ dopiero dalszy teren w kierunku granicy jest regularnie penetrowany przez pogra-
-czników. Zajęty rozmową, nim się spostrzegłem, rolnik oznaj-
-mił, iż jest już w pobliżu miejsca zamieszkania. Na pożegnanie wskazał mi dalszy kierunek drogi i tak się rozstaliśmy. On skręcił w bok do widocznej wioski ja poszedłem prosto.

Po przebyciu około 7km od miejsca rozstania, tuż przed zachodem słońca z zakrętu wyłoniła się duża wieś ułożona półkolem. U wlotu drogi do wsi spostrzegłem ścieżkę, biegnącą przez pola poza gumnami, na skróty łączącą końce wsi. Wybrałem ją z myślą, że będzie bezpieczniej iść poza opłatkami niż paradować ulicą przez środek wsi. Na drugim końcu ścieżka wypadała na ulicę przed trzema zagrodami kończącymi wieś. Po wyjściu na ulicę na moje nieszczęście natknęłem się na dwóch osobników, stojących na środku ulicy w odległości 50m przede mną, chociaż byli ubrani po cywilnemu, jednak po rodzaju odzieży było można rozpo-
-znać, iż reprezentowali organa władzy. Na ich widok zrobiło się mi gorąco, mimo wszystko udawałem opanowanego i zdecydowanie szedłem do przodu. W czasie mijania tych młodych mężczyzn powiedziałem im, ominąłem ich obok będąc już pewnym, że nie byli zainteresowani moją osobą, nagle usłyszałem z tyłu: stój! wróć! Po obróceniu i zbliżeniu do nich zażądali okazania dokumentów. Wyjąłem z portfela świadectwo szkolne i podałem jednemu z nich, który po obejrzeniu stwierdził, że nie jest ono żadnym dokumentem tożsamości, mi oddał spowrotem i zapytał czy mam przepustkę na przebywanie w strefie przygranicznej - na co odpowiedziałem, iż nie wiedziałem o takim wymogu. W odpowiedzi usłyszałem, jeżeli tak mało wiesz, w takim razie zabieraj się z nami.

Zaprowadzili do domu, w którym prawdopodobnie byli zakwaterowani.

jeden z nich gdzieś pośpiesznie wyszedł i więcej go nie widzi-
-łem, natomiast drugi przystąpił do mego niezbyt formalnego
przesłuchania. W pierwszej serii pytań chciał wiedzieć: skąd
jestem, ile mam lat, oraz gdzie idę i po co? Na pierwsze dwa
pytania odpowiedziałem zgodnie z prawdą, natomiast na ostatnie
zacząłem zmyślać. Tłumaczyłem się, że w te strony wybrałem na
handel, miałem zamiar sprzedać posiadany towar i za uzyskane
pieniądze nabyć tytoń, który w rejonie jego uprawy jest tańszy.
Po wysłuchaniu moich wyjaśnień nic nie mówiąc, przejął plecak,
przerzucił znajdujące się w nim przedmioty, następnie polecił
podać portfel, przeliczył pieniądze i wszystko zwrócił z lako-
-niczną uwagą: ty zamierzałeś zwać z ZSRR, ale czy wiesz, że
za próbę ucieczki czeka 10 lat więzienia! I na tym zakończył
wypytywanie. Wyciągnął przybory do golenia i ~~zaczęła się~~
i przystąpił do golenia w milczeniu.

Ja również siedziałem cicho, ^{rozmyślając i klnąc} ~~rozmyślałem i kłępiłem~~ w duchu, że
na początku wyprawy tak paskudnie wpadłem.

Panujące milczenie przerwała gospodyni, wyszła ona z drugiego
pomieszczenia, przyniosła parujące ziemniaki i garnek zsiadłego
mleka, po tym ~~podziękowała~~ postawiła na stole dwa talerze i
oznajmiła, że kolacja gotowa. Mój "opiekun" polecił siadać do
stołu. Podczas posiłku wywiązała się rozmowa w toku, której on
wyznał, iż znał dobrze moje strony. Od takiej znajomości ~~nie~~
przełykany ziemniak stanął mnie w gardle, ponieważ nie wróżyła
ona nic dobrego z jego strony, bowiem nie dwuznacznie wynikało,
że był on radzieckim partyzantem i działał na terenie puszczy
odległej 5km od mego miejsca zamieszkania. Faktycznie przebiegał
tam pierwsza linia nieoficjalnego frontu dzieląca dwa wrogie
obozy, na której dochodziło do różnych starć między miejscową
ludnością a partyzantami, przyczym do końca wojny oni nie zdoł-
-ali ~~podporządkować~~ a-

nas podporządkować sobie. Na ich rabunki ludność odpowiedziała najpierw dobrze zorganizowaną samoobroną, zaś w późniejszym okresie inicjatywę w swoje ręce przejęły oddziały akowskie, odtąd radziecka partyzantka nawet nie próbowała wysadzić nosa w naszym kierunku ze swego matecznika, gdzie dopuszczała się mordów na ludności polskiej. Z chwilą wkroczenia wojsk radzieckich z ich utworzono trzon władzy terytorialnej na wszystkich obszarach, odtąd w pełnej okazałości mogli nadużywać ~~siły~~ swej siły wobec przeciwników.

Jeżeli moje podejrzenie było trafne, wówczas z naszego spotkania dla mnie nic dobrego nie mogło wyniknąć o tym z całą świadomością zdawałem sprawę, ale na wszelki wypadek zwróciłem się do niego z pytaniem co zamierza ze mną zrobić, tym bardziej, że po spożyciu kolacji zapadła noc, a on nadal ociagał ^{się} tak jakby oczekiwał na przybycie jakiejś osoby. W odpowiedzi usłyszałem, że zaprowadzi mnie do aresztu, w co nie bardzo dowierzałem, aby na wsi znajdował się areszt, aczkolwiek jednocześnie brąłem pod uwagę i drugą ewentualność, iż w pobliżu w sąsiedniej wsi mógł się znajdować posterunek milicji. W sumie mój sondarz nic konkretnego nie dał.

Przed północą z gnębiących czarnych myśli wyrwało jego polecenie. Kazał zabrać plecak i iść za nim. Po wyjściu z domu ze światła na podwórze ogarnęła nas ciemna noc, utrudniająca poruszanie, dopiero po oswojeniu z ciemnością widoczność powiększyła do kilku kroków, szliśmy przez uśpiłą wieś, nie odzywając do siebie. Za wsią zeszliśmy na drogę skręcającą w bok. Po przejściu około 500m droga zaprowadziła na wzgórze do żwirowni tam kazał zatrzymać się, następnie wyciągnął z kieszeni pistolet i podrzucając go w rękę polecił mi zejść z drogi do żwirowni i tam usiąść. Oczywiście, od takiej propozycji struchlałem - pierwszy raz rozpoznałem uczucie zagrożenia życia, więc

zacząłem prosić, aby wypuścił, za co obiecywałem oddać pieniądze i wszystkie rzeczy. Na moją prośbę pozostał głuchy, nadal ponawiał swoje żądania. Gdy zdałem sprawę, że moje zabiegi nie przynosiły żadnego skutku, postanowiłem uciekać. Ta gorączkowa myśl błysnęła na moment i natychmiast bez zastanowienia wykonałem gwałtowny ruch ręki, w której trzymałem plecak, - z całej siły z rozmachem rzuciłem mu go w twarz, jednocześnie ukoczyłem w bok i zacząłem susami uciekać. Rwałem do przodu bez opamiętania. W pewnym momencie padły dwa strzały, jeden po drugim, usłyszałem bliskie bzyknięcia kul, lecz nie oglądałem się do tyłu, gnałem przed siebie na ile starczało sił. Dopiero jak w piersiach zaczęło brakować tchu i padałem ze zmęczenia, przestałem biec. Po zatrzymaniu się począłem nasłuchiwać - w koło panowała martwa cisza, tylko gdzieś w dali ciszę zakłócały ujadanie psów. Kiedy się upewniłem, że nikt nie gonił, przez moment nie bardzo wierzyłem w niedawne zajście, tylko gwałtownie bijące w piersi serce świadczyło o nieprzyjemnym zdarzeniu. Po otrząśnięciu się z przeżytych świeżo wrażeń i odsapnięciu ruszyłem dalej już normalnym krokiem, ale bez celu, bowiem straciłem całkowicie orientację zarówno w ogólnym położeniu jak i stronach świata. Nie wiedziałem gdzie miałem iść. Znalazłem się w terenie pagórkowatym poprzecinanym, kotlinami, z rzadka zakrzewionym i zadrzewionym, na gruntach wyłączonych z uprawy. Widok wywierał wrażenia dzikości, krajobrazu księżycowego. Niewatpliwie sprawca, tamtej ~~summa~~ tajemniczej scenerii, wywołującej objawy strachu, była noc. Kiedy znalazłem sam, na rozgwieżdżonym niebie przesuwaly się płaty chmur, które w poświecie księżyca rzucały na ziemię ruchome cienie, pełzające po wzgórzach, co razem z kępami drzew i ich cieniami tworzyły najprzeróżniejsze figuralne układy w półmroku tchnące grozą. / pojawienia się księżyca mogło być spowodowane rozpogodzeniem, lub jego wschodem w późniejszych godzinach nocnych /

W tej baśniowej scenerii maszerowałem dłuższy czas, aby znaleźć¹ dalej od miejsca nieprzyjemnego zajęcia, a kiedy trochę uspokoiłem i poczułem zmęczenie stwierdziłem, iż nie było sensu dalej iść, zanim się nie ustalił właściwego kierunku. Wobec tego postanowiłem szukać legowiska na nocleg. W krótko natknąłem się na młody sosnowy zagajnik, gdzie wybrałem odpowiednie miejsce do spania na suchej ściółce, lecz kiedy usiadłem i zacząłem moczyć legowisko, nieoczekiwanie zawitał strach, powodujący ciępnięcie skóry na plecach. Dopóki byłem w ruchu, chociaż z duszą na ramieniu, ale jakoś trzymałem się kupy, zaś po zatrzymaniu spotęgował do tego stopnia, że nie mogłem nad nim zapanować, żeby było od kogo wzywałby pomocy. Nie rażiłbym nikomu znaleźć¹ się pierwszy raz w życiu wśród nocy, w zaroślach, zdaleka od zabudowań na dodatek w obcych stronach i samotnie. Nie wiem czy w takich okolicznościach ktokolwiek potrafiłby zgrywać, bohatera, bo jak wiadomo, strach ma wielkie oczy, a jeśli on ^{wyładnie} ogarnie człowieka to drobny szczegół urasta na miarę potwora. Przed ostatecznym załamaniem ledwie się uchroniłem, gdy już było źle jeszcze potrafiłem zmobilizować i ostateczną siłą woli skarcić w duchu mazgając tą wypróbowaną metodą pozostałą z lat dziecięcych i to poskutkowało. Po zwinięciu w kłębek i nakryciu płaszczem ciała i głowy/ takie schowanie głowy/ okazało się najlepszym sposobem na strach, lęk natychmiast ustąpił, nie pozostawiając śladu, więc zasnąłem zaraz kamiennym snem.

Wracając do zajęcia w zwirowni w rachubę wchodziły dwie ewentualności: albo miałem do czynienia z wyrafinowanym draniem lub z człowiekiem przyzwoitym. Najprawdopodobniej był on byłym radzieckim partyzantem w okresie wojny na wschodnich terenach, a dla ludzi z taką przeszłością rabunek albo popełnienia morderstwa nie stanowiło problemu. Wprawdzie za popełnienie

takiego czynu nie czekał wielki rap, ale zawsze pewną wartość przedstawiał, natomiast konsekwencje nie groziły żadne, ponieważ w razie potrzeby w najgorszym wypadku mógł się wytłumaczyć, iż użył broni spowodu usiłowanie ucieczki podjarzanego.

Z drugiej strony są podstawy sądzić, że kierował się innego rodzaju pobudką, po prostu chciał nastraszyć gówniarza i tym sposobem wymusić powrót do domu, ponieważ gówniarz sam dobrze umiał orientować, że na przekroczenie granicy miałem znikome szanse, dlatego wolał zapobiec przed przykrymi następstwami, wtedy tam w wypadku specjalnie nie przejmowałem się, potraktowałem ją jako zwykły zbieg okoliczności, winiąc siebie za brak ostrożności. Gdy minął strach i doszedłem do siebie, postanowiłem zaostrzyć czujność, ale o tym, aby wracać do domu takiej myśli ani na chwilę nie dopuściłem, takie posunięcie oznaczałoby upokorzenie do czego narazie nie było śpieszno.

Zbudziłem się zziębnięty chociaż słońce wisiało wysoko nad horyzontem w pozycji oznaczającej godzinę ósmą, jednak w cieniu jego promienia operowały jeszcze słabo. Po zerwaniu się na nogi od razu byłem gotowy do drogi, bowiem śniadanie i poranna toaleta wypadły z rozkładu dnia. Suchego prowiantu na drogę zabrałem dostateczną ilość i doskonałej jakości, lecz wszystko pozostał w plecaku, więc głód nim zaspakajał ktoś inny. "nie natomiast pozostało pomarzyć .

Starałem się utrzymywać zachodni kierunek marszu na podstawie słońca. Jak daleko sięgałem wzrokiem, rozpoczynał teren półotwarty, na którym przeważały pastwiska i ugory, poprzeplatane enklawami lasów i gajami. Dla rozgrzewki początkowo posuwałem szybko, lecz gdy słońce zaczęło silniej dogrzewać, tempo marszu zwolniłem. Z dala dostrzeżone osiedla i wioski omijałem za wczasu, przez tego rodzaju kluczenia musiałem często zmieniać kierunek, co powodowało nadkładanie zbędnych kilometrów.

W godzinach południowych kiedy znajdowałem na leśnej drodze w pewnym momencie las się kończył a przede mną pojawiła się rzeka z mostem, za nią na niewysokim wzniesieniu wieś w koło otoczona uprawnymi polami. Dopiero daleko za wsią widniała następna sciana lasu. Ubezpieczone otwartej przestrzeni nie wchodziło w rachubę. - celu zachowania maximum ostrożności postanowiłem czekać w zarostach przed mostem aż nawinie się miejscowa osoba. Chciałem zasięgnąć od niej języka i dopiero powziąć dalsze postanowienia. Zeszedłem na brzeg rzeki, wybrałem odpowiednie miejsce do kąpania, po zmyciu kurzu i brudu, rzeźki i wygłodniały ułożyłem się w cieniu w zarostach, skąd prowadziłem obserwację drogi z przyległym terenem. Znużony warunkami, gdyż nik się nie pojawiał, w międzyczasie zasnąłem. Spałem chyba długo? Kiedy się obudziłem, słońce już się cayıliło ku zachodowi, a w pobliżu nadal nie było żywej duszy. Czekałem jeszcze około godziny, zaniem ujrzałem na drodze po mojej stronie rzeki gospodarza prowadzącego na powroczach dwie czerwone krowy. Gdy się zbliżył, podszedłem do niego i zacząłem wypytywać. Dowiedziałem od niego, że się znajduje w odległości nie większej niż 20km od granicy. Cała okolica i jej mieszkańcy są pod ścisłą obserwacją, chociaż we wsi na staże nie przebywają organa bezpieczeństwa, ani żołnierze z ochrony granicy, ale bezprzerwy mieszkańców nachodzą, dlatego należy mieć się na baczności, bo o każdej porze dnia i miejscu można na nich natknąć. Następnie doradzałem ominąć wieś, umychem sam się podjął przeprowadzić obok niej, wychodził z założenia, że z miejscowym będzie bezpieczniej. Oczywiście z takiej propozycji chętnie skorzystałem. Gdy mineliśmy wieś, polecił iść dalej polną drogą w kierunku lasu, gdzie za pagórkami w kotlinie miałem napotkać gospodarstwo /jak się nie mylę należące do Jarosza/ tam rzekomo mogłem liczyć na uzyskanie więcej wiadomości odnośnie spraw dotyczących granicy.

Po otrzymaniu cennych informacji i wskazaniu drogi rozstałem z moim przygodnym przewodnikiem. O zmroku dotarłem do wskazanego gospodarstwa, byłem wściekle głodny, ^{zjadł} od kolacji z ubiegłego wieczora nie miałem nic w ustach.

Gospodarza zastałem na podwórzu, nie wyglądał na zachwyconego moją ~~niezamierzoną~~ wycieczką, raczej na przestraszonego, unikał rozmowy, lecz kiedy poprosiłem o jedzenie nie odmówił. Gdy córka wiaćcała z udoju zaprowadził mnie do domu, nalał kubek mleka i podał z dużym kawałkiem chleba. W czasie spożywania posiłku gospodarz początkowo przyglądał w milczeniu po czym jednak zmiękł i przemówił. Usilnie doradzał, żebym zrezygnował z powziętego zamiaru, twierdził, że granica jest tak silnie umocniona i strzeżona, na niej nawet mysz nie prze^{się}liźnie, tym bardziej człowiek. Według jego słów, o ile początkowo po jej ustanowieniu dość często miejscowa ludność naruszała granicę to teraz o takim ~~przypadku~~ wypadku od dawna nie słyszał.

Dowodził, że obecnie każda próba jej naruszenia kończy się niepowodzeniem, a jednocześnie cały aparat graniczny podrywa się na nogi, wisi w terenie i dochodzeniu, w jaki sposób delikwent dotarł do granicy, nie ma końca. Natomiast moja próba wydobycia informacji, na czym polegało umocnienie granicy i w jaki sposób była strzeżona, spełzła na niczym? Być może i wiedział, ale nie wyjawiał ze względu na zagrożenie przez represje, ewentualnie nie miał styczności i rozpoznanie, co raczej było mało prawdopodobne. Z uwagą wysłuchałem ostrzeżeń, za wszystko grzecznie podziękowałem, chociaż nie w pełni zostałem usatysfakcjonowany po czym opuściłem dom. Do lasu miałem około 100m, szedłem jednolitym sosnowym lasem przeszło godzinę, wreszcie w obawie aby w nocy nie zbliżyć się do granicy, postanowiłem zanoć. I tu się okazało, że przez poprzeczenia noc całkowicie usopornikiem psychicznie na leśną samotność. Pomimo nocy i leśnej głuszy czułem się spokojnie tak jakby kładł spać w domu do łóżka.

Spałem mocnym snem w nagrzanym ciepłym leśnym rześkim powietrzu, przez korony drzew nocny chłód nie miał dostępu dlatego być może obudziłem się późno, kiedy już słońce stało wysoko na niebie. Dzień 26 czerwca zapowiadał się słoneczny i upalny. Maszerowałem cały czas lasem przeważnie sosnowym, niestety nie wiedziałem, że znalazłem się na obszarze wchodzącym w skład pułki - szczy Kayszyńskiej lub Świsłockiej. Wokoło panowała leśna cisza przerywana chwilami świergotem ptaków. Mocno byłem zaskoczony, gdy w tej pustce natknąłem na pierwszą w tym dniu osobę, był nim młody drwal nie-wiele starszy ode mnie, ładował on na wóz krótkie drzewo. Wyrosłem przed nim jak spod ziemi, czym był mocno zdziwiony. W rozmowie okazał się bardzo przyjaźnie ustosunkowany do mojej osoby, również na moje przedsięwzięcie zachowywał optymistycznie, tym dodał mi tak pożądanej otuchy. Aczkolwiek gdy poruszyłem konkrety stał się powściągliwym. Powiedział otwarcie, że nie jest pewny, z kim ma do czynienia, miał obawy czy nie byłem wysłany w celach prowokacyjnych, ponieważ takie wypadki już miały miejsce. Uważał, że granicę można przejść ale przy zachowaniu bardzo dużej ostrożności, ponadto oznajmił, że znajduje się ona całkiem blisko, ale więcej danych nie chciał podać, nawet kierunku i konkretnej odległości, bowiem wraz z moją wpadką mogły go czekać przykre konsekwencje za udzielanie takich informacji.

Od tego spotkania przez dłuższy czas pokonywałem głąb leśną głąsę aż do momentu, gdy usłyszałem przed sobą w głąbi lasu ujadania sfery psów. Zwojłem czujność - zacząłem skradać poza drzewami wytężając wzrok! Wnet ukazała się wycięta w starodrzewiu kilkubektarowa polana a na niej zabudowania typu barakowe - go, ustawione w czworobok, całość ogrodzona na zewnątrz płotem z parkanu. Na rozległym podwórku panował ruch, prawdopodobnie przeprowadzano szkolenie psów, bowiem z dala widziałem grupki

żołnierzy z psami na smyczy, które się na wzajem oszczekiwały. Byłem pewny, że miałem przed sobą strażnicę wopistów, przez dłuższy czas obserwowałem ją z ukrycia z samej ciekawości i dla ustalenia, co się tam działo, po czym wywołałem do tyłu i zacząłem z dala ją obchodzić. Starłem utrzymać bezpieczną odległość taką, aby nie być widocznym, a kiedy w przybliżeniu znalazłem po przeciwległej stronie strażnicy na linii prostej wytyczonej marszruty, ponownie zagłębilem się w las. Pusuwałem powoli bardzo dokładnie lustrując teren. Wkrótce jednolity stary sosnowy las się kończył, natomiast wszedłem w młodszy mieszany, z bogatszym poszyciem, gdzie o mało nie zawadziłem o cienki miedzianny drut rozciągnięty na kołkach na wysokości kolan. Dostrzegłem go prawie w ostatniej chwili, kilka kroków przed sobą, gdyż w tym czasie byłem zajęty przeglądaniem dalszych partii lasu i nie zwracałem większej uwagi na to, co co się znajdowało pod nogami. Dumny z siebie, iż w porę dostrzegłem pułapkę, którą z dużą ostrożnością bez większego trudu przekroczyłem i oddaliłem się od niej na małą odległość. Następnie zatrzymałem, przeżegnałem i rozpocząłem odmawiać pacierz, dziękując Bogu, że pozwolił tak łatwo przekroczyć granicę. Po chwilowym odpoczynku zacząłem się oddalać z myślą jak najszybszego opuszczenie granicznego zagrożonego rejonu. Wkrótce ciemny las o suchym podłożu się kończył, dalej rozciągał liściasty z przewagą olchy o grunie podmokłym, jeszcze dalej teren zamienił się w bagnisty i trzęsawiska. W tamtych warunkach posuwanie się do przodu było coraz bardziej utrudnione. Początkowo byłem zmuszony przeskakiwać z kępy na kępę, ale lecz po pewnym czasie dotarłem do jeszcze bardziej grząskiego miejsca, gdzie odległość między kępami powiększyła na tyle, że z jednym skokiem nie zawsze udawało się ją pokonać, ponadto pod

wieloma kępami również był grząski grunt i zapadały się one w bagnie pod ciężarem ciała. W takich wypadkach kiedy pod nogami nie miałem twardego oparcia z trudem utrzymywałem równowagę, więc w następstwie przy słabym odbiciu nie byłem w stanie dotrzeć do upatrzonego punktu bez wpadnięcia w maź, która szybko oblepiała nogi, wsysała je, krępując ruchy. Przed nie-
-chybną topielą ratowałem się rękami, chwytając za najbliższ^{ej} rosnące ~~krzewy~~ karłowate ~~na~~ krzewy lub byliny na kępach i wciągałem ciało z błota. Dodatkowe utrudnienia w pokonywaniu ~~u~~ topieli przysparzał upał słoneczny. W zaroślach nie odczuwało najmniejszego powiewu wiatru, zaś słońce stało w zenicie i pra-
-żyło niemilosiernie, twarz zalewał pot, mięśnie omdlewały i odmawiały posłuszeństwa, ponadto od nadmiernego wysiłku począł nieznosnie dokuczać głód. Skromne dwa posiłki w ciągu dwu przed-
-ostatnich dni okazały się niedostateczne na tego rodzaju wysiłek. Nie miałem odwagi wycofać się, gdyż zdawałem sprawę, że zabrnąłem za daleko i nie starczyłoby sił na drogę powrotną. Z kolei nie miałem żadnego rozeznania jak daleko rozciągały bagna przede mną, ponadto przez nieustanne kluczenie straciłem całkowitą orientację w terenie, nie byłem pewny czy posuwałem się do przodu czy krążyłem w koło. W rezultacie nachodziły ~~mi~~ chwile, że byłem gotów krzyknąć, wzywać głośno pomocy, nie zwa-
-żając, jakie byłyby tego konsekwencje, miałem wszystkiego dość, jedynym pragnieniem było jak najszybsze wydostania się z bagna. Strach przed topielą wydobywał resztki sił. Na szczęście ~~gdy~~ gdy byłem u szczytu rezygnacji, grunt zaczął stopniowo zmieniać ^ć na suchszy, wprawdzie nadal był grząski, to jednak stawał się coraz zwężlejszy, gęściej porastał bagienną roślinnością, podglebie stawało w miarę twarde, na nim zapadało się jedynie do kolan. W znosniejszych okolicznościach kryzys psychiczny ~~u~~ nie wiadomo kiedy minął.

~~Wtedy~~ poczułem się lepiej i nieco ~~poprawiłem~~ z ~~zmarłymi~~ nadmiar^u

~~mmmmmmmm~~wrażen! Natrafiłem na obranej trasie nową nieprze-
-widzianą przeszkodę, a mianowicie: zagroził drogę pas o sze-
-rokości 20m ogołocoony z większych drzew, wzdłuż niego biegła
kładka ułożona na podporach z pali na wysokości wzrostu człow-
-wieka . W dali na pasie z jednej i drugiej strony widniały
wieże strażnicze, ze strony prawej była pusta, a na lewej stał
oparty o barierę żołnierz w pozycji nieruchomej z oznakami
drzemania lub ~~zamyslenia~~ ^{zamyslenia}. Kładka z rozłupanych na pół okrągła-
-ków łączyła te wieże. Nam szczęście przedostanie się przez
pas nie nastęrczało najmniejszych trudności, ponieważ zadanie
ułatwiała porastające na nim gęste krzewy, wysokie turzyce i
inne byliny bagienne oraz bujne odrosty ze ściętych drzew i
różne ziele ~~mmmm~~ wszystko razem tworzyło doskonały płaszcz
ochronny na wysokości do 2m maskujący przed wzrokiem wartownika
na wieży. Faktycznie strażnik mógł obserwować przeloty ptaków
przez pas, natomiast to, co się działo w dole na gruncie ideal-
-nie było zamaskowane przez naturę, bardziej zakryte niż teren
przyległy. Nie kryjąc ^{się} przekroczyłem strzeżony pas i kpiąc w
myślach z najwności pograniczników posuwałem się dalej naprzód.
Podkorze leśne stawało się coraz suchsze, drzewostan liściasty
przechodził w mieszany, a potem w iglasty. "iestety po przekro-
-czeniu ostatniej przeszkody straciłem wcześniejsze nadzieje,
że znalazł^{em} się po drugiej stronie granicy, ~~mmmmmmmm~~ w międ-
-dzy czasie stałem się bardziej podejrzliwy. Wobec tego nadal
postanowiłem zachowywać czujnie, zanim dokładnie nie ustalę ,
gdzie się znajduję. W między czasie teren stał się lekko spadzi-
-sty o mieszanym drzewostanie i gęściejszym podszyciu krzewami,
w pewnej chwili las nagle kończył. Na wprost rozciągała rozle-
-gła łąka przecięta wstęgą rzeki, a dalej za nią rozpościerała
ściana niskiego lasu, natomiast z prawej strony na wzniesieniu
koło rzeki wies,

zaś na wprost mł jej za rzeką uprawne pola graniczące z niskim lasem. Ukryty w krzakach badałem wzrokiem okolicę.

Na łące z jednej i drugiej strony rzeki rolnicy uwijali przy sprzęcie siana, miejscami w małych stadkach po kilka sztuk pas-
-ło się bydło, natomiast z mojej strony pod lasem przy łące
kobieta motyką obrabiała zagon ziemniaków, więc ukradkiem zbli-
-żyłem się do niej. Po wymianie kilku zdań ~~pytałem~~ zapytałem
-czy znajdowałem już po stronie polskiej. W odpowiedzi ku dużemu
zmartwieniu usłyszałem, że nie. Z dalszych jej słów dowiedziałem,
iż do granicy pozostało jeszcze niecałe 2 km, ponadto co było
najważniejsze wskazała kierunek oraz orientacyjne jej położe-
-nie. Należało przeprowić się przez rzekę, przejść tory kolejowe
i widoczny w dali las. Tym sposobem zdobyłem cenne konkretne
informacje w jak najodpowiedniejszym czasie.

Po przeprowadzonym rekonensansie wycofałem się do lasu, gdzie
postanowiłem czekać nocy, ponieważ mocno dokuczał głód, więc
udałem się na poszukiwanie czarnych jagód, na które natrafiłem
wcześniej, gdy zbliżałem do łąki. Wkrótce odszukałem je, przez
dłuższy czas zbierałem, ale uczucia głodu i tak nie zaspoko-
-iłem, chociaż żołądek napełniłem dostatecznie.

Z oryginalnej jadalni udałem się zarosłami nad rzekę, tam
rozebrałem, oczyściłem ubranie z błota, zrobiłem małą prze-
-pierzkę i po umyciu się wróciłem z powrotem do lasu, odzież
rozłożyłem do suszenia, zaś sam ułożyłem się do snu.

Obudziłem się przed zachodem słońca, ubrałem i wyszedłem na ten
brzeg lasu, skąd obserwowałem co się działo w polu widzenia.
Rolnicy ściągali z łąk do domów, skrzypiały wozy wyładowane
sianem, dochodziły odgłosy woźniców poganiających konie, od
czasu do czasu rozlegał się spokojny ryk krów spędzanych z
pastwiska, wszystko zmierzało do brodu, zaś po jego przekroczeniu
ginęło z oczu za zarosniętym załomem.

Ze względu na to, że przez rzekę wszyscy przeprawiali tylko w jednym miejscu z tego faktu wypływał wniosek, iż była ona głęboka, stąd w pamięci utrwaliłem, w którym miejscu znajdował się bród. Była to rzeka Swisłocz lub jej dopływ, ewentualnie jeden z dopływów Narewki, natomiast wieś nazywała Zaleszany/o czym dowiedziałem znacznie później jak i to, że w latach 50.. w ramach korekty granic została przyłączona do Polski/.

Gdy słońce schowało się za lasem nad rzeką po łąkach rozlała się gęsta mleczna mgła, stwarzająca wymarzone warunki do kontynuowania ustalonego planu działania. - czekałem aż wszyscy zeszli z łąk, wówczas wybrałem w dalszą drogę nie czekając na zapadnięcia ciemności. Po dojściu do brodu rozebrałem się, ubranie wzięłem do rąk i zanurzyłem w wodzie. Woda była ciepła nagrzana w dzień przez silnie operujące słońce, miejscami sięgała powyżej pasa. Na drugim brzegu po przeprawie, szybko ubrałem się i długim przyśpieszonym krokiem podążałem do torów. Gęsta mgła i mrok gwarantowały bezpieczeństwo. W ciągu kilku minut znalazłem się przy torach, wdrapałem na wysoki w tym miejscu nastyp, gdzie na koronie było znacznie widniej, bowiem do takiej wysokości mgła już nie sięgała. Po drugiej stronie nasypu zanurzyłem się w gęsty kilkunastoletni młodniak sosnowy. Był tak gęsty, że nawet na kilka centymetrów nie widziałem, niewątpliwie w międzyczasie nastąpiła noc, która również była ciemna, aczkolwiek gwiazdzista, lecz bezksiężycowa. Z młodniaka jak z otwartego pieca buchało ciepło, nagrzany słońcem podczas dnia teraz, promieniował na zewnątrz. Ciało zmęczone i nawilgoczone nad rzeczna mgłą z przyjemnością się ogrzewało. Z dala w bok od Zaleszan docierały młode muzyki harmonii i grupowy śpiew. Prawdopodobnie Żołnierze na strażnicy umilali sobie czas służby. Na tym przyjemne wrażenia w zasadzie kończyły, natomiast przedzieranie przez gąszcz następczoło nieprzewidziane duże trudności, stąd posuwałem do przodu mozolnie.

Suche gałęzie z niższych partii drzew ocierały twarz i ręce. Aby uchronić przed wydrapaniem oczu, zasłaniałem ręką i zamykałem je, gdy przedzierałem przez gąszcz. Energiczniejsze poruszanie się powodowało łamanie gałęzi, co w nocnej ciszy potęgowało odgłos trzasków. Pokonywałem las w poprzek nasadzeń, naciskałem na rzędy powoli całym ciałem i tak rząd po rzędzie posuwałem bez przerwy do przodu. Gdy ostatecznie oswoiłem z zaistniałym położeniem, pokonując kolejny n-ty rząd sadzonek nieoczekiwanie poczułem się zaplątany. Pomyślałem jakie лихо, dlaczego wypróbowanym sposobem nie mogę ~~przebrać~~ posuwać do przodu? Okazało się, że na ścianę rosnącego lasu zostały ułożone na wysokość 3m/może wyżej/ ścięte sosenki razem z gałęziami, z czego powstała barykada mająca u podstawy ze cztery metry szerokości i stopniowo zwężająca ku górze. Ułożony w stanie surowym materiał, -pod własnym ciężarem gałęzie ugnitły się, tworząc szczelną przeszkodę. Aby ją pokonać zmuszony byłem jak kret torować przejście na leżąco. Po omacku przed sobą delikatnie, powoli rozgarniałem gałęzie rękoma na boki i w tak przygotowany otwór wpełzałem na brzuchu coraz głębiej w przeszkodę. Kiedy wyczołgałem taką metodą na drugą stronę i stanąłem na nogi, zobaczyłem przed sobą pas wyciętego lasu na szerokość 50-80m. Część wyciętych drzew została ułożona na ścianach lasu, tworzące w ten sposób dwie wymienne barykady, natomiast z pozostałych drzew obcięto gałęzie pozostawiając je na miejscu, zaś z rzerdzi i drągownicy zbudowali następną przeszkodę graniczną.

Z tak uzyskanych gałęzi utworzono warstwę ściółki grubości 50cm² pokrywającą równomiernie cały pas przeszkody.

Z młodych sosenek drobne gałęzie wyschnięte na słońcu na piepły, nawet przy lekkim dotknięciu stopą łamały się, trzeszczały i demaskowały amatorów naruszających zakazany rewir.

Nie trzeba było być geniuszem, aby się połapać, na czym polegała zastawiona pułapka. Z początku miałem duże trudności z pokonywaniem cichym przeszkody, ale po zrobieniu kilku kroków znalazłem sposób na skradanie się i w tamtych warunkach. Stawałem na jednej nodze, na której starałem utrzymać równowagę drugą wysuwałem do przodu i rozgarniałem nią susz, a kiedy pod stopą wyczuwałem czysty twardy grunt wówczas przenosiłem na tą nogę cały ciężar ciała i tak krok po kroku posuwałem mozolnie do przodu. Tempo było ślimacze - na pokonywaniu tej przeszkody straciłem kilka godzin i zachwylił brzask dnia. Z tyłu już niebo purpurowiało, kiedy dotarłem do barykady po drugiej stronie pasa, pokonałem ją o wiele szybciej niż pierwszą, ponieważ było już widniej oraz nabyłem niezbędnej wprawy na pierwszej. Za przeszkodą las był starszy mieszany z przewagą olchy, rzadki z gruntem pokrytym darnią. Niestety nie dano mi się rozpędzić, po przejściu 300m natknąłem na parkan wysokości około 3m, zbudowany z drążków grubości nadgarstka, zaś na górze spowijała pajęczyna kolczastych drutów. Gdy dostrzegłem płot, już z dala rozglądałem się na boki w celu wykrycia strażnika. Ponieważ nic podejrzanego nie zauważyłem, więc od razu z marszu podbiegłem do płotu, wbiłem się do góry chwyciłem za jeden z drążków i kiedy podciągałem ciało do góry, on się ułamał, wydając głośny trzask, rozlegający daleko wśród rannej letniej ciszy - struchlały spadł na ziemię i bez chwili zastanowienia zerwałem z nóg buty, schowałem je za pazuchę, odskoczyłem trochę do tyłu w celu nabrania rozpędu, teraz już z większym impetem wpadam na płot i ponownie skaczę w górę, na moment lekko zatrzymuję się na drutach tam się odbijam po czym ląduję po drugiej stronie parkanu w pulcanej glebie zaoranego pasa granicznego. Natychmiast zerwałem się na nogi, kilkoma suszami pokonałem zaorany pas, wpadłem do lasu i gnałem bez opamiętania z całych sił

Las wnet się kończył, przeciełem jeszcze w biegu łąkę, za nią natrafiełem na poletko zasianego grochu. Dalej biec już nie miałem siły. Na skutek niedożywienia przez ostatnie kilka dni i przemęczenia całkowicie osłabłem do granic bezwładności. Nie wiem czy wtedy jakikolwiek bodziec zmusiłby mnie do dalszego zrywu, bowiem skromne posiłki w znikomym stopniu pokrywały znaczne ubytki energii, wobec tego na chwilę zatrzymałem^{się}, narwałem naręczy grochu, zacząłem wlec się powoli, obrywając płaskie strąki, jednak było ich jeszcze niewiele, dlatego z wyszukiwania strąków zryznowałem i częściowo zaspakałem głód całymi łydżami.

O tym, że tantym razem przekroczyłem granicę byłem pewny, ale kiedy w pewnej chwili obejrzałem się do tyłu, mocno się zaniepokoiłem, bowiem za mną jak ogon ciągnęła wyraźna smuga z ~~daleka~~ daleka, widoczna, powstała na skutek otrącanie obfitej rosy z roślin. Ta smuga była widoczna daleko dokąd sięgał wzrok, het do lasu w kierunku granicy. W tej sytuacji, aby zatrzedź za sobą ślad zmuszony byłem jak najszybciej wydostać na jakąś drogę, stąd ponownie zacząłem biec pomimo ogólnego wyczerpania.

Wkrótce ukazały się zabudowanie wiejskie. O wschodzie słońca, gdy gospodarze wypędzali z obór bydło na pastwiska, dotarłem do pierwszej zagrody we wsi Szymki, dnia 27 czerwca. Na tym w ~~mom~~ zasadzie kończył pierwszy etap przygody, na razie niby pomyślnie. Na zamknięcie tego rozdziału wypada podzielić się w kilku zdaniach refleksjami. Na pewno czytelnika i mnie patrząc z prespektywy odległego czasu zastanawia, skąd się brał upór i zawziętość? Otóż jak na wstępie zaznaczyłem, do podjęcia takiego przedsięwzięcia skłoniła ciekawość, oraz ogólne podłe warunki życia na tamtych ziemiach w owym czasie, lecz gdy się wybierałem w rajzę, wcale nie przypuszczałem, że napotkam tyle nieprzewidzianych przeszkód, aczkolwiek mogłem w każdej chwili się ~~wygn~~ wywołać, gdyż nie miałem za sobą spalonych mostów i praktycznie

nie byłem niczym zagrożony, mimo wszystko jednak brnąłem dalej, na przekór napotykanym trudnościom. Działy one nie odstrasza-
-jąc, lecz ~~o~~ wręcz przeciwnie pociągająco. Takie postępowanie
było nieprzypadkowe, ale wcale nie wynikało z wyjątkowego
uporu. Główną rolę odgrywała przeczytana w dużych ilościach
odpowiednia literatura. Nie mogłem się sprzeniewierzyć bohaterom,
których uwielbiałem. W warunkach domowych w szarej prozie dnia
tylko w marzeniach tliły się ~~moje~~ pragnienia ulubionych moich
bohaterów, natomiast do ich naśladowania nie miałem możliwości
choćby marzenia o tym od najmłodszych lat nie dawały spokoju.
W czasie wojny wydawało ~~mi się~~, że stawały się one realne do ~~mojego~~
spełnienia ~~patryotycznym~~ spełnienia na gruncie patriotycznym, ale
odkąd ten wariant stracił na aktualności, wybrałem drugi mniej
wzniosły za to możliwy do wykonania.

Bohaterów, których gotów byłem naśladować, miałem bardzo wielu,
dzielili się oni na dwie kategorie: jedni wywodzili się z lite-
-ratury historyczno-atriotycznej, a drudzy z przygodowej. Od
najmłodszych lat chętnie pochłaniałem tego rodzaju pozycje,
zanim zacząłem uczęszczać do szkoły, miałem przeczytanych kilkun-
-naście książek, zaś do okresu dojrzewania ponad setkę. Miałem
za sobą takie wysoko cenione znane książki jak: Trylogia
Sienkiewicza, Krzyżacy, Bajbuza, Jelita, Hrabina Cosel - Kraszewskiego,
~~na~~ Na Sandomingu, Huragan - Gąsiorowskiego, Popioły i Wierną rzekę ~~S-~~
Zeromskiego. Winutu, Ostatni Mohikanin, Robinson Crusoe, Tomek
Sawer, Przygody Huka, Duch Puszczy i wielu wielu innych, których
autorów ani tytułów nie jestem w stanie wymienić ze względu na
ich mnogość. Z książek przygodowych na trwało zapadł w pamięć
i najwięcej dostarczył przeżyć bohater Duch Puszczy z książki
o tym samym tytule/. Odrazu już w Wołkowysku wcieliłem się w
tę postać i przez cały czas starałem wiernie go kopiować aż
do Szymek, ~~o~~ wcale nie zdając sobie sprawy, że ta postać była
fikcją literacką. Rola tę zaakceptowałem do głębi, tym bardziej

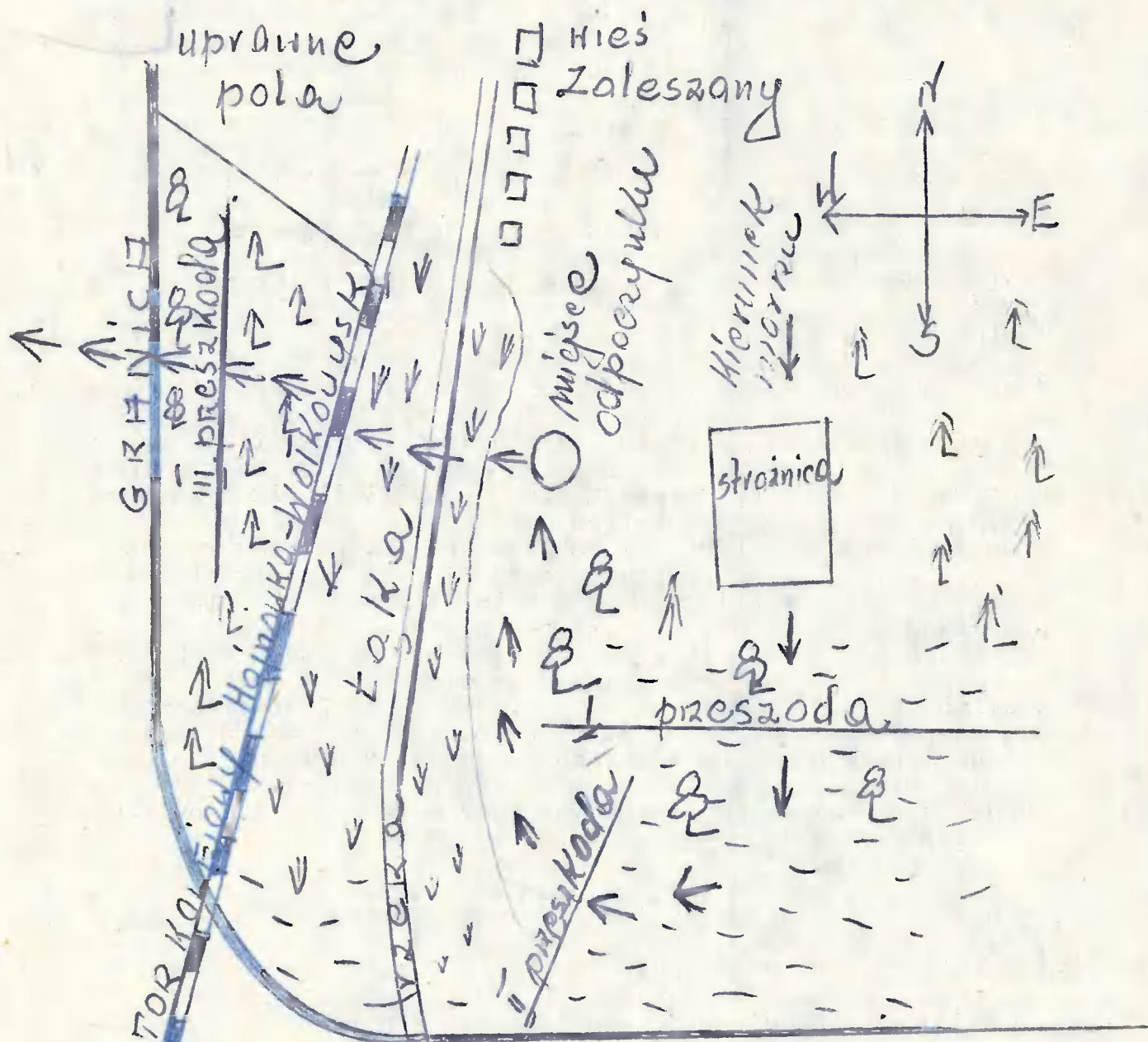
iż przebieg akcji był nieco zbliżony do wzorca mojej przygody ze względu na podobieństwo warunków terenowych. Dlatego ze wstydu przed sobą nie chciałem być gorszym od swego bohatera, poza tym nie mogłem zmarnować okazji nadarzającej do wielkiej przygody, ~~czego nie można było zmarnować~~. W sumie te przesłanki pozwoliły wytrwać do końca. W powyższym świetle przekroczenie granicy traktuję nie jako wyczyn, lecz młodzieńczą większą przygodę, natomiast dalsze wypadki potoczyły się same, porywając w swój wir moją już bezwładną osobę.

I jeszcze jedno przy okazji pragnę podzielić ^{się} spostrzeżeniem nie mającym bezpośredniego związku z opisywanymi zdarzeniami. Mianowicie: nie mogę zrozumieć dlaczego prawie do dorosłego wieku do literatury podchodziłem od strony naukowej, wcale nie uznawałem fikcji literackiej, gdy tymczasem z natury jestem do przesady rzeczowy. Z kolei kiedy tak późno uświadomiłem na czym polegała fikcja i jej masowe uprawianie poczułem się tym odkryciem niesamowicie rozczarowany, odtąd wszelkie dzieła literackie ^{straciły} swój dawny urok. Potem rozczarowanie przerodziło w przesadny krytycyzm czym jednocześnie zubożyło wewnętrzne przeżycia. Z powyższych względów wolałbym pozostawać w dawnej nieświadomości.

Dalsza sprawa warta wyjaśnienia dotyczy przeszkód na granicy? Otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa z tymi co się zetknę-
-łem przeszkodami nie tworzyły one jednolitego systemu ochronn-
-go. Na skutek błędzenia powstały w kilku miejscach nie jasne
sytuacje, ~~kt~~ wobec powyższego postaram się jeszcze raz przeana-
-lizować ten ostatni nadgraniczny etap podróży.

Najpierw od strażnicy zmierzałem w kierunku południowo-zachod-
-dnim, natomiast po wkroczeniu na bagna skręciłem na północno-
zachodni, zaś granica w tym miejscu prawdopodobnie przebiega-
-ła łukiem, stąd w pobliżu o nią ocierałem. W takim układzie

pierwsza przeszkoda w postaci rozciągniętego drutu mogła być przygraniczną pułapką połączoną ze strażnicą. Natomiast druga przeszkoda w formie kładki raczej spełniała funkcję drogi ze strażnicy do granicy, z kolei wieża-jedna stała na granicy a druga w obejściu strażnicy. W każdym razie granicę przekroczyłem



w rejonie podległym drugiej strażnicy mieszczącej w Zaleszanych, co oznacza, iż w znacznej odległości od pierwszej. Natomiast trzecia przeszkoda z właściwą granicą tworzyły jedną całość. W dużym uproszczeniu drogę marszu i układ granicy przedstawia powyższy schemat.

W załączonym schemacie mogą występować istotne nieścisłości,

gdyż nie korzystałem przy jego sporządzaniu z materiałów karto-
-graficznych, lecz odtwarzałem z pamięci. np. bieg granicy mógł
być nieco inny, następną wątpliwość dotyczy dwu pierwszych
przeszkód, nie jestem w stanie ich dokładnie umiejscowić, w
rzeczywistości mogły być położone inaczej. Reszta raczej powinna
zgadzać ze stanem faktycznym.

P o w i t a n i e

Spotkanie z PRL nie było radosne ani uroczyste, zroszony po
pachy, ociekający wodą ledwie wszedłem na ulicę we wsi Szymki,
sposstrzegłem w drugiej z brzegu zagrodzie gospodynię wypędza-
-jącą krowy z obory na podwórze. Natychmiast bez zastanowienia
skierowałem w jej stronę i po zbliżeniu się, nie przestrzegają-
-jąc konwensansów od pierwszego słowa oświadczyłem, że jestem
bardzo głodny i pragnę dostać coś do zjedzenia. Natrafiłem na
kobietę powściągliwą, co jak wiadomo rzadko się zdarza. Już
samo moje tak o wczesnej porze dnia pojawienie się i wygląd
nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia, prawdopodobnie już
wcześniej widziała gdy brnąłem przez łąki w kierunku wsi,
dlatego była przygotowana, że do jej obejścia zawitam. W czasie
spotkania zachowywała się obojętnie, nie wykazywała żadnego
zainteresowania obcą osobą, tak jakby miała do czynienia z
domownikiem, a być może wyniesione doświadczenie życiowe
nauczyło ją, że lepiej przed nieznaną osobą zachować ostrożność.
Na moją próbę nie odpowiedziała ani tak ani nie, jedynie z
ociąganiem poprosiła do kuchni, tam w milczeniu postawiła na
stole masło, ser, chleb i dzbanek mleka. Zajęty łakomym napeł-
-nianiem żołądka specjalnie nie zwracałem uwagi na gospo-
dynię, dopiero po zaspokojeniu pierwszego - tego natrętnego
głodu poszukałem jej wzrokiem. Stała oparta o kuchnię

w postawie oczekującej kiedy opuszczę dom, lub nasycę się do woli! W kuchni więcej nie było nikogo, w panującym grobowym milczeniu poczułem się skrępowanym. Samej grzeczności wypadło okazać trochę objawów serdeczności, zwłaszcza, że zachodziła konieczność zasięgnąć języka, aby na uzyskanych danych ustalić dalszy plan postępowania, z powyższych względów wypadło pierwszemu przerwać milczenie. W rzeczywistości gospodyni nie była rozmowna, ale na interesujące mnie tematy odpowiadała wy-czerpująco. O sobie i o tym, że przekroczyłem ^{granicę} ~~granicę~~ _{milczeniem} wspominałem, gdyż po wyglądzie i po tym jak topniały na stole postawione produkty z łatwością mogła domyśleć się, tym bardziej, iż wyjaśnił się ten problem w ciągu dalszej rozmowy. Kobieta ostrzegała, żeby jak najszybciej opuścić wieś, gdyż przez nią przebiegała nadgraniczna droga, po której kilka razy dziennie przejeżdżają patrole wopistów z placówki w Jałowie i każdą napotkaną obcą osobę ligitymują, oraz zatrzymują do wyjaśnienia, ponadto oznajmiła, że istnieje jeszcze większe ~~mag~~ zagrożenie ze strony radzieckiej, bowiem jeśli oni wykryją naruszenie granicy, wówczas w pościgu za uciekinierem zapuszczają ⁴⁵ głęboko na stronę Polską, poza tym alarmują polskie strażnice pograniczników i wtedy polują razem na zbiega. Natomiast poruszania się w strefie dalej położonej od granicy, jej zdaniem było względnie bezpieczne, tam rzekomo nie obowiązują ostry rygor. Potrzebowałem jeszcze jednej porady a mianowicie: gdzie miałem iść. Z grubsza jeszcze przed granicą miałem wyrobioną orientację, jak postąpić po stronie polskiej. Do wyboru miałem dwie możliwości: dostać do stacji położonej na linii kolejowej Wołkowysk-Hajnówka lub na linii Wołkowysk-Białystok, ponadto byłem nastawiony, że nie należy korzystać z pierwszej stacji przygranicznej ze względu, iż tam mogli kontrolować dokumenty zatem w rachubę wchodziły następne, stąd niezbędna była informacja, do jakiej stacji miałem iść.

Ze słów gospodyni wynikało, że najbliższą stacją Gródek leżącą na linii, Wołkowysk-Białystok i odległą od Bzymbek o 20km, poza tem wytkumaczyła, którądy miałem iść i nawet podała przybliżoną godzinę odjazdu pociągu z Gródka do Białegostoku. Po samym śniadaniu, pełnym żołądku, z wyczerpującą informacją i z dobrymi myślami ruszyłem na zwiedzanie nowej Polski. Wskazaną drogą prowadzącą do Gródka za wsią skręcała w bok, podarzałem ją krokiem miarowym, pogrążony w rozmyśleniach nad zaistniałym położeniem, w którym się znalazłem. Po wszystkich perypetiach, jakich doznałem na granicy do pierwotnego i przyjętego planu działania całkowicie straciłem przekonanie. O tym, żeby zpowrotem trzeba byłoby wracać przez granicę nie było mowy. Po tylu zmaganiach czułem, że żadna siła nie zmusiłaby mnie do wyboru takiej drogi powrotnej. Wobec tego nieodwołalnie postanowiłem pozostać w Polsce, z czym się wiązało kilka dalszych bardzo istotnych kwestii, wymagających wcześniejszego dokładnego przemyślenia. W pierwszym rządzie sprawa dotyczyła dokumentu tożsamości i zameldowania. W tej materii w myślach postanowiłem szukać oparcia u jednego stryjecznego brata, który przed wyjazdem do Polski zajmował fałszowaniem różnych urzędowych dokumentów, więc zamierzałem tą odpowiedzialnością obciążyć jego. Bez cienia wątpliwości wważałem, iż jemu jako fachowcowi w tych sprawach wywiadczenie takiej przysługi nie sprawi poważniejszego kłopotu, zwłaszcza, że wobec mnie miał pewne zobowiązanie z minionej bogatej przeszłości. / w tym względzie nie myliłem się wyręczał władze radzieckie i polskie, również tam gdzie były ostrożne. Uprawiał on swój preceder przez długie lata aż do śmierci na różną skalę. Rzecz najdziwniejsza, że w ciągu wieloletniej tej nie legalnej działalności o różnym ciężarze gatunkowym nie było ani jednej wpadki. Z drugiej strony za bezinteresowną pomoc władze go nie doceniły i nie nadały chociażby symbolicznego odznaczenia/

O tym, że dla mnie nie był w stanie zrewanżować się, to już nie była jego wina. "Kasymir"ne zmartwienie dotyczyło zakupu biletu na stacji, oraz niezbędne środki na podróż. Z braku polskich pieniędzy rozważałem, w jaki sposób mogłem wejść w ich posiadanie. Do wyboru pozostawały ograniczone wyjścia, bo po utracie rzeczy zbywalnych szanse zdobycia środków płatniczych zmalały. W rachubę wchodziło wymianę rubli na złotówki, spieniężenie srebrnego zagarka lub w ostateczności płaszcza czy koszuli. Sfinalizować transakcję zamierzałem dokonać na dworcu z przygodnymi podróżnymi i tu dręczyły mnie wątpliwości, czy znajdę w ostatniej chwili chętnych nabywców, lecz zajęty obserwacją otoczenia, wkrótce dręczące myśli niespostrzeżenie ulotniły się. Polna droga wiodła przez wieś o zabudowie kolonijnej tak, że nie bardzo było wiadomo, gdzie jedna się kończyła, a druga zaczynała. Na pierwsze wejrzenie rzucała się w oczy zamożność rolników, co było widoczne w zagrodach i na polu. Na niezłych glebach zasiewy zapowiadały się na dobre zbiory, bez przerwy w pobliżu drogi ciągnął się większy kompleks łąk na których rolnicy całymi rodzinami uwijali przy zbiorach siana. Łąki tętniały wzmożonym życiem, na pastwiskach pasło się stadkami bydło i pojedyncze konie, a między nimi pracowali ludzie: kosili trawę, grabili, ustawiali kopy, ładowali drabiniaste wozy, które po napełnieniu wytaczały się na drogę. Na drodze również panował spory ruch, co pewien czas napotykałem wozy z sianem lub puste wracające na łąki po siano. Ludzie zajęci pracą nie zwracali uwagi na samotnego wędrowca, przez całą drogę od Szymek do Gródka nikt mnie nie zaczepił, jedynie przy mijanych pustych zagrodach oczekiwały od przypadku do przypadku różnej maści kundle. Szedłem wolnym krokiem bo nie miałem pogo spieszyc, rozglądałem z ciekawością wokoło, pogoda była piękna słoneczna typowa czerwcową. Pierwsze zetknięcie z nową Polską

zrobiło na mnie dobre wrażenie, pomyślałem to jednak był inny świat / na tej samej ziemi / niepodobny do tego, z którego przybyłem. Na twarzach napotykanym ludzi nie dostrzegało się ryzygnacji ani zastraszenia, w oczach nie tała się nieufność, byli lepiej ubrani i odżywieni, również jaskrawa różnica uwidaczniała się w dobytku bydło i konie były w lepszej kondycji, zaprzęgi zadbane i w dobrym stanie. W sumie uwidoczniało normalne życie, gdy tymczasem za miedzą święciła swój tryumf jedynie zgryzota. To wszystko: napogoda i otoczenie usposabiała optymistycznie, nie żałowałem doznanego poniewierki i poniesionego trudu, byłem zadowolony z siebie i decyzji, która doprowadziła do pomyślnego rozwiązania. W tym optymistycznym nastroju koło południa znalazłem się przy pierwszych zabudowaniach miasteczka Gródek.

Tuż przy drodze zobaczyłem na stodole rolnika zmieniającego pokrycie dachu, wcale nie miałem zamiaru wdawać się z nim w rozmowę, ale prawdopodobnie on mnie wcześniej z dala zauważył, bo kiedy się zbliżyłem nieoczekiwanie zostałem zaczepiony. Przypuszczam, że miał już dosyć roboty, na dachu słońce o tej porze dnia za mocno przypiekało, więc gdy zobaczył zbliżającą się obcą osobę, postanowił sobie odpocząć. Bez wstępu zapytał mnie dokąd idę, a gdy odpowiedziałem, że do pociągu wówczas wyjaśnił, iż wybrałem się za wcześnie, ponieważ będzie dopiero około godziny 16⁰⁰. W międzyczasie zszedł z dachu i zaproponował, abym wstąpił do jego mieszkania, gdzie napijemy wody. Chętnie skorzystałem z tamtej propozycji, gdyż była jak najbardziej pożądana i na czasie. W mieszkaniu od słowa do słowa nie chcąc wyznałem, że w nocy przekroczyłem granicę. Po usłyszeniu tej wiadomości gospodarz i tak dotąd rozmowny stał się wylewny, zaczął wypytywać jak ludzie żyją po stronie radzieckiej, jakie tam panują stosunki, w szczególności był ciekaw jak powodzi się

Białorusinom, którzy wyemigrowali z Polski. Zgodnie z prawdą wyjaśniłem, że oni przeklinają tych, co ich nakłonili do wyjazdu, natomiast w miejscach osiedlenia zostali wyjezolowani, ponieważ przez miejscową ludność są uznawani za wariatów niespełna rozumu. Z kolei w rewanżu on zaczął opowiadać o swoim położeniu i powodzeniu. Na wstępie przedstawił się z nazwiska, jeśli mówił prawdę i mnie pamięć nie zawiodła, to nazywał się Kachański lub podobnie. Przez cały czas trwania rozmowy utrzymywał ~~mmmm~~ incjatywę, dostarczał tematu, aż w końcu poczułem się przewlekłością znużony. Gdy zacząłem przygotowywać do wyjścia, on zaproponował, aby poczekać na obiad. Oczywiście z zaproszenia skorzystałem, ale bez entuzjazmu. Nie wiem, z jakich przyczyn wyczuwałem wewnętrzny niepokój, może za długo przebywałem w tym domu albo natrętne zachowanie gospodarza raziko, chciałem jak najszybciej opuścić mieszkanie - lecz on, niestety, pod różnymi wmajdowanymi pretekstami zatrzymywał.

Po skończonym obiedzie, gdy się zerwałem do wyjścia, on ponownie uprzedził mój zamiar na ^opręce zebrał zeszyty swych dzieci i podał mnie, abym podziwiał, jak się dobrze one uczyły.

Wreszcie po spędzeniu kilku godzin w jego domu, na godzinę przed odjazdem pociągu, rozstałem się z "K" i gdy wyszedłem z zaułku na główną ulicę tamtych razem pustą, jak wymarłą, ledwie zrobiłem na niej kilka kroków, nagle niespodziewanie, nie wiedziałem skąd, zza drzewa lub zza węgła stanął przede mną cywilny osobnik i zażądał okazania dokumentów. Podałem mu szkolne świadectwo, on je wziął i niem oglądając schował do kieszeni, a mnie poprowadził na posterunek. Do posterunku było blisko, dzieliła do niego odległość dwóch domów, podczas doprowadzenia jeszcze wyszperałem w kieszeni bilet z Lidy do Wołkowyska, który zdążyłem niezauważony opuścić na ziemię, i byliśmy już na miejscu. Na posterunku zostałem dwu milicjantów, którzy bez ligitymowania,

i bez pytania od razu przystąpili do przeprowadzenia rewizji. Kiedy przetrzasali kieszenie, natrafili na ruble, które uznali za dowód rzeczowy, innych w ich pojęciu podejrzanych rzeczy nie znaleźli, natomiast ruble wyjęli z portfela, położyli na stole i od nich rozpoczęli przesłuchanie. Pierwsza seria postawionych pytań była szablonowa, dotyczyła miejsca mego zamieszkania, gdzie byłem i po co oraz skąd miałem ruble? Udzielałem im odpowiedzi bez zająknięcia i moim zdaniem, wyczerpującej brzmie-
-cej wiarygodnie. Wyjaśnienie streszczało następująco⁷ podałem, że mieszkałem w jednej z wiosek pod Inowrocławiem, a przyjechałem odwiedzić wujka, zamieszkałego w Podozieranach. Przy tej okazji zabrałem ze sobą ruble, które podczas repatriacji nie zdążono wymienić, więc przywiozłem je do wujka z myślą, że blisko granicy mogą jeszcze przedstawiać swoją wartość. Aczkolwiek spreperowa-
-wana na prędce odpowiedź była wykrętna, ale pozostawała w ~~anglicznym zgodzie~~ zgodzie z logicznym punktem widzenia. Pod wskazanym adresem koło Inowrocławia przebywał mój brat, który wyjechał do Polski na moją metrykę urodzenia/nota bene w tym czasie już tam nie mieszkał i posługiwał się innymi dokumentami/, wieś Podozierany zapamiętałem, kiedy przecho-
-dziłem przez nią w drodze z Szymek do Gródka. Celowo podałem tą, ponieważ była wsią dużą, dlatego na posterunku nie mogli znać wszystkich jej mieszkańców z nazwiska, poza tym mogła nie podlegać terytorialnie temu posterunkowi. Moje odpowiedzi przesłuchujący przyjęli do wiadomości bez większych zastrzeżeń, jedynie zadali dodatkowe pytanie odnośnie nazwiska wujka-
podałem zmyślane i z obawą czekałem na ich reakcję, lecz oni nie zaprzeczali, co przyjąłem z wielką ulgą. Wprawdzie zdawałem sprawę, że prowadzona zabawa na dalszą metę nie miała sensu, ponieważ po dokładniejszym sprawdzeniu, wszystkie kłamstwa
z łatwością wyłapią, jednak brnąłem dalej, wychodząc z

założenia, iż nie miałem nic do stracenia oraz poddanie się walkowerem stało w sprzeczności z wyznawanymi zasadami. Pierwszy etap przesłuchanie dla mnie zakończył korzystnie, ale oni nie pozwolili długo tym cieszyć, wpadli na nowy pomysł i rozpoczęli zadawać pytania z innej beczki. Wymieniali po kolei polskie banknoty, a ja miałem określać ich barwę - nie było to zadanie łatwe, gdyż polskich powojennych pieniędzy nie widziałem w życiu i nie miałem zielonego pojęcia, jak one wyglądały. W tej sytuacji zachowywałem jak uczeń nieprzygotowany z przedmiotu przed egzaminatorem, patrzyłem uważnie przesłuchującym w oczy i z ociąganiem strzelałem na chybił trafił bliżej nieokreślonymi kolorami, jak szary, brudnowodnisty, itp. obserwując ich reakcję i ku memu zdumieniu prawdopodobnie trafiałem blisko, a bo z tą grą dali spokój, oczywiście, z mego opisu na pewno nie byliby w stanie rozpoznać banknotów, jak naprawdę one wyglądały. W następnej kolejności postawili pytanie, jakie noszą kolejarzy czapki? Odpowiedziałem, że rogatywki - bo tyle pamiętałem z okresu przedwojennego, wtedy uzupełnili pytanie pomocniczym, jaki emblemat zdobi kolejarskie czapki? Tu ostatecznie się wsypałem, bowiem podałem, że skrzyżowany klucz z młotkiem taki, jaki używali kolejarzy radziecy. Tą odpowiedź oni przyjęli gromkim śmiechem. Dalsze wykręty już nie miały sensu, w tej sytuacji przyznałem, że przekroczyłem nielegalnie granicę. Na tym przerwali przesłuchanie i od raz w mojej obecności zadzwonili do powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Białymstoku, zawiadamiali, że zatrzymali delikwenta, który przekroczył granicę i zapytywali, co mają z nim zrobić - przekazać dla Wopistów w Jałowiec czy zatrzymać do dyspozycji władz bezpieczeństwa. Białystok polecił bezpośrednio przekazać do nich, pomijając WOP, przy czym nie omieszkali podkreślić, że będą mieli konkretny dowód, jak ze swoich obowiązków wywiązywali Wopieści. Natomiast

Atmosfera w areszcie panowała wymienita, wyżywienie było dobre kaloryczne, urozmaicone paczkami otrzymywanymi od rodzin. Każdy co najlepsze smakołyki podtykał mnie, byłem darzony przez współtowarzyszy niedoli powszechną sympatią i życzliwością, ponieważ zasługiwałem na wyróżnienie, ponieważ wniosłem w monotonne życie pewnego rodzaju urozmaicenie i ożywienie, bowiem większość była ciekawa, co słyhać w ZSRR i jak tam żyją ludzie. Pobyt w tamtym areszcie traktowałem jako zasłużony wypoczynek po trudach podróży. Wszyscy razem i każdy z osobna ~~umiałam~~ doradzali, jak miałem zeznawać, żeby uniknąć deportacji, między innymi podsuwano propozycję aby wstąpić na ochotnika do UB-e. Niestety te może niektóre i dobre rady nic nie pomogły z tej prostej przyczyny, że przez czas mego pobytu ani razu nie wezwano na przesłuchanie. Tą obojętnością, lekceważącym stosunek do mojej osoby w pewnym stopniu była denerwująca, bowiem nawet nie zapytali, jak się nazywałem, być może mieli poważniejsze zajęcia i o mnie zapomnieli.

Po kilku dniach wypuścili na wolność wszystkich "Amerykanów". Trzymano ich w areszcie przeszło miesiąc i żadnej winy nawet nie próbowano udowodniać. Kiedy opuszczali areszt, jednemu z nich podałem adres swego brata z prośbą, by zawiadomił, gdzie przebywam. Liczyłem, iż dla brata jako dla żołnierza, który odbył kampanię wojenną, uda się wyciągnąć mnie z dołka, w którym się znalazłem. Brat list otrzymał, ale zanim dotarł do Białego - stoku, spóźnił się o jeden dzień. Gdy się zjawił pod wskazany adres, ja już byłem znowotem w ZSRR, w grodzieńskim więzieniu. W powiatówce trzymano mnie około tygodnia, zaś chyba na drugi dzień po zwolnieniu "Amerykanów", zostałem przeniesiony do gmachu wojwódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

W gmachu tego urzędu całe lub część jednego skrzydła było zamienione na więzienie, wsadzono mnie tam do pojedynczej celi, obok celi tortur. Sąsiedztwo to znosiłem źle, ponieważ do późnych godzin nocnych z reguły dochodziły za ściany jęki katowanych, były one na tyle przeraźliwe, że przez resztę nocy nie mogłem zasnąć. Dopiero podczas dnia po trochu drzemałem, lecz z powodu wystraszenia nie było mowy o normalnym wypoczynku, zwłaszcza, że podczas dnia na korytarzu trwał wzmożony ruch, bez ustanku trzaskały otwierane i zamykane drzwi cel. Z powyższych względów również wynikły komplikacje z przyjmowaniem pokarmów. Jedzenie podawano pożywne, smacznie przygotowane i w dostatecznych ilościach, ale nie mogłem go przełknąć, spożywałem kilka łyżek a resztę zwracałem z powrotem, z czego można byłoby wyciągnąć mniemy wniosek, że należałem do wybrednych.

Za ten niekontrolowany bunt organizmu, za kilka tygodni odpakutowałem srogo, białostockie wyżywienie sniło się po nocach, lecz wtedy jeszcze o takich warunkach nie wyobrażałem. Poza wymienionymi mankamentami nie miałem powodów do narzekania, ze mną obchodzili się po ludzku, a faktycznie przez kilka dni wcale nie zajmowali, co poniekąd trochę mnie irytowało.

Któregoś z rzedu dnia wreszcie przypomnieli o moim istnieniu rano zostałem wywołany i zaprowadzony o piętro wyżej w innym skrzydle, gdzie się mieściły biura. W dużym pokoju, a raczej sali, pracowało wielu urzędników ubranych po cywilnemu, przeważały kobiety. Tam zostałem przydzielony jednemu osobnikowi, który zajął się spisywaniem moich personaliów. Na wstępie pobrał odciski ze wszystkich palców, po czym otworzył skoroszyt i zaczął gromadzić inne dane osobowe. Do zleczonej pracy specjalnie nie walił, zbieranie moich danych zajęło mu około tygodnia, wprawdzie tylko po dwie trzy godziny dziennie, ale sam sobie nie mogłem uwierzyć, kiedy zdarzyłem dorobić ^{się} tak bogatego życiorysu.

Zarówno prowadzący moje akta jak i pozostali personel odnosili do mnie uprzejmie, nawet życzliwie, ktoby tam powiedział, że byli pracownikami typowej instytucji stosującej przemoc, być może funkcje w pionie pomocniczym nie wymagały takiej gorliwości, jak w działach głównych, zajmujących naprowadzaniem obywateli na właściwą drogę, tym niemniej gdyby pragnęli, to chyba mieli warunki do wyżycia się, o czym miałem możność przekonać się naocznie. Gdy jednego dnia odrowadzali mnie do celi przypadkowo stałem się świadkiem drażliwej sceny, a mianowicie: przed całą tortur zostałem szamoczących strażnika w stopniu kaprała lub plutonowego usiłującego wprowadzić do celi więźnia silnie sbudowanego, który zaparł się rękami o futryny i stawiał bierny opór. Strażnik w odwecie wymierzył mu cios pięścią w brzuch, uderzenie okazało się na tyle silne, iż więzień ścięty z nóg upadł na posadzkę i zwinął w kłębek, wtedy strażnik z całą złośliwością zaczął go kopać gdzie popadło nogami. Zanim mój opiekun otworzył celę i mnie wpuszcili miałem możność przyjrzeć rozgrywającemu zajściu z bliska u ^{między} stóp. Strażnik z bliska ku wielkiemu zdziwieniu wyglądał niepokalnie miał chuderlawą postać, prawdziwego wymoczka, kto by tam uwierzył, że w takim ciele mogło być miejsce dla niebezpiecznego zwierza, jak długo-
-trwałe musiał ~~przez~~ on ~~trzymać~~ trenować i ćwiczyć z zapalem, zanim w swym fachu osiągnął szczyt doskonałości.²

W mojej sprawie procedury dochodzeniowej w pełnym tego słowa znaczeniu w rzeczywistości nie było, natomiast po skompletowaniu aktu według bliżej niezmanyh wymogów pewnego dnia zostałem zaprowadzony przed oblicze głównego szefa UB lub jego zastępcę, lecz zanim zostałem dopuszczony przed jego "świętobli-
-we" oblicze, najpierw musiałem odczekać ze 2 godziny w jego kancelarii czy sekretarjacie. Czekaliśmy tam dwóch, kolega niedoli miał około 15 lat, w toku dłuższej rozmowy zdążył

opowiedzieć, w jaki sposób trafił na sąsiedni stołek. Otóż pochodził z Wilna, skąd podczas repatriacji razem z kuzynami wyjechał do Polski i osiadł w Gdańsku, zaś jego rodzice i młodsze rodzeństwo pozostało w Wilnie. Z powodu tęsknoty za najbliższą rodziną lub w wyniku konfliktu z opiekunami, co nie jest ważne, postanowił wrócić z powrotem do Wilna, ponieważ nie mógł tych formalności załatwić na drodze urzędowej, więc spróbował nielegalnie przekroczyć zieloną granicę. Podczas zbliżania do granicy został zatrzymany przez polskich Wopistów i przekazany do UB.

Siedzieliśmy w kacie sekretariatu i nikt na nas nie zwracał uwagi. Było wystarczająca ilość czasu na zwierzenia i nudę. Po wzajemnych zwierzeniach dla zabicia czasu obserwowaliśmy przewijających bez przerwy interesantów z różnymi sprawami, które nie wiele mnie obchodziły oprócz jednej. W pewnym momencie zjawiał się młody osobnik, nie wyglądający na etatowego pracownika, lecz raczej konfidenta i jednemu z funkcyjnych począł składać raport a ściślej donos na pewnego rolnika, zamieszkałego w małej miejscowości, której nie zapamiętałem. Skarżący domagał się wydania nakazu aresztowania na podejrzanego rolnika. W oskarżeniu i zarzutach, jakie przedkładał brakowało konkretnych dowodów winy, bazował na poszlakach i pomówieniach, oczerniał go, że podburza ludzi przeciw władzy, wygraża partyjnym, zatrudnia parobka. Twierdził, że dopóki ten rolnik znajduje się na wolności nie będzie możliwe w najbliższej okolicy umocnienie ludowej Władzy. I tak mimowoli mogłem poznać, w jaki sposób nieraz rozstrzygają się ludzkie losy.

Pom długotrwałym wyczekiwaniu w końcu przypadł nam zaszczyt wstąpić do gabinetu głównego szefa. Wprowadzili nas obu. Za

biurkiem siedział tęgi, łysiejący czterdziestoletni mężczyzna o kaprawych wodnistych oczach, był ubrany w jasny z zielonkawymi próżkami garnitur oraz koszulę szeroko rozpiętą pod szyją. Skutki panującego upału i ciężkiej pracy uwidoczniły w postaci kropel perlistego potu na wysokim czole. Przed nim na biurku leżały teczki z naszymi aktami, zaś my zatrzymaliśmy się kilka kroków przed biurkiem. Na nasz widok niedbałym ruchem ręki podniósł jedną z teczek z aktami, otworzył ją i odczytał moje nazwisko. Gdy się odezwałem spojrzał na mnie mętym wzrokiem i zadał pytanie - dlaczego nielegalnie opuściłem Związek Radziecki? odpowiedziałem, że mam w Polsce braci, dalszą rodzinę oraz jestem Polakiem i chcę być razem z rodziną - na co usłyszałem "Nu tak, tyż brosił swaju mać i mać rodinu i kak wam nie wstydno, wam sztoto nie narawiliśa sawiecki sajuz, a być możet spraciwiałeś włast" Zanim się zdążyłem skupić do odparcia repliki, on na to nie czekał, bo już z mety wziął w obroty kolegę. Do niego zmienił ton na oschły i w ostrej groźnej formie zaatakował go - Na czyje polecenie i z jakim zadaniem lub wiadomościami zostałeś wysłany do ZSRR. Chłopaczyna jakąją próbował wykladać swoją wersję w świetle odmiernej od tej, o co został posadzony, to spowodowało u naszego pana i władcy jedynie wybuch gniewu. Poczerwienił na twarzy i ryknął "A nu was k czortu razbierutsja z wami naszymi własti" po czym polecił nas wyprowadzić. ~~Z tej krótkiej rozmowy.~~ Z tej krótkiej rozmowy wynikało, że miałem zaszczyt zetknąć ze stu procentowym Polakiem, który miał uraz do narodowego języka na tyle, że podczas spotkania nie użył ani jednego słowa w języku polskim, co można było wytłumaczyć brakiem zdolności lingwistycznych. Napewno tę niedoskonałość równoważył wysokiej klasy fachowością, w przeciwnym razie nie zajmowałby tak odpowiedzialnego i eksponowanego stanowiska.

Razem nasze przesłuchanie nie trwało dłużej niż pięć minut i kończyło jednoznacznym załatwieniem sprawy. Dopóki gronadzili akta chwilami żuździłem, że może zostawią mnie w Polsce, lecz po wyjściu od szefa ta cicha nadzieja prysła ostatecznie, teraz pozostawało tylko czekać na deportację.

Ranek następnego dnia zostałem sprowadzony na wewnętrzne podwórze i dołączony do grupki oczekujących osób. Na podwórzu zamkniętym z czterech stron ścianami budynku UB, stało pięć samochodów ciężarowych, cztery z wojskiem radzieckim, a piąty pusty. Ledwie zdążyłem zapoznać się z kilkoma oczekującymi osobami, gdy wnet zjawił funkcjonariusz UB z naszymi aktami i depozytami i rozpoczął przekazywanie nas radzieckiemu oficerowi. Kiedy pracownik UB wywoływał nazwisko, podchodziło się do niego, kwitowało odbiór rzeczy odebranych do przechowania, żołnierz radziecki wrzucał je do wspólnego worka, zaś oficer odbierał akta i odprowadzali na bok pod straż radziecką. Te formalności zdawczo-odbiorcze przebiegały sprawnie.

W y g n a n i e

Na razie nie ładowano nas na samochód, staliśmy pod ścianą i w dalszym ciągu mieliśmy możliwość zapoznawania się ze sobą, zaś na dziedzińcu trwał ruch jak w ulu. Pracownicy funkcyjni bezpieczeństwa gronadzili się grupami na dole, to znów rozchodzili po klatkach schodowych, stamtąd ich zganiano, nawoływano, jakby było mało tego ogólnego rozgardiaszu. Po pewnym czasie dołączyli jeszcze żołnierze radziecy, którzy się znudzili przedłużającym się oczekiwaniem, więc zsiadli z samochodów i rozeszli się po podwórzu. Z urywkowych rozmów ubowców dało się sklecić zasadniczy sens bieganiny. Otóż wydział operacyjny UB, gdy się dowiedział, że do granicy jedzie wzmocniony konwój żołnierzy radzieckich, postanowił skorzystać z bratniej opieki i wysłać razem po drodze swój oddział na przeprowadzenie pewnej

represyjnej akcji w rejonie Sokółki. A ponieważ ~~znaczną~~ w tam-
-tych latach znaczna część powiatu sokólskiego, była kontrolo-
-wana przez ugrupowania podziemne, zaś droga prowadziła przez
teren lesisty, dlatego oględnie mówiąc "mieli pietra" chociaż
na pewno nowinciuszami nie byli i mieli za sobą nie jedną
ekspedycję karną, tym niemniej woleli nie ryzykować. Szef komórki
~~Radzieckiej~~ odpowiedzialny za zamierzoną akcję, o konwoju
radzieckim dowiedział się w ostatniej chwili, stąd ubowcy zbie-
-rali się chaotycznie "na łapu capu". Przez jakiś czas radziecki
oficer przyglądał się cierpliwie ich bieganinie, potem zaczął
ponaglać, w końcu zdenerwował, wydał rozkaz swym żołnierzom do
zajęcia miejsc na samochodach, a następnie bezpośrednio eskorta
kazała nam siadać parami na samochód pusty, gdzie poskuwali
nas kajdankami. Usadowili nas parami na środku ławek, zaś na
zewnątrz z jednej i drugiej strony dali ochronę z żołnierzy,
również ostatnią tylną ławkę zajęli tylko oni. W międzyczasie
nadjechały trzy samochody, na które zakładowali się ubowcy
uzbrojeni, lecz ~~we~~ ~~my~~ ubrani po cywilnemu. Wtedy ruszył w drogę
konwój w następującym szyku: Na przodzie jechały dwa samochody
z żołnierzami radzieckimi, za nimi nasz samochód, a za nami dwa
radzieckie, zaś na końcu samochody z bezpieką.

Wywozili nas z Polski uruczyście z powagą brakowało tylko
orkiestry i honorowych salw w eskorcie silniejszej niż przysłu-
-guje głowie państwa. Nigdy nie przypuszczałem, że z takimi
zaszczytami skromnej osobie przyjdzie tak szybko wracać w rodzinne
rodzinne strony. Było nas 9 lub 11 osób, dokładnie już nie ~~mam~~
pamiętam, na pewno w ilości nieparzystej, bo po usadowieniu parami,
jedna kobieta siedziała sama. Charakterystyka deportowanych
ludzi wyglądała następująco: trzy osoby deportowano za próby
lub naruszenia granicy tj. ja, uprzednio wymieniony chłopiec
oraz pracownik zakładów tytoniowych w Białymstoku, który

usiłował przedostać się do Wołkowyska, skąd pochodził i gdzie miał żonę. Zatrzymali go przed granicą wopisci i przekazali w ręce ubowców. Następnie deportowane z Białegostoku osoby to małżeństwo Białorusinów, którzy dobrowolnie wyjechali do ZSRR, a potem nielegalnie wrócili przez zieloną granicę na teren białostoczyzny. Resztę cztery lub sześć osób przywieziono z Gdańska. Wszyscy oni byli pośrednio lub bezpośrednio związani z działalnością AK na grodzieńszczyźnie, w tym był Wilczyński albo Wilczewski. Z deportowaną kobietą zostali zatrzymani na terenie Gdańska z bronią w ręku, o czym podczas przekazywania oznajmiono radzieckiej eskorcie z podkreśleniem, że będą mieli do czynienia z osobami szczególnie niebezpiecznymi. Dwóch innych deportowanych to pracownicy poczty w Gdańsku. Konwój jechał bez jakichkolwiek zakłóceń, w Sokółce samochody z funkcjonariuszami ~~na~~ UB odłączyły, skręciły w boczną ulicę gdzie straciliśmy ich z oczu. Dalszą podróż odbywaliśmy tylko w asyście eskorty radzieckiej. Na granicy w Kuźnicy nikt na nas nie czekał, dowódca eskorty na granicy ze strażnicy zadzwonił do Grodna, zawiadamiając, że czeka na odbiór wyrotowców. Po pół godzinie czekania przyjechały dwa łaziki, podjechały pod nasz samochód. Polecono nam przesiąść, zmieniono kajdanki, przekazowano nasze rzeczy do innego worka, jako eskorta wsiadł jedynie jeden żołnierz z psem i ruszyliśmy w kierunku Grodna, za nami jechał drugi Wilis z naczalstwem. Natomiast samochody i żołnierze, co dostarczyli nas do Kuźnicy, odjechały w kierunku Sokółki. I tak po niecałych dwu tygodniach pobytu w Polsce, dzięki zapobiegliwości władz radzieckich i ich wasali wróciliśmy z powrotem w granicy swego imperium bez jakiegokolwiek wysiłku, i chociaż nie wyrażałem do tego chęci.

S k a z a n i e n a P o k u t ę

W godzinach wieczornych¹ ze zgrzytem rozwarła przed nami brama więzienia grodzieńskiego i pochłonęła w swej przepa-
-stnej gardzieli. Zanim na dobrze osadzili w ciupie, najpierw
zostaliśmy poddani szczegółowej rewizji. Po rozebraniu do naga
starannie przeszukiwali odzież, obmacując dokładnie każdy
rąbek, w poszukiwaniu niebezpiecznych przedmiotów albo demu-
-skujących materiałów, tak jakby nie dowierzali dokładności
Polskim organom bezpieczeństwa. Wprawdzie u nas niczego podej-
-rzanego nie znaleźli, ale obowiązującemu więziennemu regulaminom²
stało się zadość. Po wstępnej "obróbce" dokonali podziału
nas trzech mających związek z naruszeniem granicy, oddzielili
od pozostałych i osadzili razem w jednej pustej dużej celi.
Przez okres mego pobytu pozostawili nas w spokoju, natomiast
współtowarzyszy z Gdańska wzięli w ostre obroty. Już na zaju-
-trz śledztwo ruszyło w przyspieszonym tempie, o czym się
dowiedziałem od jednego z nich podczas spaceru, przy ukradkiem
wymienianych nowinkach.

Więzienie w Grodzie należy do nowoczesnych, o dużej kubaturze,
kilkupiętrowe, dość dobrze naświetlone. W sumie nie wygląda na
ponure. Za to było wyjątkowo akustyczne, przestronne korytarze,
miejsca tworzą hale, szerokie klatki schodowe łączyły piętra,
zamiast ścian działowych, poszczególne sektory oddzielały
stalowe kraty. W tak dużej wolnej przestrzeni każdy nawet
najśłabsze odgłosy nabierały wielokrotnie większej siły wywo-
-lując grozę. Gdy rano na korytarzach odbywał ruch, otwierano ze
zgrzytem kraty, mieszały się z odgłosami prąsowanych kotłów z
jedzeniem, stukiem naczyń i głosami wydawanych poleceń, dla mnie
który z czymś takim zetknął poraz pierwszy przyjmowałem jako
nie naturalne zjawisko tonące tajemniczością. Wydawane odgłosy³
przez warte przedmioty urastały do grzmotów, zaś głosy
ludzkie jakby dobiegały za świątów, momentami miały uczucie, że

Je się znalazłem na sądzie estatecznym. W takim warunkach
tęsknota za utraconą wolnością dawała znać o sobie w szczegó-
-lnie ostrej formie. Po paru dniach pobytu było o sobie mało i
wobec głodu, wprawdzie to pierwsze nadal dominowało, ale i dru-
-gie nie ustępowało, niespodziewanie z każdy dniem apetyt się
zapotrzebał, zaś czas zaczęliśmy odmierzać wycekiwaniem na pory
posiłków. Nie sadzono mnie było zaaklimatyzować się i przywy-
-czając do trybu życia w więzieniu godzińskim, nawet nie wzdry-
-łem na dobrze zapoznać się ze wszystkimi jego wólbami i atya-
-kcjami, gdyż przebywałem w nim krótko-kilka dni, najwyżej ty-
-dzień. Kiedy już zaczęłem wypuszczać korszenie, wówczas któregoś
dnia podczas jałowej wieczornej dyskusji prowadzonej z współ-
-laka-torami, niespodziewanie usłyszeliśmy zgrzyt klucza we
drzwiach, po chwili w nich stanął strażnik. Zaskoczony jego wizy-
-tą o nieregularnej porze, z ciekawością oczekiwaliśmy co z
tego wyniknie? Ledwie odwrzyciliśmy się, odwrócić na nogi, a już
zostało wywołane moje nazwisko. Strażnik polecił zabrać ze sobą
wszystkie rzeczy, co oznaczało, iż z tym więźniem rozstać się
na dłuższy, niezmany czas. Do pakowania było niewiele, jedynie pła-
-szcz chwyciłem do ręki i byłem gotów do opuszczenia celi.
Po wkroczeniu na dyżurkę zastałem oprócz kilku strażników wię-
-ziennych dwóch żołnierzy wopistów-nawet nie pomyślałem, że
przybyli po mnie. Na biurku oficera dyżurnego leżały moje akta,
zostałem przywołany bliżej i podsunięto mnie do podpisania
oświadczenia, że odebrałem z przesłówni zaskwirowane przedmi-
-ty. Gdy już chwyciłem za pióro i miałem zamiar złożyć podpis
w ostatniej chwili powstrzymałem się, ponieważ w zasięgu warku
nie nie napotkałem ze swojej własności. Wobec tego oświadczyłem,
że nie podpiszę, dopóki nie otrzymam na rękę swego depozytu?
Na takie postawienie sprawy usłyszałem odpowiedź, że moje rzeczy

pozostały w Polsce, na to odparłem, iż w celi są świadkowie, którzy wdziali jak depozyt odbierali konwojencji radziecy. Na tą argumentację mój adwersarz ironicznie uśmiechnął, wzruszył ramionami, po czym spoważniał i oświadczył tonem ostrym nie znoszącym sprzeciwu, że jeśli czuję się pokrzywdzony, to mogę nie podpisywać oświadczenia, natomiast swego depozytu nie odzyskam, a on nie będzie tracił daremnie czasu. Na potwierdzenie zdecydowanego stanowiska gestem głowy i ręki przywołał oczekujących wopistów, podsunął jednemu z nich do podpisania ewidencję o odbiorze więźnia, następnie wydał moje akta i kazał strażnikowi wyprowadzić nas za więzienną bramę. I tak w monotoni więziennego życia w ciągu kilku minut nastąpiły liczące się zmiany, zostałem przesunięty na inny tor decydujący o ludzkich losach. Trafiałem pod nowe skrzydła opiekuńcze, oraz lekko pozbyłem się drobnych oszczędności w postaci: srebrnego zegarka kieszonkowego, 2000 rubli w gotówce i kilku innych drobnych przedmiotów. Najciekawsze było to, że nawet nie wiedziałem komu darmowym prezentem sprawiłem przyjemność, tą skromną ofiarą, zasilikem zniszczony wojną skarb państwa czy poszły na dożywianie lub skuteczniejsze opilstwo funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa. Jeśli chodzi o moich nowych bezpośrednich opiekunów, to od pierwszego zetknięcia poczuliśmy do siebie wzajemną sympatię, już podczas margo sporu z oficerem dyżurnym wykazywały w stosunku do mnie pewne oznaki przychylności. Kiedy znalazłem poza bramą więzienną z ich strony doznałem następnej w bardziej konkretnej formie, a mianowicie: Jeden z nich po wyjściu na ulicę, chyba zgodnie z regulaminem/ wyciągnął z raportówki kajdanki z zamiarem założenia na moje ręce, wówczas drugi sprzeciwił się temu i nie dopuścił do ograniczenia ruchu rąk. Dzięki ludzkiej podstawie konwojentów po zajęciu miejsca w wagonie podróż mój przebiegała w miłej atmosferze, ~~przebiegała~~

traktowali mnie nie jako przestępcę, lecz życzliwie po koleżeńs-
-ku. Z jednym ~~z nimi~~ ^{nawiązane} wzajemną, nić sympatii w czasie podróży,
utrzymywała się dłużej przez kilka miesięcy, aż nasze życiowe
drogi rozeszły się na zawsze. Nazywał się Husakow, pochodził z
Syberii. Na zachodnich ~~granicach~~ rubieżach kraju Rad odbywał
zasadniczą służbę wojskową w oddziałach ochrony granic, był ~~z~~
rozmowny, rozgarnięty z poczuciem humoru. Zanim dotarliśmy na
miejsce przeznaczenia, wiedzieliśmy o sobie prawie wszystko. Przez
całą drogę rozmawialiśmy na różne tematy, urzmaicając podróż
kartami. Ich w szczególności interesowało jak ludzie żyją w
Polsce, chociaż niewiele wiedziałem na ten temat, to jednak wynie-
-sione własne obserwacje zrelacjonowałem drobiazgowo w tonacji
dostatecznie przejęskrawionej. Z kolej on jako bystry obserwator
wyczuł przesadny zachwyt nad sytuacją w Polsce i nie omieszkął
stracić mine z obłoków, gdy wykuszczył swój punkt widzenia. Z
jego ust padła wypowiedź taka: Co to za kraj, który wypiera się
swoich rodaków, zamiast otoczyć troską, wydała poza granice. Czyż
może Polska Ludowa równać się z rządem Radzieckim, dbającym o
los każdego obywatela? W naszych dziejach nie było wypadku, aby
kogokolwiek wydano za granicę, a jeśli przypadkowo zabłądził,
to mu wskażą drogę i przypomną, gdzie jest jego właściwe miejsce.
Powiedział: "Bierz przykład z siebie, wyrzucili ciebie Polacy jak
zbyteczne nadprogramowe kocię i co byś robił, gdyby nie zlitowała
nad tobą nasza władza, niewiadomo samotnie poniewierłbyś się,
tymczasem odbywasz podróż za darmo przy okazji poznajesz świat,
masz zapewnione noclegi, zakwaterowanie i wyżywienie, ponadto
czuką troskliwą opiekę i dla rozrywki towarzystwo. Czy gdzie-
-kolwiek na kuli ziemskiej za nic ktoś zapewniłby takie dosko-
-nałe warunki." "Oprócz tego teraz skierują cię na dłuższą
Uświadamiającą kurację, gdzie wypoczniesz, wydoreslejesz i
zmądrzejesz na tyle, że zaczniesz właściwie doceniać zalety naszej

masz władzy". Pochłoniętemu dyskusją jak za dotknięciem róż-
-dżki spadł z serca przygnietający ciężar, poczułem się wolny
niczym nie skrzypowany. Niby dawniej na wolnej stopie odbywałem
podróż do nieznanego celu, czas upłynął niewiadomo kiedy, gdy
po północy stanęliśmy u celu podróży. Wysiedliśmy na małej
stacji, wtedy nie wiedziałem, że się nazywała Roś i leżała w
pobliżu Wołkowyska, jakoś moi opiekunowie nie wykazywali skłonna-
-ści do zwierzeń gdzie przywieźli i po co, dopiero z czasem
wiele rzeczy się wyjaśniło.

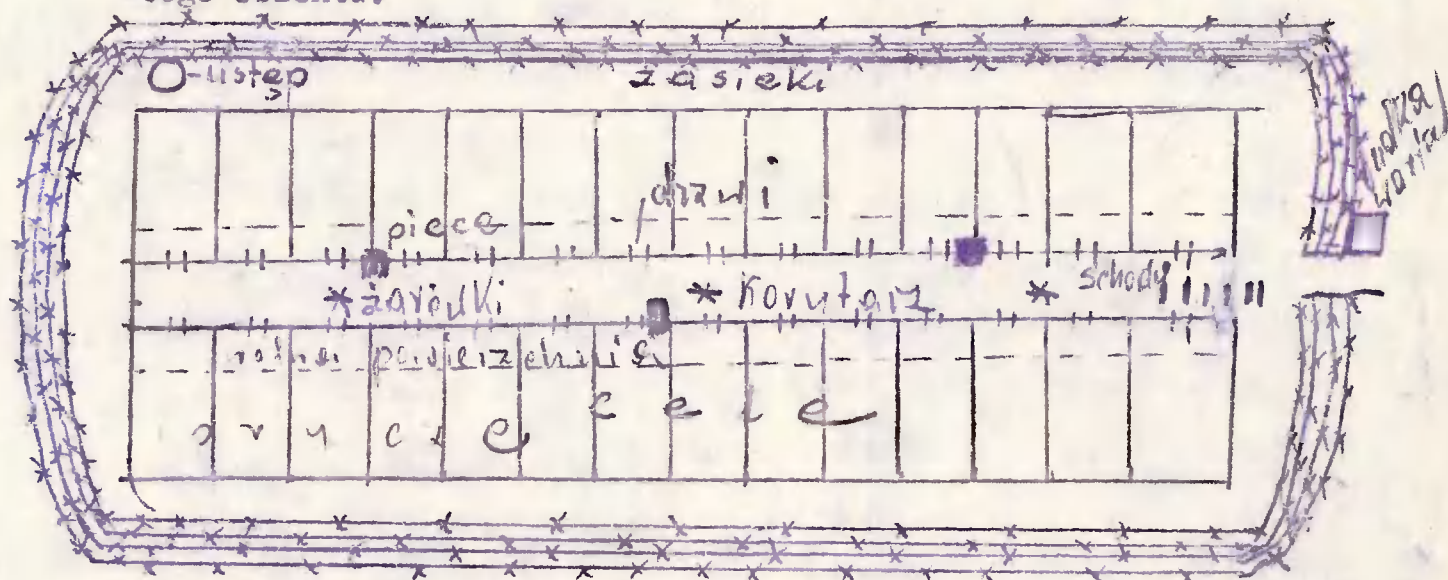
Przed wojną w miasteczku Roś znajdowała duża posiadłość ziemską
oraz fabryka cementu. Wszystko należało do bogatej rodziny magnat-
-ckiej. Po wojnie w pałacu i zabudowaniach dworskich rozlokował
się sztab i garnizon radzieckich wojsk ochrony granicy. Ponieważ
przekroczyłem granicę na odcinku terytorialnie podlegającym
tej jednostce, dlatego dostarczyli mnie do siedziby sztabu.
Konwojenci ze stacji doprowadzili mnie do siedziby tego sztabu,
a konkretnie na wartownię mieszczącą się w parku, tam zostałem
przejęty przez służbę wartowniczą, natomiast konwojencji udali
się do koszar. Dowódca warty z rozprawiającym, po załatwieniu
wstępnych formalności, zaprowadzili mnie do niedaleko położonego
aresztu i tam wepchnęli do nory. Kiedy znalazłem się w środku,
pomyślałem, że zostałem umieszczony w jakimś pomieszczeniu zastę-
-pczym na spędzenie pozostałych tylko kilku godzin nocy, a nastę-
-pnie za dnia zostaną przeniesiony do aresztu z prawdziwego
zdarzenia. Nigdy nie przypuszczałem, by w tamtych warunkach mógł
żyć człowiek albo nawet zwierzę przez dłuższy okres czasu. Gdybym
wówczas wiedział, że będę tam około trzech miesięcy, to napewno
oszalałbym z rozpacz. Trafiłem na warunki typowo katorżnicze z
tą różnicą, że w nieco innym wydaniu. Zacznę od opisu pomieszczenia,
w którym mieścił się areszt.

W skarpie nad rzeką Roś został zrobiony wykop i w nim posad-
-wiono bunkier w kształcie prostokąta o wymiarach w przybliżeniu
20x6m, ściany miały grubość jednej cegły i wysokości 2m, w całości
aż po dach były zagłębione w ziemi, jedynie po wystającym dachu
możno było zorientować, że mieściło się tam jakieś pomieszczenie.
Przez środek tej budowli wzdłuż przebiegał główny korytarz o
szerokości 1,5m, a po jednej i drugiej stronie znajdowały cele,
wszystkie "pojedynki" o jednakowej wielkości 2,5 x 1,5m na mie-
-szkańca. Całą szerokość celi zajmowała prycza zbita z dwu desek.
Jej długość kończyła w odległości 1m od drzwi. W ten sposób
kwadrat o wymiarach 1x1m stanowił jedyną wolną powierzchnię,
przeznaczoną na poruszanie się dla osoby przetrzymywanej.
Budowla ta była wznoszona z myślą aby przy najniższych kosztach
i nakładach robocizny można było pomieścić jak najwięcej osób,
czyli wykorzysta^c jej powierzchnię do maximum. Ten główny cel
osiągnięto. W rezultacie zamiast cel powstały grobowce albo
większych nieco rozmiarów trumny, w które można było wcisnąć
jedynie osoby o średniej tuszy, zaś otyła jużby się nie zmieściła.
Wyposażenie celi składało się: z gołej pryczy, bez siennika i
jakiegokolwiek pościeli ani przykrycia, kibla, dla którego nie było
miejsca na postawienie więc podsuwało się go pod pryczę. Od
strony korytarza były drzwi z wyciętym w nich otworem o wymiarach
20x20cm. To było wszystko poza tym nic więcej, nawet najdrobniej-
-szego przedmiotu. Jeśli chodzi o wspomniany otwór/okienko/
spełniał on dwie bardzo ważne funkcje, ponieważ nie był oszklony,
przeto zachodziła przez niego wymiana powietrza, oraz przepuszcza-
-ał do celi nikłe promieni światła od żarówek, palących się przez
całą dobę na głównym korytarzu, natomiast ani okien ani
innego źródła światła sztucznego lub naturalnego w celach nie
było. Na korytarzy stało kilka pieców wmurowanych częściowo w

w cele, w zimie ogrzewano nimi cały bunkier. Korytarz w jednym końcu kończył się ślepa ścianą a w drugim schodami prowadzącymi na powierzchnię gruntu, było to jedyne wejście i wyjście. Na zewnątrz to "mauzoleum" było otoczone w-koło w odległości kilku metrów czterorzędowymi zasiekami z drutu kolczastego. Wolna przestrzeń między zasiekami a dachem budowli służyła za ścieżkę spacerową dla nas i strażnika pełniącego na zewnątrz służbę, ponadto znajdował się tam ustęp. Za drutami z jednej strony była łąka i rzeka, a z pozostałych - park. Park również był ogrodzony płotem, zaś w jego obrębie stały budynki zajęte przez wojsko. Na głównym wejściu do parku stała wartownia, jej również podlegały posterunki przy bunkrze, których było trzy. Pierwszy w prowizorycznej budce przy bramce w zasiekach, drugi między zasiekami a bunkrem oraz trzeci w środku bunkra na korytarzu. Z czego wynika, że czuliśmy się wyjątkowo bezpiecznie, jakiegokolwiek złe siły z nikąd nie miały dostępu. W nocy przyległy wokół teren był oświetlony latarniami, umieszczonymi na specjalnych słupach. Ten mini obiekt był traktowany ze szczególną troską, mimo, że na zewnątrz jak i zarówno wewnątrz wyglądał zupełnie niepokojnie, ot taka sobie dziura w ziemi z miazgą wystającą dąszkian, natomiast wewnątrz nie napotykało się żadnego grubego betonu, ani krat, ani sztab. Całe zabezpieczenie składało się z drzwi byle jak zбитych z nieobrobionych desek i na zewnątrz zamkniętych na zwykłą kłódkę. "Sumie był to obiekt, który został sklecony na prędko-prowizoryczny." rezultatem stworzonego dla jego lokatorów najprymitywniejsze warunki bytowe, jakie można sobie wyobrazić. Nawet w celach nie było podłogi ani utwardzonej powierzchni. Podłoga stanowiła ziemia przekształcona w błoto. Takie pomieszczenia nawet nie nadawały na klatki dla królików. W rzeczywistości powstała imitacja hadesu, bo na taką funkcję nadawała doskonale i oto prawdopodobnie projektantom

chodziło. Bunkier służył dwóm celom: jako tymczasowy areszt dla osób cywilnych i karcer dla żołnierzy.

Dla lepszego uzmysłowienia załączam prozowiryczny szkic tamtego obiektu.



Niecz rozumiała, iż konstrukcja pomieszczeń nie była przewidziana, aby zatrzymani mieli wygodę lub chociaż znośne warunki, lecz po to by długo pamiętali swój pobyt. I tak tego, pomimo nam dostatecznej złościwości ludzkiej jeszcze i natura utrudniała życie. I chociaż wspomniany metr kwadratowy wolnej powierzchni, na którym więzień mógł wyprostować i rozruszać zdrętwiałe członki, stale był podtapiany, ponieważ w celi brakowało podłogi, więc gdy się wstawało z pryczy, wpadało po kostki w błoto. W takich warunkach nie było mowy o dłuższym staniu, bowiem obuwie przemakało natomiast wysuszyć nie było gdzie. W mojej celi błoto utrzymywało się przez całe lato bez względu na rodzaj pogody, z czego by wynikało, że bunkier był niewłaściwie użytkowany, prawdopodobnie jego dolna partia leżała poniżej poziomu żaki i sięgała do ~~minimum~~ lustra wody gruntowej.

Nie wiem, czy było dziełem przypadku, czy zamierzenia celowych, ale tak się składało, iż większość obozów pracy zakładano na terenach podmokłych np. Brzezinka, Oświęcim, Stutthof, lub w ZSRR obozy wokoło

Archangielska, w Wożkowysku i w wielu innych rejonach, nawet car Kiostr założył swą stolicę na bagnach, gdzie również ludzi zatrudnionych przy budowie gnębiło błoto. W normalnych warunkach na wolności przebywanie na podmokłym gruncie niby nie odgrywa większego znaczenia, najwyżej przy wykonywaniu codziennych obowiązków wzrasta stopień utrudnienia, do czego z upływem czasu można przyzwyczajać się. Niestety, ten sam czynnik nabiera innego wymiaru, gdy człowiek jest pozbawiony swobody działania; głód, chłód i wyczerpana praca niszczą organizm fizycznie, zaś brak wolności i babranie w błocie załamują psychicznie, być może i z tego powodu w obozach pracy na gruntach podmokłych skazani gasli w oczach. Z powyższego można sądzić, iż specjaliści od lokalizacji obozów, ten element uwzględniali, bowiem w prosty naturalny sposób przyspieszało się wyniszczenie ~~podpadających~~ ~~wskazywanych~~ skazanych. Aczkolwiek nie mam podstaw do twierdzenia, że lokalizacja aresztu w Rosji była podyktowana podobnymi względami. Aby ten problem głębiej zrozumieć, niezbędne jest bliższe zapoznanie się z ówczesną organizacją zakładów karnych na terenie Związku Radzieckiego. Z grubsza dzieliły się one na:

1. więzienia
2. łagry
3. areszty i specjalne zakłady

karno

W i ę z i e n i a: ich charakterystyczną główną cechą było to, że teoretycznie respektowały normy prawne ustalone ogólnie, funkcjonowały w oparciu o regulamin podobny i obowiązujący dla wszystkich więzień na obszarze całego kraju. W zasadzie skazany miał minimum praw, mógł się domagać co mu się należało. Również aparat więzienny miał z góry ustalony zakres postępowania, czyli były zachowane pewne reguły gry, a że w praktyce dochodziło do różnego rodzaju odchyień, to już było odrębne zagadnienie. Poza niektórymi wyjątkami skazanych traktowano ~~waz~~

wszystkich jednakowo. W ustalonych terminach dokonywano kontroli w zakresie sanitarnym, warunków bytowych i stosunku funkcjonariuszy więziennych, chociaż skuteczność takich kontroli była znikoma, ale przynajmniej pozorowano praworządność. Ponadto skazani umieszczeni grupowo mogli zbiorowo lub indywidualnie domagać się swych praw, oraz protestować przeciw niewłaściwemu traktowaniu. Oczywiście, objawami niezadowolenia nikt się nie przejmował, ale wszelkiego rodzaju zadrażnienia miały pewien swój wydzźwięk. Z wyżej wymienionych i innych względów więzienia w porównaniu z obazami pracy były ośrodkami mniej antyhumanitarnymi, w większości z nich panowały warunki znośniejsze, chociaż do ideału było bardzo daleko, stąd szczegóły, plusy i minusy omówię w dalszej części pracy.

O b o z y p r a c y - teoretycznie bazowały na tych samych normach prawnych jak i więzienia, zaś faktycznie skazani byli pozbawieni prawnie i nieprawnie wszystkich należnych im praw. Człowiek tam przestawał się liczyć, widziano w nim tylko narzędzie potrzebne do określonych zadań, natomiast gdy ich nie spełniał, uznawano go za zbędny balast. Uprawnienia aparatu obozowego rosły, oczywiście kosztem skazanych. W obozach nad sprawami ogólnoludzkimi górowały cele nadrzędne tj zadania produkcyjne. Im był podporządkowany cały system obozowy, w którym skazani pozostawali na marginesie. Moby w założeniach pierwotnych przymusowe obozy pracy miały wpływać dodatnio na odbywanie wyroków, lecz w warunkach radzieckich doszło do wypaczenia tej idei. Żądano rzeczy niemożliwych - chciano, by człowiek był trwalszy od martwych przedmiotów i sprawniejszy od maszyny. Na skutek takiego podejścia położenie skazanych w obozach pracy było o wiele cięższe niż w więzieniach. Dla zobrazowania tego problemu wystarczy wymienić kilka najistotniejszych różnic, mających

noważy wpływ na obozowe życie:

- Racje żywnościowe zależały nie od tego wiele przywidywał regulamin, lecz od ilości wykonanej pracy.

- Skazany był wysawiony na działanie niekorzystnych warunków atmosferycznych: niskie i wysokie temperatury, opady i błoto.

ó Bałagan organizacyjny, który w formach pośrednich odbijał się na ludzkim zdrowiu.

- Z reguły gorsze warunki zakwaterowania

- Służba obozowa była rozliczana nie za opiekę i utrzymanie więźniów, lecz za wykonanie nałożonych zadań produkcyjnych, przeto ~~przez~~ potrzeby bytowe skazanych schodziły na plan dal-

-szy

- Warunki życiowe między poszczególnymi obozami były odmienne, ponieważ leżały w różnych klimatach, bo i rodzaj wykonywanych prac był różny oraz dbałość i niedbałość władz obozowych w bardzo dużym stopniu decydowały o bycie.

W konsekwencji los skazanego w obozach był uzależniony od szeregu niewiadomych przypadków.

S p e c j a l n e z a k ł a d y k a r n e - w tej kategorii mieściły się zarówno wytypowane więzienia jak i łagry, w których przetrzymywano więźniów w warunkach o zaostrożonych rygorach i izolacji od światła zewnętrznego. Rzecz zrozumiała, że szylidy tam takich zakładów nie wystawiano na widok publiczny. O lokalizacji i panujących tam warunkach nie wiele jestem w stanie powiedzieć gdyż słyszałem jedynie fragmentaryczne wypowiedzi. Natomiast sam przebywałem w specyficznym, pokrewnym, zbliżonego typu obozie, co postaram się szczegółowo przedstawić na dalszych stronicach.

A r e s z t y - Nie będę się silił aby dać pełną charakterystykę tego ~~rodzaju~~ rodzaju zakładów karnych ze względu na ich mnogość i różnorodność, stąd wymienię jedynie najważniejsze dane.

Osoby wszelkiego typu areszty o przeznaczeniu lokalnym i celów specjalnych, różnych szczebli były gęsto rozsiadane po kraju Rad. Służyły one przeważnie do celów śledczych, podległych różnym instytucjom np: milicyjnie-związane z wykroczeniami tzn. pospolitymi, Enkawade-sprawy polityczne i bezpieczeństwa państwa, Khabab-sprawy polityczne w środowiskach wojskowych, oraz wiele innych niescentralizowane. Wspólną cechą tych zakładów było to, że z reguły mieściły się w prymitywnych, prowizorycznych pomieszczeniach nie odpowiadających podstawowym wymaganiom warunków bytowych, nawet jeśli budynek odpowiadał normom, to jego urządzenie nie przeważnie było poniżej niezbędnego minimum, gdyż tworzone je na doraźne potrzeby lokalnych władz, a jeśli nawet na stałe, to rzadko podlegały one nadzór^u kontrolom. W rezultacie warunki bytowe jak i sposób traktowanie zatrzymanych osób pozostawiały wiele do życzenia. Praktycznie aresztowani byli zdani na żaskę lub widzieli się osoby prowadzącej dochodzenie, albo której powierzono nadzór nad aresztem. Następną wspólną cechą sprowadzała się do tego, że areszty można określić jako zakłady, gdzie podejrzane osoby były poddawane mechanicznej i psychicznej obróce w celu wymuszenia zeznań, czyli inaczej była to produkcyjna taśma, z której schedzili skazani. Między tą wytwórczością a materiałem przerabianym istniał i istnieje nadal skrajny antagonizm, z tą różnicą, że w tamtych czasach przy wywieranym olbrzymim nacisku odgórnym aparat śledczy, aby się wywiązać ze stawianym na wyrost zadań zmuszony był stosować różne metody, nie zważając na skrupuły moralno-humanitarne.

Praktycznie podejrzani przetrzymywani w aresztach śledczych byli na ten okres wyjęci z pod prawa, zdani na samowolę aparatu śledczego. Rodzaj represji zależał od indywidualnej pomysłowości śledczego i charakteru podejrzeń lub przestępstwa, a ponieważ

ponysłowość ludzka nie ma granic, stąd metody i środki, którymi się posługiwali czystokroć przegodziły ludzką wyobraźnię. Wobec podejrzanych o działalność polityczną, przeciwników władzy i ustroju stosowano najostrożniejszy reżim, zwłaszcza wtedy, gdy należało wymusić zeznania. Dlatego praktycznie każdy przesłuchiwany był traktowany indywidualnie w zależności od stosunku i mentalności prowadzącego dochodzenia, oraz przyjętej linii obrony przez podejrzanego. W tym miejscu pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny moment, mający ścisły związek z omawianą tematyką. Chcę powiedzieć o stosowaniu metod tak zwanych niedozwolonych przez aparat dochodzeniowy. Otóż druga połowa lat czterdziestych w ZSRR to lata przełomowe dla organów bezpieczeństwa, bowiem wielano w życie "nowy kurs" przechodząc ze stosowania tortur fizycznych na psychiczne jako bardziej postępowe zaliczanych do "cywilizacyjnych osiągnięć". Ten proces postępował stosunkowo szybko, bo jeśli nasi rodzimi ludozercy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych niszczyli kwiat narodu jeszcze metodami tradycyjnymi, to w ZSRR już wcześniej przestawili na "nowocześniejsze technologie" "wymuszania zeznań". W tej dziedzinie Związek Radzki z postępem, był prokursorem we wprowadzaniu zasad naukowych dla potrzeb aparatu śledczego. Zmiany w metodach prowadzenia dochodzeń było podyktowane względami następującymi: A/ Światowy rozgłos i potępienie tortur cielesnych stosowanych przez hitlerowski aparat bezpieczeństwa. W wyniku tego zmuszeni byli jak najszybciej szukać takich rozwiązań, które nie dawałyby się podciągnąć pod wspólny mianownik ze zbrodniami niemieckimi. B/ W wyniku bardzo dużych ubytków siły ludzkiej w okresie wojny - ny względy gospodarcze nakazywały liczyć się z siłą roboczą. C/ Nowa metoda dawała znaczne lepsze efekty od tradycyjnej. D/ Nie pozostawiała na zewnątrz widocznych śladów obrażeń.

Z powyższego wynika, że nowe metody odznaczały się "samymi zale-
-tami" w rzeczywistości jest to sprawa dyskusyjna? Aby z nich
można było korzystać, aparat śledczy musiał posiadać o wiele
większą wiedzę teoretyczną i doświadczenie praktyczne. Do kama-
-nda kołem nie potrzeba umiejętności, bo to zrobi każdy pozbawio-
-ny wrażliwości, natomiast wyciągnąć wiadomości, nie stosując
siły fizycznej jest o wiele większą sztuką, do tego potrzeba
znajomość ludzkiej psychiki, więcej czasu i zdolności, ale za to
uzyskuje się lepsze wyniki. Zazwyczaj jednostka torturowana cie-
-leśnie jeśli nie przyzna się w pierwszej fazie, to w dalszych
obojętnieje i przestaje reagować na ból, natomiast odwrotnie
sprawa wygląda przy torturach psychicznych. Początkowo osoba in-
poddana reaguje w małym stopniu, lecz z upływem czasu staje się
coraz bardziej podatna. Wprawdzie z punktu widzenia humanitarnego
tortury psychiczne są uznawane za łagodniejsze, ale to wcale nie
oznacza, iż uszkodzonym zadają mniej cierpień. Wiele wyrafino-
-wanych tortur psychicznych dostarcza więcej cierpień i bólu
niż cielesne. Oczywiście są to cierpienia innego rodzaju i
zależą od indywidualnej reakcji. Te sprawy są bardzo skompliko-
-wane i nie można o nich w kilku zdaniach wydać wiążącej opinii,
ponieważ jest tematem dla specjalistów z tej dziedziny, których
nie mam zamiaru wyręczać. Reasumując: różnice między zakładami
karnymi w najprostszym ujęciu rzeczy najważniejszych polegały
na tym, że: X- zadaniem więźniów było przetrzymywanie skazanych,
natomiast obozów pracy wykonywania zadań produkcyjnych i również
przetrzymywaniem skazanych, zaś areszty służą do przetrzymywania
podejrzanych i fabrykowania dowodów winy. Jak z powyższego wyni-
-ka, te zakłady spełniały różne funkcje i wobec tego różne pano-
-wały warunki. Jeśli chodzi o samowolę aparatu dochodzeniowego,
to wynikała ona z dwu zasadniczych przyczyn: Po pierwsze, cele
nadrzędne kpiły z praworządności, one właśnie skłaniały organa

śledcze, aby pracowały na przyśpieszonych obrotach, zaś żeby mu sprostac takim żądaniom, musiano /patrzeć przez palce/ tolerować ich samowolę. Aby osiągnąć celeman nadszędne, pozwalano na stosowanie wszelkich środków. Po drugie: areszty śledcze znajdowały się w dużym rozproszeniu i podlegały różnym resortom, stąd przeprowadzenie kontroli i stwierdzenie co tam się działo było rzeczą problematyczną, a zważywszy, iż odgórnym czynnikiem oficjalnym nie bardzo się spieszyło, aby poznać prawdę, ponadto dokonanie inspekcji wymagało większego wkładu pracy, poza tym do niektórych ~~maszardów~~ aresztów nie było dostępu. Przykładowo do aresztu w Rosii nie miały prawa wstępu organa pionu cywilnego, a z wojskowego-tylko z formacji wojsk ochrony granicy. Wreszcie sprawa dodatkowo komplikowała się z tej racji, że areszt był częściowo wykorzystywany na kacet dla żołnierzy, -na kilka dniowy pobyt warunki jego mogły odpowiadać, gdyż nawet w zaostrozonym rygorze nie groziło utratą zdrowia, natomiast osobom cywilnym przebywającym w śledztwie kilka miesięcy zniesć te same warunki było o wiele trudniej. Może przypadkowo tak się złożyło, że trafiłem w wyjątkowo fatalne miejsce, znalazłem się w położeniu pod każdym względem okropnym. Wcześniej o zakwaterowaniu była mowa, również nie lepiej wyglądała sprawa wyżywienia. Podawali posiłki nieregularnie, niejednokrotnie nie było ich wcale, normy zaniżano i wydawano pożywienie najgorszej jakości. I wcale nie było to represja ani rozmysłne znęcanie się, nic z tych rzeczy, ot wynikło ze zwykłego niedbalstwa, bałaganu i ogólnie trudnej sytuacji bytnościowej w owym czasie. Trzeba zdawać sprawę, że wówczas nie dojadali i głodowali cywile na wolności, jak również wojskowi; szeregowcy i kadra oficerska otrzymywali głodowe racje, w takim razie więzień chyba musiał to odczuć jeszcze bardziej, chociażby dla samej przyzwoitości. Wyżywienie do aresztu dostarczano z

kuchni żołnierskiej, oczywiście nasze racje były inne, takie jakie przewidywał regulamin więzienny lecz w nie w tym rzecz. Posiłki dostarczała służba wartownicza i albo u nich lub w kuchni zbyt często ginęły bez władu nieraz chleb, drugim razem zupa, a inna razem dla urozmaicenia przez cały dzień nic nie dali do jedzenia, na naszą interwencję, zwykle żołnierz pełniący służbę na korytarzu wychodził na szemrać, gdyż wolał nie słuchać skarg, których nie był w stanie zakatwić. W areszcie przetrzymywano kilkanaście osób - około dwudziestu, jedzenie najpierw wydawali wojsku, a na ostatku nam, w tej sytuacji nic dziwnego kiedy służba wartownicza na czas go nie odebrała, kotły były puste, albo wydawano nie pełne porcje, uzupełniając braki ciepłą wodą i wtedy zamiast zupy podawano mętny płyn. Wystarczyło, by nim jedzenie dotarło do nas dotknęło go kilka osób a porcje kurczyły się znacznie. Tego rodzaju ubytki na pewno miały miejsce w więzieniach i obozach, ale przy wyżywieniu kilkuset ludzi nie były one tak bardzo dostrzegalne. Dość dużo rozwodzę na temat wyżywienia, z czego można byłoby pomyśleć, że należało do wyszukanych, urażało one jakościami, które swymi walorami kusilo smakoszy. W rzeczywistości nie jest warte wzmianki, w obecnym pojęciu nie było na co się żalić, lecz czasy się zmieniły i oceny wartości różniły.

Cała dzienna norma wyżywieniowa więźnia składała się: z 600g chleba, 0,75 litra zupy, i pudełka od zapalek cukru na dwie osoby oraz kipsiatok /wrzątek/ do woli, ponadto gdy na składzie znajdowały się ziemniaki, wówczas więzień dostawał kilka łyżek zalanego sosem. Porcje chleb i cukier były dość uchwytne, natomiast w zupie teoretycznie miało się mieścić mięso i tłuszcz, ale tych składników przez cały okres pobytu w areszcie, więzieniach i obozach nie mogłem się doszukać. Było dobrze, kiedy w zupie wyczuwało się zapach mięsa lub ryb, a głównie wędzanej ryby.

Ile należało się mięsa i tłuszczu poza jednostkami wtajemniczo-
-nymi, tego nikt nie wiedział, miało to tę dobrą stronę, że nie
wiedzieliśmy, czego mogliśmy się domagać. Przykładowo przez okres
pobytu w Rosji ani razu nie otrzymaliśmy cukru, bowiem nie wiedzieliśmy,
że nam przysługiwał, a inna sprawa, że od dyżeczki cukru nie
uzyskało się za dużo energii. Przedstawione menu wydawano przez
"świątek, piątek" i dzień wielkiej rewolucji "na okrągło" przez
cały rok. Z innych uprawnień bytowych wypada wspomnieć o space-
-rce. " w więzieniu skazanemu przysługiwał w ciągu doby 20 minuto-
-wy spacer, w naszym przypadku z tego uprawnienia nie mieliśmy
prawie żadnego pożytku, bowiem nie było do tego celu wyznaczo-
-nego miejsca, po drugie nie miał kto tym się zająć. Jeżeli
ważnie się pod uwagę, że w areszcie przebywało 20 osób po 20min,
co razem dawało około siedem godzin, na taką stratę czasu stra-
-żnicy nie byli w stanie pozwolić. Ponadto w więzieniu spacer
spełniał dodatkową ważną funkcję, bo nie tylko skazany mógł
zdczerpnąć świeżego powietrza, lecz i wymienić informacje,
spotkać się ze znajomym, czyli podtrzymywały życie towarzyskie,
ułatwiały utrzymanie osobistych kontaktów i zawieranie znajomo-
-ści, co prawda władzom ta więź nie odpowiadała, ale wobec tego
zjawiska praktycznie byli bezsilni. Wprawdzie na spacerach wypro-
-wadzali celami i cały czas starano się utrzymać pełną izolację,
ale w praktyce już w czasie doprowadzania i odprowadzania, gdy
się grupy mijaly, wymieniano wiekawsze wiadomości, zaś resztę
uzupełniano w spacerowych boksach. W Rosji natomiast byliśmy w
zupełnie niekorzystnej sytuacji. Kiedy nam wyprowadzano na spa-
-cer sam na sam ze strażnikiem, nie pozostawało nic innego jak
wzajemnie się gapić, zwłaszcza, że nie można było oddać z braku
wolnej przestrzeni, do naszej dyspozycji wyznaczono wąską ścieżkę
prowadzącą z aresztu do ustępu długości 20m. W takim układzie
ani nam, ani strażnikom nie zależało na spacerach.

Raz na kilka dni w wyznaczonym czasie w godzinach rannych, kto czuł potrzebę fizjologiczną lub miał odchody w kibku, był wy-
-prowadzany do ustępu i mógł skorzystać ze spaceru, lecz na ogół
po kilku minutach wracał spowrotem. Z innych anormalnych warunków
warte wspomnieć o braku wody, a ściślej możliwości dostępu do
niej. W ciągu 3-miesięcznego pobytu miałem możliwość umycia się
tylko dwa razy, przed konfrontacją na granicy i przed oustawieniem
do więzienia. Wprawdzie w celach nie kurzyło się i nie było spe-
-cjalnie czyn zabrudzić, ale przez taki okres czasu nawet gdyby
siedziało w gablocie za szkłem, obrosłoby się dostateczną warst-
-wą brudu lub pokrył pleśnią. Nie tylko z wodą higieniczną, ale
i do celów spożywczych były problemy. Zarówno w celach więzienn-
-ych jak i w obozach obowiązkowo musiało się znajdować naczynie
stałe napełnione kipiátkom, co było twardo przestrzegane,ostęp-
-ne dla wszystkich przez całą dozę. W naszym przypadku ten waru-
-nek nie był spełniony, oczywiście, nikt gorącej wody nie żało-
-wał, można z niej było korzystać dwa razy dziennie rano i wieczó-
-rem do woli, lecz z powodu braku naczynia na zapas nie można
było zostawić. Rzecz dosyć ciekawa, że w okresie pobytu ani ja,
ani nikt inny ze współmieszkańców nigdy nie zwracał się z proś-
-bą do strażników o podanie wody, bo ma pragnienie. Co prawda
jadało się nie za tłusto ani nie przebywało się w słonecznej
spiekocie, a gdyby nawet organizm potrzebował wody, to mógł
uzupełniać braki przez skórę z przesyconego wilgocią otoczenia
albo wystarczyło zanurzyć stopy w błocie i chłonać wodę tak,
jak rośliny korzeniami.

Gdy mówię o wodzie, to pragnę się podzielić jednym spostrzeże-
-niem, na które nie znajduję logicznego wytłumaczenia. Rozchodzi
się o kipiátk/wrzątek/. W latach głodowych na terytorium ZSRR
obowiązywało w miejscach publicznych/ jak już wspominałem/ w

zakładach karnych, wojsku, na dworcach i innych wystawiania naczyń z gorącą wodą z której mógł bezpłatnie skorzystać każdy, kto chciał. Z podstawowych wiadomości fizycznych jednoznacznie wynika, że używając gorącej wody nie zamieni się człowiek w maszynę parową, nikt nie odważył stwierdzić, że dodaje ona energii lub siły, ale jeżeli ją powszechnie stosowano, to chyba przynosiła jakiś pożytek? I jeszcze jedno z tej materii w tamtych czasach w zakładach karnych, w których przebywałem nie zetknąłem z tym, aby do posiłków podawano kawę, herbatę lub mleko, stosowano wyłącznie kąpiatki. Gdy w opowiadaniach i opisach z obozów niemieckich spotyka się wiele krytycznych uwag odnośnie wydawanej kawy-lury zawsze nasuwa się myśl, że nawet najgorsza kawa miała większą wartość od czystej wody.

Z grubsza wymieniłem najważniejsze mankamenty, które wynikały z przyczyn obiektywnych lub subiektywnych, ale ich skutki jednako dotkliwie dawały się we znaki, aby obraz był pełny wypada kilka słów powiedzieć i o plusach. Faktycznie to jedyną dodatnią stroną był poprawny stosunek strażników w Rosi, bowiem w więzieniach i obozach między skazanymi a strażnikami dzielił istotny dystans i często dochodziło do konfliktów, w rezultacie tego obie strony dzieliła jeśli nie wrogość to przynajmniej uprzedzenia i niechęć. Taki stan był naturalnym wynikiem zwykłej ludzkiej mentalności, bo czy można sobie wyobrazić, aby w większym skupisku nie znalazło się kilka skłóśliwych charakterów, jak również nie sposób wszystkim dogodzić, poza tym nie łączyło stron konfliktu z racji odmiennego położenia.

W areszcie w Rosi te sprawy układały się poprawnie, między nami a żołnierzami pełniącymi służbę nie wyczuwało się antagonizmów, tzn. na ogół traktowali nas przyjaźnie lub najwyżej obojętnie, chociaż niejednokrotnie dochodziło do nieporozumień na różnym tle.

Wprawdzie między żołnierzem a strażnikiem zawodowym istnieje spora różnica, żołnierzowi specjalnie nie zależało na utrzymaniu dyscypliny, bo po kilku godzinach służby nic go te sprawy nie obchodziły, ponadto i warunki były inne, kiedy pełnił służbę na korytarzu i w tym czasie aresztowany wsadzał nos do otworu w drzwiach, to mimo woli nawiązywał się bliższy kontakt, w takich sytuacjach większość z nich nie unikała rozmowy z nami, jak również nie zwracali uwagi, gdy się porozumiewaliśmy między sobą, a nawet wyczuwało się, że woleli by coś się działo niż panowała martwa cisza. Wiele również zależało od osobowości: jednych widziało się chętniej drugich mniej. Ten sam żołnierz ponownie pełnił dyżur rzadziej jak raz w tygodniu.

Po tej nudnawej dawce na poły teoretycznej w dalszych rozdziałach postaram się w miarę wiernie odtworzyć jak poruszane sprawy wyglądały w praktyce w życiu codziennym w odizolowanym świecie.

Ż y c i e w g r o b o w c u

Po osadzeniu w samotni czułem się jak ścięty potraw, schłem fizycznie i więdłem psychicznie. Zostałem raptownie odcięty od naturalnego podłoża, z którego czerpałem dotąd życiodajne soki, dopiero na dobre zaczynałem w niego wrastać, gdy nagle zostałem wyrwany brutalnie z korzeniami. Aczkolwiek od małego dziecka byłem zahartowany, nawykły do trudów, niewygód i czynnego życia, to jednak znalazłem się w warunkach, które przerastały moją odporność i wytrzymałość. Z chronicznym głodem, izolacją i ciemnością zetknąłem się poraz pierwszy. Wyrosłem w środowisku wiejskim, gdzie spędzałem większą część dnia na wolnym powietrzu, fruując niczym motyl. Tam każdy przeżyty dzień dostarczał masę urozmaiconych wrażeń, a tu nagle skrzydła obcięto i wsadzono żywcem do grobu. Czułem się podle pod każdym względem, ale na to nie było

rady ,nie szukałem winnego ,zdawałem sobie sprawę,iż wpadłem w pułapkę sam z własnej nieprzymuszonej woli,więc mękę znosiłem cierpliwie,inna sprawa musiałem pogodzić się z surowym losem, bo nie miałem innego wyjścia. W normalnych warunkach wystarczająca da się we znaki jedno z wymienionych uprzednio udręczeń, a co mówić o działaniu trzech na raz.Jakkolwiek podejrzewam,że gdy oddziałują razem to wówczas skutki niech się niwelują. Do pewnych dopuszczalnych granic organizm samoistnie broni się przed skrajnie ujemnymi bodźcami,niewątpliwie jeszcze dużo zależy od osobniczych zdolności adaptacyjnych.Z tego,co doświadczyłem na własnym organizmie,wiem,że w miarę postępującego ogólnego wyczerpania równolegle zachodzi najpierw przytępienie systemu nerwowego i niektórych zmysłów,a potem tak jak w urządzeniu elektronicznym stopniowe wyłączanie mniej ważnych źyciowo podzespołów,tym samym zmniejszała się ogólne obciążenie. Naprzykład zanim trafiłem do izolatki,utrzymywałem niezbyt regularne seksualne stosunki,w rezultacie w pierwszych dniach pobytu w kaciecie dla zabicia czasu wiele rozmyślałem o wspólnych miłych intymnych przeżyciach zaś w nocy występowały zmyzy. Po jakimś czasie takie myśli przestały nawiedzać,jedynie z rzadka powracały we śnie,natomiast z po dłuższym czasie zmyzy i grzeszne myśli bezpowrotnie zanikły,zaś kiedy poważnie opadłem z sił na myśl o sprawach intymnych ogarniało obrzydzenie. Jeszcze szybciej organizm dostosował do ciemności,choć zatraciłem orientację w czasie i nie było żadnej różnicy między porą dzienną a nocną,to jednak specjalnie nie przywiązywało większego znaczenia do tych zmian,zaś po pewnym czasie wogóle przestało to razić. Znacznie trudniej było znieść izolację,ale tu również określone ośrodki kory mózgowej przyszły z pomocą i we właściwym momencie zerwały kontakt ze światem zewnętrznym,

stosunkowo szybko przestało obchodzić, co się działo w domu, interesować jak radzą osoby bliskie, w ogóle zaprzętać myśli tym, co było i co będzie / umartwiać / i tak powoli niewiadomo kiedy przestało się nawet tęsknić za wolnością.

Niestety, takich ustępstw organizm nie dopuszczał w stosunku do uczucia głodu. W tym wypadku był nieubłagalny, w miarę postępującego ogólnego wycieńczenia uczucie głodu dokuczało w coraz ostrzejszej formie. Pusty żołądek krzyczał w niebogłosy: jeść! natomiast w czasce wrogie ośrodki dyspozycyjne zamiast go uspokój wręcz przeciwnie przekazywały informacje odgrzebane z głębi o wymaginowanych smakołykach, od czego żołądek kurczył się i "dostawał "Wściekliczny", a mózg nie pozostawał dłużny i w dalszym ciągu drażnił go dopuszczając tylko myśli, które miały związek z pokarmem i jedzeniem, one razem kotłowały się i jeszcze bardziej podsycaly pragnienie głodu.

Gdy ten wewnętrzny konflikt podstawowych organów przeciągał się za długo, wówczas wkreślał do działania pierwiastek rozumowy, usiłując pogodzić zwaśnione strony, najpierw kierował myśli na inne tory nie mające związku z jedzeniem. Jeśli ten wybieg z przedstawieniem myśli udawał, to żołądek na krótki przebieg czasu wyłączał i wtedy doznawało się podwójnej ulgi: raz spowodu odniesionego nad sobą zwycięstwa, a drugie z pozornego zaspokojenia uczucia głodu. Mniej więcej na podobnych zasadach funkcjonował organizm, ale takie stosowanie uników nie było zabiegiem łatwym ani skutecznym, gdyż działał znieczulająco jak narkotyczny lek na krótką metę.

Rozkład dnia i adaptacja do warunków kacetowych

Rozkład dnia był wyjątkowo uproszczony i dla nas nie miał najmniejszego znaczenia. Ważna była tylko pora wydawania posiłków

bo jedynie według tego określało porę dnia i odróżniało dzień od nocy. Bardzo szybko zatraciłem rachubę dni i to tak skutecznie, że aż do momentu wyjścia na wolność w zupełności zagubiłem daty dni tygodnia i miesiące. Jeśli chodzi o ścisłość to były wiadomości zbędne do niczego nie przydatne, a wymagające znacznego wysiłku aby je utrzymać w chronologicznym łańcuchu.

Dzień stale zaczynał o godzinie ósmej, kiedy następowała zmiana służb. Nowa służba wartownicza zaczynała pełnienie swoich obowiązków od sprawdzenia stanu osobowego aresztu. Akt zdawczo-odbiorczy odbywał się w prosty sposób, zdający i przyjmujący przechodzili razem korytarzem i latarką ręczną oświetlali celi, sprawdzając ilość osób, zgodność ze stanem ewidencyjnym. Podczas tej formalności aresztowany mógł spać, siedzieć lub leżeć martwo liczyła się głowa, reszta ich nie obchodziła. Przez całą dobę aż do następnego dnia więcej nieprzeprowadzali żadnych kontroli. Jedynie co pewien okres zjawiała się specjalna komisja, która dokonywała szczegółowej lustracji w celu wykrycia ewentualnych podkopów. Od godziny 8 do 10 a niejednokrotnie i później/lub wcale/ wydawano śniadanie, chleb i wodę, po czym wyprowadzano do ustępu i na spacer. Obiad wydawano od godziny 15, 17, z tym teminm też bywało różnie. Obiad składał się z zupy oraz łyżki ziemniaków lub kaszy jęczmiennej a najczęściej z samej zupy. Kolację - faktycznie tylko wodę przynoszono między godziną 19-20. Niekiedy uzupełniano rację chleba w zależności od tego czy rano wydano całą porcję czy tylko część, ale w takich wypadkach o tym zapominano i ginął on bezpowrotnie. I na tym w zasadzie kończyły się nasze zajęcia i obowiązki. Jak z powyższego wynika wolnego czasu nie brakowało do własnej dyspozycji pozostawała prawie cała doba, na brak wolnego czasu nikt nie mógł narzekać tylko, że niewiadomo łyżko, ~~nnnnnnnnnnnnnnnnnn~~ jak go wykorzystać?

Do pory wydawania posiłków był dostosowany rytm kacetowego życia, ale zanim do niego doszło, należało przełamać bariery psychologiczne, fizjologiczne oraz poprzednie nawyki, co z jednej strony wymagało silnej woli a z drugiej sporej inwencji, bo przecież nikt nie był w stanie doradzić czy dopomóc, tego co miało się robić i jak postępować aby zmniejszyć cierpienie. Czy można było oczekiwać w takim odosobnieniu dobrych rad? Wreszcie czy mogły być przydatne, bowiem w takich sprawach nie ma schematów, każdy posiada indywidualną odporność psychiczną i fizyczną, każdy organizm inaczej reaguje na niekorzystne warunki bytowe. Tam zmuszony byłem sam wynaleźć własne recepty na poszczególne udręki, lecz wcale nie jestem pewny, że wybrałem najlepsze, w każdym razie po pewnym czasie wypracowałem własny wewnętrzny regulamin-styl, który pozwolił ~~przez~~ przetrwać te kilka miesięcy i nie tylko, wtedy, bo smiem twierdzić, iż nie załamałbym się do krańcowego wycieńczenia bez względu jak długo taki stan mógł trwać. Jak raz już wspominałem, iż stosunkowo szybko pogodziłem z ciemnią, już od pierwszych dni pobytu czas stanął w miejscu i gdy zatraciłem rachubę czasu, to się okazało, że sublokatorzy również stracili orientację, na tym tle często dla rozrywki wynikał spór i nigdy sami nie byliśmy w stanie dojść do porozumienia odnośnie nazwy dnia i daty, zabawa kończyła się na tym, że strażnik rozstrzygał jako neutralny arbiter. W moim rozkładzie dnia najwięcej czasu zajmował sen przeciętnie 15-20 godzin na dobę w zależności od tego co się działo w otoczeniu. Aczkolwiek do spania były doskonałe warunki: chociaż ^{by} ciemność i grobowa cisza, jednak takie objawy nie można zaliczyć do naturalnych, czy było w porządku aby młody człowiek całymi dniami ~~wspan~~ i nocami spał i był nie wyspany. W pierwszych dniach po przybyciu chyba od nadmiaru snu występowały objawy majaczenia, ale ta reakcja minęła szybko i odtąd

popadłem w śpiączkę albo pół letarg i w takim stanie w zasadzie przetrwałem do końca pobytu. Potrafiłem, gdy nic się nie działo, przespać prawie całą dobę za wyjątkiem 2-3 godzin przeznaczonych na odebranie i spożycie posiłków. W ogóle przez kilka pierwszych dni wynikały nieprzewidziane problemy, oto chociażby załatwianie potrzeb fizjologicznych, korzystanie z kibla to była ostateczność dopóki organizm nie dostosował się do nowych warunków. Kilka razy musiałem z niego skorzystać, lecz potem już wcale nie był potrzebny. I rzecz ciekawa zarówno ja jak i inni korzystali z ustępu nie wiele częściej jak raz na tydzień zarówno na sucho jak i na mokro, właśnie między innymi z tego powodu również rzadko korzystano ze spacerów.

Z innych nienormalnych objawów warto wspomnieć, że w pewnym początkowym okresie przestawałem zdawać sprawę, gdzie się znajdowałem. Przygniatała ogromna pustka, od której świat dosłownie przestawał istnieć. W takim odrętwieniu prawdopodobnie trwałbym dłużej, gdyby nie twarde łożo. Już w więzieniu w Grodnie po raz pierwszy doznałem smaku, co to znaczy spać na gołych deskach, lecz tam byłem krótko i ostatecznie jakoś się te kilka nocy przemączyło, natomiast w Rosji, gdzie prawie całą dobę spędzało w pozycji leżącej, stało się to koszmarem. Początkowo spanie na gołych deskach nie jest specjalnie dokuczliwe, bo gdy ściernie jeden bok, wówczas się budzi i przewraca na drugi a w międzyczasie ściernięty wraca do normy i tak przewracając z boku na bok, noc upływa. Lecz po wielu takich nocach z rzędu kości biodrowe drętwieją zaś boki stają się obolałe, aż przychodzi taki moment, że nie można na nich nie tylko spać, ale i dotknąć z powodu dotkliwego bólu, wówczas pozostaje jedyne wyjście spanie w pozycji na wznak lub na brzuchu. W moim przypadku taka pozycja nie zdawała egzaminu z innych przyczyn. W prawdzie była pełnia

lata-nim wszystko w bunkrze zagłębionym w ziemi o powietrzu przesyconym wilgocią, panował ziąb. W ciągu dnia jeśli się nie spało specjalnie tego nie odczuwało, ale w nocy podczas snu dawno o sobie znać, a ponieważ do przykrycia miałem tylko letni płaszcz, więc aby utrzymać ciepło najwygodniej było spać w pozycji zwiniętej, na co z kolei nie pozwalały obolałe boki. Na szczęście po krótkim okresie czasu ból ustąpił i już więcej nigdy nie miałem z tym problemów.

Jak już uprzednio nadmieniałem, dostarczono mnie do ciupy w Brodoku nocy i bez żadnych wyjaśnień odnośnie obowiązującego tam regulaminu i obyczajów zamknęli w norze na cztery spusty. Skąd mogłem wiedzieć, czy byłem sam i co czekało dalej.

Z kolei sąsiedzi z prawa i lewa może i słyszeli moje przybycie, ale gdy przez kilka dni nie dawałem oznak życia oni również przyczajli się i siedzieli cicho jak mysz pod miotłą-ewentualnie rozmawiali, kiedy spałem, po drugie mogli się obawiać, że zostałem osadzony konfident w celach prowakacyjnych. W każdym razie na początku ich rozmowy nie słyszałem.

O tym, że cele obok były zajęte, wiedziałem, bowiem słyszałem kiedy strażnik podawał jedzenie, natomiast intrygowało dlaczego siedzą cicho, przeczucie podpowiadało, że za tym musiało się kryć coś niedobrego. W rezultacie tego dały znać o sobie dwa ujemne zjawiska: osamotnienie i strach przed nieznanym zagrożeniem, które połączone razem przygłuszały znacznym ciężarem.

Dla nich kilku dniowa przerwa w rozmowach była niczym, ponieważ przyzwyczajeni do panujących tam warunków nie odczuwali takiej potrzeby, ponadto dość mieli czasu na wyczerpanie wszystkich tematów, natomiast ja w nowych anormalnych okolicznościach na życzliwe przyjazne słowo czekałem jak na zbawienie, a sam pierwszy nie miałem odwagi zacząć. W tamtej sytuacji wybrałem nie typową ucieczkę przed osamotnieniem-zwijąłem się w kłębek,

naciągałem płaszcz na głowę i pogrążałem we śnie. Pewnego razu gdy się zbudziłem z powodu dokuczliwego bólu w biodrze usłyszałem prowadzoną rozmowę przez kobietę i mężczyznę i ku memu zdziwieniu w języku polskim, ponieważ ich dzieliła moja cela więc niechcący musiałem zapoznać z jej treścią. Stwierdziłem, że przysłuchiwanie się rozmowie sąsiadów działa dodatkowo-spowodowało rozładowanie wewn^otrzne, poczułem się bezpieczniej no i wniosła coś nowego w tą niekoncząca się monotonię. Jeszcze przez kilka razy z konieczności przysłuchiwałem im, aż w końcu postanowiłem się przedstawić, włączyłem nieproszony, zgodnie z oczekiwaniami przyjęli mnie przyjaźnie, tym sposobem zawarłem znajomość ze swoimi sąsiadami. Odtąd aż do końca pobytu utrzymywałem życie towarzyskie, odgrywało ono doniosłą rolę, w szczególności poprawiało samopoczucie, podnosiło na duchu i łagodziło osamotnienie. W sumie w tamtych warunkach oznaczało bardzo wiele. Mamy tu przykład, jak nieraz odgórne wytyczne były negowane. W założeniach przetrzymywane osoby miały być od siebie ściśle izolowane, tymczasem w rzeczywistości ten warunek był spełniany tylko połowicznie. Od momentu nawiązania kontaktów z współtowarzyszami niedoli poczułem się raźniej i poniekąd ten fakt wpłynął na zmianę trybu życia, wychodziłem powoli ze stanu apatii, zacząłem interesować się tym, co działo się w naszej "dziupli". Potrafiłem nieraz godzinami czekać cierpliwie na jakiś odgłos, czy liczyć kroki zbliżającego strażnika. Prawda, że ze wszystkich zmysłów jedynie słuch mógł dostarczyć prawidłowych wrażeń, zwłaszcza że on jeszcze się wyostrzył, stąd mogłem bezbłędnie określić, co się działo w naszym bunkrze i dlatego życie stawało się trochę ciekawsze. Z innych warunków, do których nie mogłem w ogóle dostosować aż do końca, to źle znosiłem pobyt na świeżym powietrzu.

Po wyjściu z ciemni na światło dzienne dostawałem zawrotów głowym do tego stopnia, że z trudem mogłem utrzymać na nogach, ponieważ traciłem równowagę, ponadto słońce tak silnie raziło m oczy, iż robiłem się zupełnie ślepy, i dopiero po dłuższym pobycie na świetle, wzrok powracał powoli do normy, aczkolwiek uczulenie na światło nie zanikało zupełnie. Zawrotów głowy może dostawałem nie tylko z przebywania w ciemności, lecz również dlatego, że większą część doby spędzałem w pozycji leżącej, trochę siedzącej, a stojącej bardzo mało. Między innymi z wymienionych przyczyn nie wiele korzystałem ze świeżego powietrza, poza tym gdy na dworze podczas spaceru padał deszcz i przemokłą odzież, to wtedy po powrocie do celi dokuczały dreszcze i w następstwie katar.

Z czasem kiedy minął kryzys i na dobre zadomowiłem w norze, ~~po~~ poznałem panujące stosunki i zwyczaje, które były jednostajne. Poczujęm się na tyle pewny siebie, że miałem odwagę stawiać żądania strażnikom, aczkolwiek nie powiem by one były skuteczne, Wartownicy robili swoje, co do nich należało, natomiast jeśli pretensje wyrażano zbyt natarczywie najwyżej omijali ten rewir, skąd wyrażano objawy niezadowolenia. Te zatargi dawały jeden nieprzewidziany pożytek, a mianowicie dostarczały rozrywki, którą w innej formie była niedostępna.

Najbardziej wyczekiwaną porą dnia był czas wydawania chleba, ~~na~~ czekało się na tę chwilę z wielką niecierpliwością, gdyż był to najtreściwszy posiłek, jeśli od razu otrzymywało się całą ^{dzienną} porcję. Chleb spożywałem uroczyście z wielkim namaszczeniem, tę największą przyjemność starałem się przedłużyć, jak najbardziej ostrożnie odgryzałem małe kęsy, obficie popijając wodą, przy czym cały czas uważałem aby nie uronić najmniejszego okrucha, jednocześnie śledziłem z niedowierzeniem jak szybko kromka topniała,

Brz w zględu na uprawiane sztuczki w końcu chleb znikał w przepastnym, nienasyconym brzuchu i tylko pozostawał po nim żal, że tak prędko skończyła się przyjemność. Jedynie tym posiłkiem chwilowo zaspakajało uczucie głodu, ale niepokój pozostawał, nie można było opędzić przed natrętną myślą, że do następnego śniadania wypadało czekać 24 godziny. Mocno byłem zdziwiony kiedy od sąsiadki dowiedziałem się, iż ona część chleba ze śniadania pozostawiała do kolacji, za jej namową próbowałem naśladować, lecz w praktyce z tego nic nie wyszło. Gdy go zastawiałem to tak długo wierciłem się i nie zaznawiałem spokoju, dopóki chleba nie zjadłem, ponadto nie było go gdzie schować ani położyć. Jednego razu położyłem w rogu na pryczy, a potem przez nieuwagę straciłem w błoto, od tego czasu już więcej nigdy nie zastawiałem. Pokusa w tym względzie przerastała kilkakrotnie moją wolę, więc nie było żadnego sensu nadaremnie się zmagać z sobą. Po śniadaniu zazwyczaj humor się porawiał. Wykorzystując lepszy nastrój wdawało się w pogawędkę, lecz trzeba zdawać sprawę, że należało porządnie namyśleć, zanim znalazę ineresujący temat, na miejscu prawie nic się nie działo, własne przeżycia po kilku dniach zostały wyekspleatowane. W tej sytuacji nieocenioną przysługę oddawały wiadomości wyniesione z przeczytanych książek, jeśli się natrafiło na znaną dla zainteresowanych stron, i tak w toku dyskusji znajdowało się zapomnienie o sojej sytuacji. Moi sąsiedzie do bardzo wylewnych nie należeli/a może byłem jedynym rozświergotanym ptaszkiem, którego tolerowali strażnicy/ dość często zamykali się w sobie, niewątpliwie mieli na głowie więcej zmartwień, nieraz w dyskusji zabierali głos z ociąganiem, nie jestem pewny czy swą paplaniną ich nie nudziłem, czego prześcianą nie mogłem stwierdzić. Może słuchali z musu, ponieważ nie mieli gdzie przed tą przyjemnością uciec. Oczywiście nie cały

czas od śniadania do obiadu spędzaliśmy na pogawędkach lub dyskusji, Traciło się na to parę godzin, a resztę przeznaczano na przedobiednią drzemkę. Obiad nie cieszył się takim poważaniem jak niedanie, te kilka łyżek stawy załatwiało się szybko, po kilku zamachach ręki kociołek był pusty, w dostępnych miejscach wylizywało ścianki i formalności obiadowe w kilka minut załatwiało się. Po obiedzie nigdy nie odczuwało sytości, wręcz przeciwnie w wyniku podrażnienia tkanek smakowych głód się zaostrzał i wtedy przychodziła najgorsza pora dnia. Od obiadu do kolacji/ dla tego co zjadł wszystek przydział chleba rano oznaczało porę dnia a nie porę posiłku/ nie wiadomo było co z sobą począć, bowiem odpadało wyczekiwanie na następny posiłek, na spanie było za wcześnie, przy uczuciu głodu i braku zajęcia fizycznego i umysłowego jakowy czas dłużył się niemiłosiernie, dosłownie zatrzymywał w miejscu i nie wiadomo należało robić, żeby tę nieprzyjemną porę dnia przeżyć. W tę porę rozmów nie wszczynano, chyba że wydarzyłoby się coś ciekawego, wszyscy siedzieli cicho zamknięci w sobie, ponieważ do rozmów brakowało chęci. Ja z tą przygnębiającą atmosferą nie mogłem się pogodzić. Pewnego razu nie mogąc znieść takiego stanu, z udręki zacząłem nucić półgłosem piosenkę wczułem się w jej treść i raptem doznałem ulgi, wyswobodziłem niespodzianie z czarnych myśli - skończyłem jedną więc nuciłem następną i tak po kolei aż usnąłem.

Od tego czasu co wieczór dawałem solo koncert, na który składały się polskie, rosyjskie, białoruskie a najczęściej kościelne pieśni, gdyż one silniej oddziaływały na wyobraźnię i pasowały do sytuacji. Repertuar pieśni kościelnych miałem bogaty, część utrwaliłem podczas nauki religii w szkole a reszta z nabożeństw majowych oraz kolęd i tak zwanych pieśni postnych.

Nigdy nie wiadomo, co w życiu może się przydać? Z pieśniami

postnymi zetknięciem w rodzinnej miejscowości, gdzie był zwyczaj w okresie wielkiego pastu na zbierania się ludności na wspólne śpiewy, ponieważ od najmłodszych lat brałem w tym czynny udział, stąd prawie całą ksztytczkę znałem na pamięć.

Do zestawu nie przywiązywałem najaniejszego znaczenia, wszystko zależało wyłącznie od tego, w jakim byłem nastroju, przeplatałem wesołe, tęsknymi i frywolnymi, zaś kolędy gorzkimi żałami, śpiewałem te które nawinęły w pamięci, kiedy poczułem się zmęczony śpiewem wtedy przerzucałem na pacierze i zwykle wówczas twardo zasypiałem. Wypada dodać, że moje popisy artystyczne wszyscy aprobowali zarówno siedzący w areszcie jak i strażnicy, nie był wypadku, by z tego powodu ktoś zwracał uwagę, co wcale nie świadczyło dobrze o poziomie artystycznym, aczkolwiek na pewno spełniały określone zadanie, stąd przyjmowano je przychylnie.

Z tej racji zyskałem u Rosjan przydomek "śpiewaka", nota bene zainteresowanie ich moją osobą pochodziło bardziej z innych przyczyn, o czym będzie mowa dalej. Bez względu na sposób przedstawiania pobytu w Rosji wypada jedno stwierdzenie, że charakteryzował się on bezgraniczną monotonią, właśnie dlatego najdrobniejsze szczegóły pozostawiały trwałe ślady. W tej życiowej próżni mało istotne odchylenia od dnia powszedniego urastały do atrakcji. Dla mnie osobiście np. było wielkim świętem, gdy miał służbę żołnierz Hnsakow, ten sam, co konwojował mnie z Grodna do Rosji. Darzyłem go sympatią nie dlatego, aby liczyć na korzyści materialne, chociaż podczas pełnienia dyżuru nie raz dolał więcej zupy, poczęstował jabłkiem, a zawsze papierosem. To wszystko nie miało większego znaczenia, najważniejszą^e wyczuwano^e było życzliwość. Odnosnie palenia, nie należałem do nałogowych pałaczy i za papierosem nie tęskniłem. W areszcie miałem papierosa w ustach tylko kilka razy. Od zaciągania dymem, dostawałem

zawrotów głowy jak po wypiciu większej dawki alkoholu, więc taka reakcja nie sprawiała przyjemności, natomiast papieros rwał zabijał uczucie głodu prawdopodobnie przez zobojętnienie enzymów lub powstrzymywał wydzielanie soków żołądkowych, w każdym bądź razie dla mnie w tym była jego zaleta, stąd chętnie korzystałem, kiedy nadarzała okazja.

Wracając do postaci Musakowa, potrafił on połowę zmiany przestać pod moim okienkiem i rozmawiać o niczym. O mnie już wiedział wszystko, ja do rozmowy nie mogłem w zasadzie wniesć nic nowego. Zwykle zapytywał, jak się powodzi i czy przyzwyczajłem do tych warunków, ja z kolei wypytywałem go, co słychać na wolności? Co wiedział niczego nie tajk. Pewnego razu podczas pełnienia służby podszedł do mojej celi i powiedział - słuchaj twój współplemięcy zabili na granicy naszych dwóch żołnierzy, z tego powodu wczoraj w mieście odbyła się wielka demonstracja, a dzisiaj odbędzie się ich uroczysty pogrzeb. Wiadomość tę podał bez podniecenia i cienia uprzedzenia. Niejednokrotnie miałem wrażenie, że miał skrupuły, iż z musu wpakował w tę "dziuplę".

Jeśli chodzi o innych strażników, to wszyscy w stosunku do nas zachowywali poprawnie, chociaż niektórzy z dużą rezerwą. Na pewno mieli regulaminem zabronione rozmawianie z nami, lecz tego większość nie przestrzegała. Spośród typowych służbistów zapamiętałem jednego o nazwisku Lipiński. Swoje godziny służby spędzał nieodmiennie z książką w ręku pod żarówką. Do nas nie wtrącał, ale kiedy ktoś zwracał do niego, pozbywał opryskliwie.

Jednego razu gdy stał on w rewirze zajęty przez Rosjan i tam przez nich został zaczepiony, oczywiście zbył ich arogancko, na co usłyszeliśmy: patrzcie Palak on Roskich nie uważa za ludzi. Obrażony Lipiński zaczął się tłumaczyć, że nie jest żadnym Polakiem i nie ma ich w najbliższej rodzinie, jest rosyjskim Sybirakiem.

W ogóle wyczuwało się, że wszystkim wartownikom nie odpowiadała panująca atmosfera w bunkrze, większość podczas pełnienia służby przebywała na schodach prowadzących w głąb ziemi i stamtąd obserwowali, co się działo na zewnątrz a nie wewnątrz, lub rozmawiali z wartownikiem, który stał na dworze, natomiast w nocy spali na schodach, mogli na drastyczne łamanie regulaminu pozwolić, gdyż ubezpieczał ich wartownik zewnętrzny i na budce, natomiast w głąb ziemi zaglądali z rzadka.

Pod koniec mego pobytu nasz bunkier trochę się ożywił, sprawcą tego był jeden staruszek, którego władze sprowadziły z miasta do przestawiania pieców. Do roboty to on specjalnie się nie palił, piece rozgrzebał, cegłą i gliną zawałił cały korytarz, nadając pozory wielkiej budowy, widocznie zaplanował sobie zajęcia do zimy, kiedy mnie wywołano jeszcze nie zdążył sklecić ani jednego pieca. Nadal wszystko pozostawało w toku przygotowań. Okazało się, że był rzadko spotykanym okazem - wyrósł i dożył sędziwego wieku w starej "spróchniałej formacji społecznej" a gdy się zetknął z nową najbardziej postępową w dziejach ludzkości w lot pojął jak w niej należało postępować, chociaż był staruszkim mógł z powodzeniem służyć za wzór do naśladowania pracy socjalistycznej. Z reguły wśród ludzi bywa tak, że braki są równoważone pewnymi zaletami i tym sposobem wypada nijaka przeciętna osobowość, tak było i w tym przypadku. Dla nas ostatecznie nie było ważne co robił i jak, jeśli nawet na tym odcinku wypadał n nie najlepiej, za to był niedościgniony w obyciu towarzyskim i właściwie za to był wysoko ceniony jako człowiek. Wszystko zależy z jakiego punktu widzenia wydaje się opinię. Był on pogodnego usposobienia i rzadko spotykanej gadatliwości, potrafił przegadać z wartownikami lub z nami osiem godzin i w międzyczasie zdążył oczyścić jedynie kilka cegieł. Kiedy brakowało

chętnych do słuchania, rozmawiał z sobą na głos. Dla nas taka postawa odpowiadała, zawsze wnosił coś nowego w niekończącą się nudę, można było z dziadkiem pogadać, popatrzeć przez okienko jak rozmawiał z innymi lub przy robocie dłużał, a nawet gdy poszedł po pracy do domu to można było wzrok zawiesić na rozwalonym gruzie i pozostawionym bałaganie. Wszystko razem składało się na to, iż czas mijał szybciej. Praca jego posuwała się normalnym tokiem do pewnego ąderzenia. Jednego dnia wyprowadzali mnie do ustępu, gdy dziadek był już w pracy. Kiedy przechodziłem koło niego na, mój widok przyjrzał się mnie z bliska - zobaczyłem jak zdębiał, wytrzeszczył oczy jakby zobaczył przed sobą widmo. Tego dnia wyraźnie się zmienił z beztroskiego na zaszępionego, niechętnie rozmawiał, a więcej przykładał do pracy. Od tamtego dnia już do mego sektora nie zaglądał. Na szczęście wkrótce upiora zabrali, stąd prawdopodobnie szybko wrócił do normy.

Osobiście zaliczam do dni atrakcyjnych również te, kiedy byłem wzywany na przesłuchanie i dwa razy do pracy u oficera śledczego. Po zakończeniu dochodzeń śledczy zlecił mi pocięcie i porębienie drzewa, roboty było niewiele, ale już byłem słaby więc starczyło na dwa dni. Oficer mieszkał z rodziną w jednorodziowym domku stojącym w ogrodzie na obrzeżu parku w obrębie ogrodzonym. Przy pracy nik mnie nie pilnował, stąd nie musiałem się spieszyć z robotą. Gdybym był silniejszym, na pewno próbowałbym uciekać, a tak kusila tylko otwarta wolna przestrzeń rozciągająca za płotem, lecz się bałem porywać, zdawałem sprawę, że do jej pokonania potrzeba było silnych mięśni i większego zasobu energii. a tego brakowało. Dobrze o tym wiedział i mój pracodawca, bo inaczej nie pozostawiłby mnie bez dozoru. Zadowolilem się tęsknym spoglądaniem w dal, oddychaniem czystym powietrzem oraz ciepłem promieni słonecznych, lecz nie tylko tym się cieszyłem. Jeszcze za-

-nim przystąpiłem do pracy, już byłem nastawiony na poczęstunek, Gromada drzewa do pocięcia była nie duża, na dobre, uczciwe dwie godziny pracy. Luźno odpooczywałem a mało pracowałem i z niecierpliwością wyglądałem, kiedy gospodyni przyniesie coś do zjedzenia. Czekałem długo i już zaczynałem tracić nadzieję, wreszcie wyszła z domu żona śledczego i nie zwracając na mnie uwagi poszła do ogrodu kopać ziemniaki. Dopóki kopała udawałem, że solidnie pracuję, gdy wróciła do domu, przerwałem i znowu zaczęłem wyczekiwać. Czas się dłużył, byłem już zryzygowany i przestałem liczyć, że cokolwiek dostanę. W końcu otworzyły się drzwi i ukazała się ona z trzymanym przed sobą dużym kilkukilogramowym garnkiem ziemniaków, ugotowanych w mundurkach. Podskoczyłem z radości, prawie siłą wyrwałem jej garnek z rąk, usiadłem na drzewie i rozpocząłem ucztę. Ziemniaki smakowały jak wyszukany frykas, pół garnka zjadłem z łupinami, potem zaczęłem obierać, tak byłem zajęty jedzeniem, że nawet nie zauważyłem kiedy przyszedł po mnie żołnierz, kilkoma bulwami go poczęstowałem zaś resztę dokończyłem sam. Gdy garnek był pusty po wielu, wielu dniach pierwszy raz poczułem się syty, brzuch rozciągnął niczym bilon i odczuwalnie ciążył, jedynie w ustach pozostał nieprzyjemny cierpki smak solaniny. W następnym dniu sytuacja powtórzyła.

Z perspektywy lat opisywane zdarzenie może wydawać się śmieszne i mało prawdopodobne, lecz trzeba pamiętać, że wówczas panowały zupełnie inne warunki. Na przykład poczęstunek ziemniakami dziś to drobny nie nieznaczący gest, niewart byłby wzmianki, natomiast wtedy oznaczał wiele, bo wówczas niskiej i średniej rangi oficer otrzymywał określony przydział artykułów spożywczych, które nie zaspakały jego potrzeb. Czyż można było oczekiwać, aby się dzielił jeszcze z osobą postronną?

W pierwszych dniach pobytu w kaciecie, nim jeszcze nie wywietrzały

z głowy przygody literackie, kładłem się nadzieją, że może da się usieć, nawet do tego poczyniłem odpowiednie obserwacje, z których ułożyłem plan działania. Szanse powodzenia były znikome, ale przy sprzyjającym szczęściu rokowały powodzenie. Uwzględniałem założenie następujące: między moją celą i sąsiednią od strony korytarza przebiegał przewód kominowy, zamierzałem do niego ^{zrobić} wkręcić, i kanałem wydostać się na dach ziemianki, dalej należałoby przejść do bramki lub pod druty i tamteży usiłować się wydostać. Do tego jeszcze należało spełnić dodatkowe warunki a mianowicie: Zbadać czy do przewodu kominowego mogła zmieścić osoba oraz upatrzeć odpowiednie miejsce na sieci elektrycznej, aby zrobić zwarcie w celu wyłączenia zewnętrznego Oświetlenia. Pozostawała jeszcze jedna niewiadoma jak ominąć wartownika stojącego na ze-
-wnątrz, zakładałem, że może on spać albo należałoby obezwładnić, Tym pomysłem podzieliłem się ze swoim sąsiadem za ścianą, on mojej propozycji na wspólną wcieczkę nie przyjął, zdecydowanie był przeciwny, po jego odmowie już więcej tym nie zwracałem sobie głowy.

C h a r a k t e r y s t y k a l o k a t o r ó w b u n k r a

W bunkrze były wydzielone nieoficjalnie trzy mini sektory: pierwszy obejmujące cele przy wejściu były przeznaczone dla żołnierzy skazanych na areszt dyscyplinarny. Retacja osobowa w tym sektorze zachodziła szybko i ze względu na odległość prawie wcale nie utrzymywaliśmy z nimi łączności.

Sektor drugi obejmował cele środkowe, w których przebywali obywatele radziecy różnych narodowości ich również nie trzymano długo najwyżej 2-3 tygodnie. Trafiali do aresztu głównie za przebywanie bez zezwolenia w strefie przygranicznej. Z nimi łączyły nas luźne kontakty, krótko mówiąc między nami a nimi utrzymywała się rezerwa, brakowało wspólnych powiązań, wówczas

to byli przedstawiciele dwóch odrębnych światów, nie mający sobie wiele do powiedzenia.

Sektor trzeci mieszczący się na końcu bunkru był przeznaczony dla ludności miejscowej, głównie Polaków, którzy byli podejrzani o niwrespektowanie obowiązujących przepisów granicznych.

Aczkolwiek nie było wyraźnego podziału na sektory, lecz podczas mego tam pobytu przedstawiczny układ miał miejsce.

Moja cela była przedostatnią po prawej stronie od wejścia, ostatnią zajmował Zygmunt Poczobut, trzymano go najdłużej, siedział w przeszce już ponad trzy miesiące, zanim ja przybyłem. Do więzienia w Wołkowysku przekazano go na krótko przede mną, czyli trzymano w bunkrze około pół roku. Pochodził z okolic Grodna a ściślej Indur, był średniego wzrostu, krępej budowy w wieku 25 lat. Jak narekordowy długi pobyt w tak skrajnie ciężkich warunkach trzymał się dobrze fizycznie i psychicznie, wprawdzie był mężczyzną w sile wieku, lecz i odznaczał się nieprzeciętną odpornością. Za co był zatrzymany tego nie dowiedziałem. Gdy pewnego razu ostrożnie nagabnąłem na ten temat, otrzymałem odpowiedź wymijającą, co przyjąłem jako wystarczający sygnał ostrzegawczy, że sprawa należała do niebezpiecznych, przeto lepiej było do niej więcej nie powracać ze względu na nieprzewidziane groźne następstwa, zwłaszcza, że na ucho nie można było poszeptać.

Z własnego domysłu przypuszczałem, że należał do siatki, zajmującej się przerywaniem spalonych ludzi przez granicę, chociaż mogły być i inne powody albo zatrzymano na podstawie posądzeń. Na pewno obarczono go zarzutem ciężkiego przestępstwa w świetle ich prawa, o czym świadczyło długotrwałe dochodzenie.

Według jego relacji początkowo zwlekali z przesłuchaniem, brali na czas, a gdy się okazało, że obrona taktyka nie przyniosła porządanych skutków, zastosowali inne metody. Najintensywniejszy okres przesłuchań przypadł podczas mojej obecności.

Z reguły wywoływali go z wieczora lub wśród nocy i trzymali do rana. Dlaczego* odbywało się w nocy, pozostanie tajemnicą, czym się kierowali, bo dla przesłuchiwanego z naszych warunków, gdzie pory dnia nie miały istotnego znaczenia było raczej bez różnicy* może w dzień nie mieli do tego warunków, ale raczej uważali, że praca w nocy dawała lepsze efekty? Wzywali go seriami ~~z~~ z rzędu przez kilka nocy, potem robili przerwę, chyba na uporządkowanie materiałów i po krótkiej przerwie ponownie wzywali. Faktycznie był on centralną postacią, ~~ma~~ odnosiło się wrażenie, że areszt* wybudowano na jego użytek. On był więcej przesłuchiwany niż wszyscy pozostali razem wzięci. Przypuszczam, że po zakończeniu dochodzenia zgromadzone materiały obejmowały kilka tomów. W jaki sposób był przesłuchiwany trochę zwierzał się, lecz raczej nie ze wszystkiego, ponieważ wówczas bez względu na rodzaj przesłuchania od osoby zeznającej żądano oświadczenia, że zachowa się w tajemnicy poruszane zagadnienia i wszystko to co się działo podczas śledztwa. W razie niedotrzymania tajemnicy, groził odpowiedni paragraf karny. Z tego względu nie mógł wyznać całej prawdy, jak był traktowany, lecz część udało mi się z niego wyciągnąć, gdyż nie miał na tyle ~~z~~ samozaparcia, aby w najcięższych momentach z niczym nie zdradzić przed zyczliwą osobą, zwłaszcza w takim kompletnym osamotnieniu. Oto co od niego dowiedziałem się i pozostało w pamięci? Dochodzenie prowadził jeden oficer, ale podczas składania zeznań z reguły asystowało kilku, chociaż nie zawsze miało to miejsce. Na ogół gdy był wprowadzany do pokoju, gdzie odbywało śledztwo zostawał cały skład, ucztujący za stołem jego wiktuałami przysła-
-nymi przez rodzinę. Według jego słów, rodzice żywili cały aparat śledczy, bowiem niedopuszczali ich do niego, stąd nie mógł ich ostrzec, że dostarczanych paczek nie otrzymuje. Z kolei oni nieświadomi tego, wozili jedną po drugiej, gdyż mieli niedaleko

i żywności w domu nie brakowało. Przesłuchujący na powitanie podawali mu kilka kawałków na spróbowanie w celu zaostrenie apetytu, a kiedy spostrzegli, że on się spotęgował, odcinali dostę-
-p do jada i przystępowali do czynności śledczych, nanosili zeznania na protokoły w wersji własnej z daleko idącymi odstęp-
-stwami od tego co mówił, w myśl wcześniej ogólnie ustalonych planów. Gdy oskarżony zaprzeczał, że zapisana treść nie była zgodna z prawdą, odpowiadali, iż on się myli - in się nie śpieszy, poczekaj, aż dokładnie wszystko sobie przypomni i dojdzie do przekonania, że mieli oni słuszność. Następnie protokoły zeznań kartkę po kartce do podpisu, te których nie podpisał odładowali na bok. Danej nocy dawali im spokój, dopiero jak takich spornych protokołów zbierało więcej, zmieniali taktykę. Zaczynali jak zawsze od zasławionego stołu, starali się być miłymi, po czym przystępowali do perswasji, co z kolei przerażało w słowne groźby, a kończyło na rękoczynach. W tej fazie przesłuchanie miało następujący przebieg: Na wstępie w przedkładanych obie-
-cankach oferowali, że jeśli się zgodzi na ustępstwa, to oni wpłyną na łagodniejszy wymiar kary, wezwolą na widzenie z rodziną, oddadzą przetrzymywane paczki żywnościowe, które się psują przez jego głupotę, tylko dlatego, iż nie chce podpisać tych nieszczęsnych protokołów, zaś oni idą na ustępstwa jedynie dla jego dobra, na dowód życzliwych zamiarów częstowali wybranym lepszym kaskiem. Gdy lisie zabiegi kończyły niepowodzeniem, główny wodzirej brał się do dzieła a pozostali wykanczali się z przesłuchiwanego. Najpierw obrzekał obwinionego stekiem pogróżek i wyzwisk. Wpadał w furję operował wszelkimi epitetami i groźbami w międzyczasie tłukł pięściami w żołądek lub kark, a gdy się wyładował wybiegał do drugiego pomieszczenia i dopiero po pewnym czasie powracał, kiedy już był uspokojony, po czym

zapytywał, czy przemówił do rozsądku? Po odpowiedzi odmownej rozpoczynała trzecia i ostatnia faza wymuszania zeznań polegająca na tym, że przyważywali strażnika, polecali mu zapalić przed oskarżonym 200watową lampę nocną jednocześnie nakazywali utrzymywanie pozycję nie ruchomą, zaś śledczy wychodził do drugiego pomieszczenia gdzie drzemał lub spał na siedząco. Tak trwało do świtu. Podobne seanse powtarzały się kilkakrotnie. Wysoko cenikiem i podziwiałem postawę Poczobuta, wykazał się uam rzadko spotykaną silną wolą, zaciętością i uporem, nieugięcie trwał przy swoich racjach, pomimo szykan nie załamwał się, chociaż przeżywał ciężkie chwile kilka razy słyszałem jak po powrocie do celi z zeznań pochlipywał po cichu. Aczkolwiek był w różny sposób szykanowany i nękanie wytrzymał wszystko. Po zakończeniu śledztwa spotkaliśmy się jeszcze w więzieniu w Wołkowysku gdzie był zatrudniony w łaźni, tam porozmawiałem z nim w bezpośredniej styczności. W toku rozmowy dowiedziałem się, że mimo wszystko nie wymuszono na nim niekorzystnych zeznań, śmiał się, że zamknął śledczemu drogę do awansu, za co otrzymał rekompensatę w postaci wyśerki z przywłaszczonych paczek. Wyrok otrzymał nie wysoki. Z drugiej strony o jego losach mogła zdecydować wpływowa rodzina, przez to pozyskanie ^{wyższej} rangi funkcjonariusza sprawę zamknięto bez zakładanych rezultatów. Na dowód tego, że rodzina o nim pamiętała i jej zabiegi dawały konkretne wyniki, może służyć fakt zatrudnienia go na miejscu w więzieniu, co było niezgodne z wówczas obowiązującym regulaminem, bowiem młodych mężczyzn po wyroku natychmiast wysyłano do obrządku białych niedźwiedz a nie pozwolenie na obijanie się w prowincjonalnym ^{na innym} więzieniu. Wtedy w łaźni byłem rozebrany do naga i on pierwszy zwrócił mi uwagę, że jest ze mną źle z powodu fizycznego wykończenia, jeszcze zastanawiał jak to było możliwe, aby tak ma

szybko doprowadzili mnie do wyjątkowo kiepskiego stanu.
Z drugiej strony celi sąsiadowałam z panią Olszewską / nazwiska już dokładnie nie pamiętam do, 20 lat pamiętałem bardzo dobrze, ostatnio z powodu zbyt polskiego brzmienia nie jestem pewny/. Spędziliśmy obok razem około dwóch miesięcy, pomimo dzielącej kilku centymetrowej odległości jak wyglądała nie mam pojęcia z tej przyczyny, że jej cela była przed moją, więc gdy ją wyprowadzali nie było możliwości zobaczenia. Za to słyszałem jak oficerowie śledczy zachwycali się nad jej urodą i wdziękiem. W ogóle wyrażali się o niej w samych superlatywach, czy na to zasługiwała w rzeczywistości ja nie jestem w stanie wydać opinii. Z wypowiedzi oficerów wynikało, że była wysoką elegancką kobietą po trzydziestce, w mundurze brytyjskich formacji lotniczych. Właśnie z tego powodu budziła powszechny podziw w całym sztabie wśród kadry oficerskiej, jednocześnie świadczyło o lekkomyślności aby w taki uniformie wybierać się za granicę do "rzyjaciół".
Do aresztu w Rosi trafiła okrężną bardzo zawiłą drogą. Pochodziła z wileńszczyzny z okolic Głębokiego, była żoną polskiego oficera, który zginął w Katyniu. Ona podczas pierwszego najazdu radzieckiego zamieszkiwała u swej matki. Podczas zsyłki na Syberię ją zabrali, natomiast jej córka została u matki. Z Syberii trafiła do Armii Andersa, skąd drogą pośrednią do Anglii, gdzie podjęła służbę pomocniczą w formacjach lotniczych. Dośkużyła się stopnia kapitana. Po zakończeniu wojny i demobilizacji w 1947 roku wróciła do kraju z zamiarem odnalezienia córki. Gdy wróciła do kraju udała się do Warszawy do Radzieckiej ambasady, tam podjęła starania o sprowadzenie dziecka do siebie. Ponieważ na drodze legalnej załatwiono ją odmownie w tej sytuacji powzięła decyzję samowolnie przedrzeć się przez granicę i zabrać dziecko. Na granicy została zatrzymana i tym sposobem

znalazła się w areszcie. Z jej osobą wydarzył się jeden charakterystyczny incydent. Ona trafiła do Rosi przede mną, kiedy ja się zjawilem jej śledztwo było już na ukończeniu, stąd przy mnie żadnych perypetii nie przechodziła, przynajmniej z tego nie zmierzała tak do mnie jak i Poczobutawi. Po wywiezieniu jej do więzienia na kilka dni usłyszałem jak za ścianą w jej pustej celi przystąpiono do robienia porządków, ponieważ trwały one dłuższy czas, zanim celę ponownie zamknięto, ponieważ to mnie zastanowiło co tam było do sprzątnięcia? Pomyślałem, że przygotowywali na przyjęcie jakiejś ważniejszej osobistości, dlatego wprowadzali większe zmiany. Przez kilka dni z ciekawości oczekiwalem kogo będę miał za sąsiada, a ponieważ nikt się nie zjawił więc o wszystkim zapomniałem. Po tygodniu poderwała nas na nogi wrzawa, wzniesiony much i bieganie na korytarzu. Z nadzieją westchnąłem, że nareszcie zjawiała się komisja do zbadania istniejących warunków, jednak szybko okazało się, że myliłem, wprowadzili niektórzy ze składu komisji z rozpędu dobiegli do końca korytarza, lecz po otwarciu celi po Olszewskiej tam się skupili i weszli rwać jakby odkryli minę. Były wśród nich osoby cywilne i oficerowie wyższej rangi. Zachodziłem w głowę co tam mogło tak ważnego wydarzyć, że narobili drugie tyle szumu i nic sensownego nie byłem w stanie wykonceptować. Dopiero po wypuszczeniu bunkru przez intruzów dowiedziałem się od wartownika, że rzekomą winę za tę niespodziewaną wizytę ponosiła pani Olszewska, bowiem w swej celi na ścianach powypisywała antyradzieckie hasła. Niestety, dowód winy spreperowali ordynarnie na siłę, nawet nie raczyli przystroić cęrobina wiarygodności lub upozorować czymś rozsądniejszym. Gdyż jak wiadomo osoby osadzone w areszcie były poddawane szczegółowej rewizji i pozostawiane wszelkich przyrządów do pisania, zachodzi

pytanie czy ona mogła wykonać napisy i dla kogo, jeśli w tak ciemnym pomieszczeniu nikt nie był w stanie przeczytać? Później gdy byłem w więzieniu, dowiedziałem się od Poczobuta, iż za treść haseł antyradzieckich kobiecie zakraglono wyrok z trzech do dziesięciu lat. Pierwszy akt oskarżenia udowodnił jedynie naruszenie granicy, za co groziło według kodeksu Kara do 3 lat pozbawienia wolności. Prokurator taki wymiar kary uznał za niewystarczający zaś z tego paragrafu nie mógł wymierzyć więcej. Wobec tego na prędcie postarał się dostarczyć fałszywych dowodów winy, aby sąd miał podstawy wydać wyższy wyrok. Osoba z bogatą przeszłością, przesąkami etą zachodnią ideologią należało czymś wyróżnić, stąd jako obywatelkę sąsiedniego zaprzyjaźnionego kraju postanowili przyjąć gościnniej na "miły" dłuższy pobyt. Na podkreślenie zasługuje fakt, że nawet panią Olszewska nie było próbowała bronić się, być może strach przed powrotem do Rosji, albo zbyt dobrze znała radziecką praworządność, z którą uważała, że nie było sensu walczyć, bowiem jak nie tego to uęyliby innego podstęp.

Z n a p r z e c i w k a p o d r u g i e j s t r o n i e k o r y t a r z a w moim zasięgu przetrzymywano trzy osoby w tej samej sprawie. Na wprost mojej celi siedział starszy po sześćdziesiątce miejscowy rolnik z terenu przyległego do granicy. Z jego zachowania wynikało, że w życiu już nie jedno widział i przeżył, niczym się nie przejmował i nic go nie dziwiło. Stale był w dobrym humorze, otwarty ze skłonnościami ironicznymi. Pomimo tego że został oderwany od warsztatu pracy i rodziny w okresie nasilonych prac polowych, nie wyglądał, aby specjalnie się martwić lub tęsknić za domem. Zaskakiwał wszystkim opanowaniem i równowagą ducha, jego dobry nastrój częściowo udzielał się i mnie, bo na miejscu miałem wzór do naśladowania. Nie ujął nie tylko swym zachowaniem, lecz i wyglądem zewnętrznym,

był starszym przystojnym panem nie wyglądający na rolnika: wysoki, średniej tuszy o sylwece ułana, prosty jak świeca, twarz o rysach wschodnich przyozdobiały duże piwne oczy i krótki wąsik, głowa przyprószona szronem dodawała dostojności. W sumie robił dobre wrażenie od pierwszego wejrzenia i dlatego wzbudzał zaufanie. Zachowywał się głośno, więc gdy go zabrakło, pozostała wyrwa, której inni nie potrafili wypełnić. Moje rozstanie z nim było krótkie, zrzędzeniem losu nasze drogi życiowe schodziły się i rozchodziły trzy razy w przeciągu kilku miesięcy. Pierwszy raz w areszcie, drugi w więziennej celi, a ostatni w obozie pracy. Rzecz tym dziwniejsza, że o ile pozostał jak żywy jego obraz, to nazwisko wyparowało nie pozostawiając najmniejszego śladu, natomiast wiele nazwisk ludzi, z którymi zetknęłam się przelotnie, zapamiętałam na trwale.

W stan oskarżenia dziadka postawili za udzielanie pomocy w przekraczaniu granicy, natomiast on do stawianego zarzutu nie przyznawał się, twierdził wszystkim w koło i w śledztwie, że nie miał z tym nic wspólnego. Według jego relacji sprawa wyglądała następująco: na wiosnę do pomocy w gospodarstwie zatrudnił małżeństwo Michalcewiczów, repatriantów białoruskich pochodzących z pod Białegostoku, którzy jednej nocy usiłowali przedostać się przez granicę w swe rodzinne strony, czyli zpowrotem wrócić do Polski. Na granicy zostali zatrzymani, zaś podczas śledztwa Michalcewicz zeznał, że o ich zamiarach i przygotowaniach wiedział gospodarz. Prawdopodobnie tak zeznał nie z tą myślą aby zaszkodzić gospodarzowi, lecz pod namową śledczego, który przyobiecał złagodzić wymiar kary albo i nic nie obiecywał jedynie w tym kierunku naprowadzać śledztwo, a on w dobrej wierze poddał się wywieranemu naciskowi, nie zdając sprawy, jakie to za sobą pociągnie dalsze następstwa. Z kolei jego żona w

swych zeznaniach gospodarza nie obciążała, bo być może śledczy w tym kierunku i nie wywierał nacisku, gdyż już mu wystarczało, że jedna osoba oskarżała dziadka. W tym stanie rzeczy Michalce-
-wicz wobec gospodarza wypadł w bardzo niekorzystnym świetle, co posłużyło za podstawę do aresztowania gospodarza. Gdybyż jama jeszcze odwołał swe pierwotne zeznania, lecz tego nie uczynił i w dalszym ciągu go obciążał, może i miał osobiste porachunki, kto to wie? W każdym razie po takim postawieniu sprawy dziadek nie pozostawał dłużny i w miarę swych możliwości starał się mu dopiec do żywego. W złożeniu okazał się niedoścignionym mistrzem, potrafi swego przeciwnika mieszać z błotem, zrobić szmatę, nie dopuszczając do głosu, posługując logiczną argumentacją popartą dosadnymi przekleństwami. Ze dwa razy dał popisowy koncert w czasie powrotu trójki z przesłuchania. Rozjątrzony niekorzystnymi zeznaniami ~~Michalcewicza~~ Michalcewicza dziadek klął siarczyście na cały głos w drodze powrotnej, jeszcze nim dotarli do bunkra, docierały głośne przekleństwa, a gdy znaleźli się w bunkrze grzmiał nadal, jakby pioruny biły z jasnego nieba. Nie pomogły preswazje wartowników ani nasze, dopiero później po dłuższym czasie gdy wyładawał się do dna dał spokój. W dni powszednie nie wytrącony z równowagi dziadek zachowywał normalnie, czasami nawet wymieniał kilka zdań ze swoim przeciwnikiem, ale na ogół, gdy jeden rozmawiał, to drugi nie zabierał głosu. Do ulubionych jego tematów było wydawanie na głos krytycznych opinii o swoim sąsiedzie za ściany " twierdził, że największym nieszczęściem człowieka jest spotkać na życiowej drodze patentowanego dumnia i z nim się związać, takiego mam obok, poco on szukał szczęścia w obcych stronach, było mu w Bolsce źle i tu się niespodobało, jeśli jest taki wybredy to jego sprawa, ale dlaczego w swoje zacncianki wciąga obce osoby, żonę lub mnie"

W myśl radzieckiego ustawodawstwa prawnego dziadek dopuścił się wykroczenia polegającym na tym, że wiedział o zamiarze ucieczki osób przebywających w jego domu i na czas nie zameldował właściwym organom. Dochodzenie trwało krótko, bowiem zeznanie konfrontacyjne świadka dopitnie potwierdziło jego winę.

Przez kilka przesłuchań próbował się wypierać, lecz po naocznej wypowiedzi świadka nie miał innego ^{wyjsiać} jak przyznać ~~do~~ stawianego zarzutu - i tak uczynił. W nagrodę był w areszcie jedyną mniej głodującą osobą, gdyż kilkakrotnie śledczy zezwolił napełnić kieszenie artykułami spożywczymi pochodzącymi z własnej paczki dostarczonej przez rodzinę a przedrzymywana u śledczego.

Przy takich okazjach nie omieszkał dociąć swemu przeciwnikowi - "o, żebyś był człowiekiem, podzieliłbym się i z tobą" po czym przywoływał strażnika podawał mu coś do spożycia z poleceniem masz zanieść to i daj Nasti/żonie Michalcewicza/.

Sąd radziecki trwający spór rozstrzygnął sprawiedliwie: wszyscy troje otrzymali równo, po trzy lata, najwyższy wymiar ze stosownego paragrafu, natomiast po wyroku władze potraktowali skazanych po uważaniu małżeństwo Michalcewiczów wywieźli w siną dal a dziadkowi wypadło odbywać wyrok blisko swej zagrody.

O b o k c e l i s t a r s z e g o p a n a po jednej i drugiej stronie celi siedzieli współoskarżeni Michalcewiczowie, dlatego mogli między sobą prawie swobodnie porozumiewać. Byli bezdzietnym małżeństwem, on starszy pod czterdziestkę, a ona o wiele młodsza od niego przed trzydziestką, względnie przystojna, cicha kobieta. Jemu przez cały okres pobytu zatruwał życie gospodarz, on początkowo próbował bronić się, lecz nie był zdolny odeprzeć ataków w rezultacie cierpkie uwagi puszczał mimo uszy, zaś dla innych lokatorów bunkra ich kłótnie były poniekąd atrakcją zabijającą nudę.

Żona jego była spokojną, zastraszoną kobietą, prawdopodobnie

ciężko przeżywała ten pobyt albo jakieś inne ją dręczyło zmart-
wienie, w kłutniach nie brała udziału, w ogóle była zamknięta w
sobie i z nikim nie rozmawiała, nawet nie słyszałem, aby odzywała
się do męża, stąd nie słyszałem jaki miała głos.

Na tym w zasadzie kończyły moje znajomości zawarte w areszcie.
Z innymi zatrzymanymi nie utrzymywałem bliższych kontaktów, mam
gdyż z powodu większej odległości było utrudnione porozumiewane
się głosem, poza tym pochodzili z odmiennego środowiska, a na
dodatek tam szybciej następowały zmiany, dlatego nie było kiedy
nawiązać znajomości. Na wzmiankę załugują jeszcze trzy osoby,
które przewinęły przez mój rewir. Jednym był młody baptysta,
który po odbyciu służby wojskowej zapragnął przedostać się do
Polski. Z tym zamiarem udał się na strażnicę i tam zwrócił się
z prośbą do komendanta o wydanie zezwolenia przejścia na drugą
stronę, w odpowiedzi znalazł się w Rosi, a za uczciwe podejście
do sprawy również dostał w nagrodę trzy lata odsiadki. W śledzt-
wie niczego się nie wypierał ani nie szukał wykrętów, ponieważ
przeszłość jego była dokładnie znana, więc jedynie zyskał tyle,
że po dwu dniach zakończono dochodzenie i natychmiast został
odesłany do więzienia.

Drugą osobą była starsza kobieta ledwie utrzymująca się na nogach
z powodu ostatniego stopnia wycieńczenia, z wypełni rozwiniętą
głodową biegunką. W tej fazie kiedy przyjęty pokarm nieprzetraw-
iony bywa wydalany na zewnątrz. W wyniku tego jej przydzie-
wek był wysmarowany wydzielinami, od czego był niesamowity
feter na cały bunkier. Przez dwa lub trzy dni jej pobytu w
celi nie można było wytrzymać, dlatego gdy ją zabrali odetchnę-
liśmy z wielką ulgą. Skąd pochodziła, kim była i za co zosta-
ła zatrzymana nikt nie wiedział, a z jej ust nie padło ani
jedno słowo. Na podstawie jej stanu zdrowia można było

przypuszczać, że albo była uciekinierką z łagru lub przybyła z głodującej południowo-wschodniej Ukrainy. Napewno błąkała się w rejonie przygranicznym i tam przez nadgorliwców została zatrzymana. Z czego można wnioskować, że pochodziła z obszaru Polski, dokąd miała zamiar przedostać się. Dalszy jej los już wcześniej został przesądzony, bowiem znajdowała się wtedy w stanie nieuleczalnej choroby, faktycznie w stadium agonijnym. Na uwagę zasługiwał jeszcze jeden rosyjski chłopiec w wieku 12-14 lat. Zatrzymano go na granicy, gdy usiłował ją przekroczyć. Wybrał się do brata, który w tym czasie był w Warszawie prokuratorem. U tegoż brata przebywał od wkroczenia wojsk radzieckich na teren Polski do 1947 roku, zmieniając kilkakrotnie miejsce zamieszkania.

Na początku 1947 roku na mocy wprowadzonego zarządzenia władz radzieckich musiał opuścić brata i przenieść do ZSRR, konkretnie do Moskwy, gdzie on miał rodziców, ponieważ w Moskwie mu się nie spodobało, więc spróbował z powrotem wrócić do Warszawy.

Przez okres pobytu w areszcie bez przerwy opowiadał współtowarzyszom, jak dobrze im powodziło się w Polsce najbardziej był zachwycony tym, że Polacy nosili ukrytą krótką broń, za pomocą której przeprowadzali między sobą porachunki, dlatego jego brat miał pełne ręce roboty przy wymierzaniu sprawidliwości.

Z jego wypowiedzi można sądzić, że brat zmieniał miejsce pobytu, był przenoszony do takich miejscowości, w których nowa władza nie mogła opanować sytuacji.

S l e d z t w o i n a d g r a n i c z n e p e r y p e t i e

Dochodzenie w mojej sprawie prowadził kapitan Bagraniec. Zostałem wezwany przez niego do prywatnego mieszkania po pięciu dniach, przesłuchania stale odbywały się w jego mieszkaniu.

W mojej obecności przeglądał zgromadzone uprzednio materiały,

przy tym żądał potwierdzenia, że zawarta w nich treść była zgodna z prawdą.

Według mojej oceny, liczył ponad 50 lat, był średniego wzrostu, oschły, zrównoważony, powierzona sprawę traktował bezpłciowo, nie wykazywał zaangażowania, robił to, co mu nakazano, nie siląc się na własną inwencję. Takim przynajmniej był od początku do końca śledztwa, aczkolwiek w innych sprawach mógł stosować zupełnie odmienną taktykę. W moim przypadku nie zachodziła taka konieczność, ponieważ wszystko było proste i jasne bez powikłań. Od pierwszego do drugiego przesłuchania upłynęło ponad miesiąc. W tym czasie zbierali dokładne informacje dotyczące mojej osoby w miejscu stałego zamieszkania: przesłuchiwali rodzinę, sąsiadów, bliższych i dalszych znajomych, ściągali opinie z sielsowietu i rejonu, gdy skompletowali potrzebne dane, dopiero wtedy śledczy przystąpił do drugiego etapu przesłuchań. Na drugim etapie przesłuchania musiałem szczegółowo zrelacjonować swoje przejście od Wołkowyska do granicy: wymienić któredyś szedłem, gdzie nocowałem, z kim się stykałem i czym się żywiłem. Starłem na ile mnie było stać, tak manewrować, by nie podać osób, z którymi miałem do czynienia. Udało się zataić pierwszego napotkanego rolnika, zdarzenie związane z moim zatrzymaniem za Wołkowyskiem, gospodarza u którego jadłem kolację oraz młodzieńca napotkanego w lesie przed strażnicą, natomiast zaplątałem się i nie potrafiłem wyprzeć rolnika, który przeprowadził koło wioski oraz kobiety znad granicy. Z tego tytułu przysporzyłem sporo kłopotów sobie i innym.

Po kilku dniach od ostatniego zeznania zostałem zerwany w nocy i wyprowadzony na wartownię. Tam czekało na mnie dwóch młodych lejtenantów i szeregowiec. Przejęli mnie i razem udaliśmy na stację, od nich w drodze się dowiedziałem, że jedziemy na granicę w celu skonfrontowania zeznań na miejscu popełnionego wykroczenia.

Rano dotarliśmy do ostatniej granicznej stacji Brzostowiany, leżącej na linii kolejowej Wołkowysk- Białystok, natomiast miejsce przekroczenia granicy leżało stamtąd w odległości około 20km w kierunku południowym na linii kolejowej Wołkowysk - Hajnówka. Podróż do Brzostowian odbyła się bez jakichkolwiek zakłóceń. Na cały skład pociągu byliśmy jedynymi pasażerami. W wagonie oficerowie drzemali, zaś żołnierz czuwał. Ranek był pogodny i zapowiadał się na upalny dzień. Gdy wysiedliśmy z wagonu powiało rozgrzany powietrzem, chociaż była jeszcze wczesna pora. Ciekawy jestem jak zapisało się lato 1947 roku w kronikach meteorologicznych, bo z tego, co doświadczyłem wnioskuje, że charakteryzowało się cudowną słoneczną pogodą, oczywiście te spostrzeżenia nie muszą być miarodajne, gdyż przebywałem tylko parę dni na dworze, ale one były właśnie takie.

Dokładnej daty kiedy się wybrałem na tą przymusową wycieczkę nie pamiętam przypuszczalnie gdzieś koniec sierpnia, ponieważ żniwa były w pełni, a wiśnie już przejrzały. O wiśniach pozostało miłe wspomnienie, podczas przemarszu ulicami Brzostowian napotkaliśmy po drodze sad obsadzony od płotu wiśniami, były tak gęsto obsypane owocami, że pod ich ciężarem gięły się gałęzie. Na ich widok nie wytrzymałem, wskoczyłem na płot i ułamałem gałąź razem z owocami. Ach jak one smakowały! Były dorodne, soczyste o drobnej pestce, lecz niewiele na nich skorzystałem, bowiem część gałęzi odebrał żołnierz. Za Brzostowianami zatrzymaliśmy się na śniadanie, wyfasowany suchy prowiant niósł w "mieszku" szeregowy. Na moją dolę przypadał sam chleb a oni do chleba mieli jeszcze konserwę. Za jednym zamachem zgodnie zlikwidowaliśmy całodzienne przydziały, zarówno oni, jak i ja. Te potrójne porcje wchłonęliśmy i nikt nie narzekał, że było za wiele. Niezgorzej pokrzepieni około godziny 10.

ruszyliśmy w dalszą drogę. Szedłem przodem, za mną żołnierz, a w tyle wlekli się oficerowie, jako pierwszy nadawałem tempo marszu, zaś ochrona nie-bardzo nadażaka, tak że odległość powiększyła między nami do 50m. Sam nie wiem skąd wtedy brały się siły, byłem już poważnie wycieńczony, chyba poruszałem się na zasadzie perpetuum mobile lub samoistnie przetwarzałem energię słoneczną na mechaniczną, ewentualnie znalazło odpowiednie miejsce nasze narodowe przysłowia, które głosi, że człowiek syty staje się leniwy co bardziej pasowało do Rosjan. W każdym razie nie czułem zmęczenia, nie pociałem się pomimo słonecznego upału, mnie się wydawało, iż szedłem zwykłym krokiem, natomiast konwojentów po zjedzeniu śniadania ogarnęło lenistwo i mnie należało do nich dostosować się, jednak nie miałem potrzebnego doświadczenia, że w niektórych wypadkach lepiej jest nie wykazywać nadgorliwości. W pewnym momencie dogonił mnie szeregowiec, przekazał mi swój szynel, następnie zdjął z ramienia pepeszę, wyjął z niej magazynek schował go do worka po czym pistolet oddał w moje ręce. Po tym ^{od}ciążeniu, zadowolony ze swej zaradności wsadził ręce w kieszenie i w dobrym nastroju trzymał się już blisko. Te jego samozadowolenie trwało krótko, wnet dogonił nas lejtenant Pietrow i z mety zaczął go besztac. Wskazał na mnie i powiedział "ty taki owaki synu, żebyś spędził tydzień w takich warunkach, co on to by wiedziałeś po czemu funt lich i tak nie postępowałbyś" Następnie zarzucił mi poco wziął ze sobą szynel "widzisz-znalazł się przezorny, w lecie zabezpieczył przed chłodem" My nie braaliśmy płaszczy a tu znalazł się mądrzejsz" Skoro jesteś taki zapobiegliwy zabieraj rzeczy co do ciebie należą i je dźwigaj i nie próbuj więcej uszczęśliwiać nimi młodego człowieka. Od momentu odebrania rzeczy ode mnie już nie zaznałem spokoju, obrażony żołnierz przyczepił się do mnie jak gnida. To co dostał

od lejtenanta usiłował z nawiązką wyładować na mnie. Miał paskudną, mściwą naturę, groził i wyzywał od najróżniejszych a faktycznie syczał przez zacisnięte zęby przez całą drogę, a gdy nie mógł dokuczyć słownie, to przyszywał złośliwym wzrokiem, przesycałnym jadem. Znosiłem jego wybryki cierpliwie, z drugiej strony nie bardzo odpowiadało spełniać rolę kozła ofiarnego, wobec tego starałem się trzymać bliżej oficerów, wtedy przynajmniej przestawał krakać, lecz nie zawsze było to możliwe, on natomiast i w drugim dniu usiłował wyrzucić zemstę. I tak w nieprzyjemnej atmosferze dotarliśmy do rzeki, gdzie moi opiekunowie zarządzili postój na odpoczynek i wykąpanie się. Po wykapaniu, obmyciu kurzu i potu humor wszystkim wyraźnie się poprawił, nawet odniosłem złudną nadzieję, że niedawne zadrażnienie poszło w niepamięć. Od przekroczenia rzeki po godzinie marszu dotarliśmy do krzyżówki, na której czekał na nas ciężarowy samochód, a na nim dwóch oficerów i sierżant z psem wilczurem czarnej podpalanej maści, tam nastąpiło połączenie sztabowych z liniowymi. Po zajęciu miejsca w samochodzie odjechaliśmy do strażnicy w Zaleszanych, gdzie wydano nam, jak na warunki więzienne względnie dobry obiad i między godziną 17⁰⁰-18⁰⁰ w pełnym składzie zakadawaliśmy się ponownie na samochód. Następnie zawiązali mnie opaską oczy/, którą i przed dojazdem miałem zawiązaną/ i odjechaliśmy w nieznanym kierunku. Po niecałej godzinie jazdy samochód zatrzymał się na drodze przed wioską, wówczas zdjęli mi opaskę z oczu i zwrócili się do mnie z pytaniem- czy poznaję wieś? Okazało się, że staliśmy przed wioską, koło której przechodziłem obok razem z rolnikiem podczas zbliżania do granicy, więc odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że poznaję, oni już mnie więcej o nic nie pytali.

W momencie, gdy samochód zbliżył się do granicy między czasie zbliżyli się do

nas jeszcze: jeden oficer, przedstawiciel sielsowietu i sołtys. Kiedy sołtys nas prowadził, widać robiła wrażenie wymarłej, wszyscy mieszkańcy jeszcze byli przy pracy w polu, jedynie gdzieś -niegdzie napotykaliliśmy bawiące się dzieci i wałęsające psy. Zaprowadzili mnie do najokazalszego domu, w którym zastaliśmy starszą kobietę, więcej domowników jeszcze nie było, przy mnie został żołnierz i sierżant, psa on pozostawił przed domem uwiązane -nego do płotu przed oknem, reszta obstawy rozeszła się po wsi, po chwili i sierżant gdzieś znikł.

Dom składał się z trzech izb, pierwsza od wejścia największa użytkowana jako kuchnię, środkowy pokój pełnił rolę gościnnego, zaś trzeci tzn. bokówka była sypialnią. Zaprowadzili mnie do pokoju gościnnego, posadzili przy stole koła okna, natomiast żołnierz położył się na kanapie stojącej w rogu pokoju. Otwarte okno wychodziło na łąkę, która w odległości 200m porastała gęstymi krzakami. Przez długi...długi czas nic się nie działo, od przypadku do przypadku zaglądał któryś z oficerów-pokręcił i szedł z powrotem na wieś, mój opiekun żołnierz tym razem leżał spokojnie i jakoś nie wykazywał zainteresowania moją osobą, ja zaś z nudów oparty o stół udawałem, że drzemałem. Tuż przed zachodem słońca wieś nagle się ożywiła, ludzie powracali z pracy, spędzano z pastwisk bydło do zagród, skrzypiały sjeżdżające wozy wyładowane snopami zboża, na ulicy słychać było gwar i ruch jak w wielkim mieście. Porykujące i postępujące napasione krowy, bek rozłączanych przed zagrodami owiec i nawoływanie pastuchów podkreślało specyfikę wiejską.

Upał mijał, przez otwarte okno wlewało się do wnętrza przyjemne, czyste, chłodnawe powietrze ciągnące od wilgotnych łąk. Wnet przypadła bydło na podwórzu córka gospodyni, wpadła do domu wzięła wiadro i pobiegła doić krowy. Po udoju i sprzątnięciu mleka, przyniosła dla nas kolację składającą się z chleba i mleka

w dostatecznych ilościach. Pojadłem solidnie, ten dzień zaliczył się od dwóch miesięcy do najsytniejszych, bowiem przyjąłem trzy porządne posiłki, stąd bardzo dobrze utkwiał w pamięci. O szarówce zaczęły zbierać w kuchni kobiety zwoływane na zebranie. Kiedy się ściemniło na dobre pomieszczenie było prawie pełne. W tym samym czasie córka gospodyni po zakończeniu gospodarskich obrządków udała się do pokoju sypialnego, bo faktycznie nie miała gdzie ponieważ pozostałe pomieszczenia były zajęte. Wykorzystał nadarżającą się okazję mój opiekun i zaraz bez prośzenia skrył się w sypialni, pozostawiając za sobą lekko uchylone drzwi, przez które wkrótce usłyszałem wybuchy śmiechu i odgłosy śmiałych zalotów. Zostałem sam nie pilnowany, ciemny mrok za oknem zapraszał, nie wytrzymałem i bez namysłu momentalnie przeskoczyłem przez parapet okienny i w sekundzie czasu znalazłem się w kwiatowym ogródku. Poczciwa psina leżała spokojnie pod płotem, na mój widok nawet nie drgnęła, jednak z niedowierzania trochę odbiłem w bok aby nienadepnąć przez przypadek psowi na ogon, chwyciłem rękami za sztachety i kiedy już poderwałem się do przeskoku, gdy nagle usłyszałem przytłumiony wypowiedziany z naciskiem głos - a ty kuda!, który odrazu mnie sparaliżował. Kiedy za chwilę odwróciłem głowę, skąd dochodził głos, ujrzałem dwóch oficerów i sierżanta zbliżających w pośpiechu w moim kierunku. Prawdopodobnie dotąd stali za rogiem mieszkania stąd nie mogłem ich przedtem widzieć. Po przyłapaniu na gorącym uczynku, nie złożąc polecili zpowrotem wkroczyć do mieszkania przez okno. Nieudana próba ucieczki mnie uszła na sucho, wo widocznie wrazie spowodowanie wrzawy, którą mogli usłyszeć zebrani w mieszkaniu i doprowadzić do zbiegowiska do czego napewno nie chcieli dopuścić. Gdy wróciłem do środka, żołnierz zajęty ściskaniem panny nic nie wiedział co

w międzyczasie zaszło, dowiedział się dopiero po wejściu do niego oficerów, którzy w kilku słowach wyjaśnili co się stało i następnie zabrali go na dwór ~~dużym~~ gdzie niewątpliwie wyładowali dostateczną porcję "jobów". Tym sposobem niechcąc stałem się dla niego sprawcą nieprzyjemności po raz wtóry w ciągu dnia. W międzyczasie jeden z oficerów, który został przywołany do uchylonych drzwi i polecił przez szparę ukradkiem obserwować izbę, w której odbywało się zebranie. Zadaniem moim było rozpoznanie i wskazanie osobnika z którym miałem styczność, kiedy przechodziłem koło tej wsi. Zaciłem wzrokiem na salę i zobaczyłem, że na zebranie przybyły same kobiety i kilku staruszków, natomiast nie było ani jednego mężczyzny w sile wieku. Wreszcie nie zamierzałem denuncjonować, jeżeliby nawet dana osoba przybyła na zebranie, ale wytworzona sytuacja była tym lepsza, że nie potrzebowałem uciekać się do śladnych uników. Zebranie było upozorowane, na sprawy natury gospodarczej, za stołem siedziało dwóch oficerów a pośrodku przedstawiciel sielsowietu, który z posiadanej listy wyczytywał nazwisko i żądał przedłożenia dowodów rozliczeń z dostaw mleka, mięsa, zboża i opłaconych podatków. Oficerowie brali do rąk kwity niby je sprawdzali, a gdy przedstawiciel sielsowietu stwierdzał, że rozliczenie jest w porządku, zwracali je właścicielowi nie mówiąc, natomiast u innych kobiet przedkładających kwity doszukiwali się jakichś nieprawidłowości w rozliczeniach, takich czepiali się wyłącznie oficerowie nieodmiennie zapytywali gdzie jest mąż i dlaczego nie przyszedł na zebranie - Kobiety się wily i wyszukiwały różne wykręty: a to, że mąż nie było w domu, był chory, zajęty pilną pracą, a niektóre oświadczały wręcz, że w tych sprawach one są ważniejsze, ponieważ w domu i gospodarce o wszystkim decydują. W rezultacie sprowadzenie mężczyzn na zebranie nie powiodły się

nie mówiąc o odszukaniu osoby podejrzanej. Mój "opiekun" szybko się zorientował w czym rzecz, nie czekał na zakończenie zebrania, lecz wcześniej kazał mi się i sam to uczynił, nie należał do najwmych dobrze zdawał sprawę, że ich przebiegłość tym razem trafiła w próżnię. Zebranie kończyło się późnym wieczorem, pom czym wśiedliśmy na czekający samochód i chociaż był wieczór ciemny, ponownie zawiązali mnie oczy i odjechaliśmy na nocleg do strażnicy w Zaleszanych. Intrygowało mnie jedno po co zawiązywali oczy w tym i następnym dniu, czy był to wymysł któregoś oficera, albo może po drodze znajdowały ważne obiekty wojskowe, bowiem inaczej nie zachodziła taka potrzeba. Na strażnicy zaprowadzili mnie do piwnicy, spełniającej funkcję tymczasowego aresztu i tam spędziłem noc pilnowany przez dwa uwiązane psy. Rano już bez śniadania i przydziału prowiantu na drogę znowu zakładaliśmy się na samochód w składzie czterech oficerów, szeregowy, i sierżant plus pies, dojechaliśmy do tej samej wsi co byliśmy wieczorem, tam wyładowaliśmy na drodze, samochód odjechał, a my rozpoczęliśmy marsz całą grupą po moim starym tropie. Po pewnym czasie jeszcze dołączył rucznik wierzchem na koniu. Wtedy czułem się wyjątkowo bezpiecznie, bowiem ochraniało mnie siedmiu wojaków z epoletami i na dodatek pies aby się w krzakach nie zgubił. Pies od początku do końca był do mnie nastawiony przyjaźnie i ani razu nie warknął, gorzej sprawa się miała z dwunożnymi stworzeniami. Mając za sobą naukę z poprzedniego dnia, tym razem nie spieszyłem się tym bardziej, iż opiekunowie nie objawiali chęci do forsownego marszu. Ale wtedy wszystko układało się na przekór jak patentownemu nieudacznikowi, nie potrafiłem przewidzieć, że ta opieszałość zamiast na dobre wyszła na złe. Za wsią skręciłem z drogi w kierunku lasu, celowo ominęłem gospodarstwo z dala, w którym jadłem kolację,

pod lasem wpadłem na swój dawny ślad i dalej powoli pokonywałem w las, zarosła i wertepy. Po pewnym czasie moja eskorta miała dość przyjemności przedzierania przez bezdroża. Już wcześniej wycofał się pułkownik, prawdopodobnie był ciekaw zobaczyć groźnego przestępcę, a gdy zobaczył ciał ludzki nie warty oglądania, postanowił nie tracić więcej cennego czasu i zrygnął z dalszej przejażdżki. Eskortę po krótkiej radzie postanowiła przejąć inicjatywę. Ustalili, że dalej oni będą dyktować, którądy mamy iść, a ja co pewien czas miałem naprowadzać na swój dawny trop, dla mnie ta sprawa była obojętna. Od tamtego miejsca rozpoczęło się kluczenie raz w prawo, drugi w lewo od dawnej mojej trasy, ponieważ przedtem wybierałem teren zakryty, porośnięty krzakami i lasem, teraz przeciwnie trzymaliśmy drogę i ścieżkę żeby było łatwiej iść, ale za to nadkładaliśmy drogi, miejscami wypadało odbijać na odległość i 2 km, szatać przeróżne półkole. Rezultat był taki, że tą samą drogą przedtem pokonałem sam lekko w przeciągu paru godzin, a teraz nie mogliśmy dotrzeć na miejsce za ponad 8 godzin. Do tego należałoby uwzględnić jak skutecznie działa przymus.

Początkowo marsz przebiegał pomyślnie, bezbłędnie trafiałem na charakterystyczne punkty utrwalone w zeznaniach. Ta znajomość topografii wprowadzała w podziw roich opiekunów, zwłaszcza zachwytem nie było końca, kiedy natrafiłem na porzuconą uprzednio mapę, znajdowała się w bardzo dobrym stanie, co dowodziło, że niewiele padało deszczów, skrzętnie ją schowali do akt jako jedyny namacalny dowód z jałowej wyprawy. Gdy słońce znalazło się w pionie i padające prostopadle jego promienie zaczęły prażyć, ogólnie względny dobry nastrój krył jak balonik, poczułem się znęcony. O ile w pierwszym dniu zastygłe i zleżałe członki potrzebowały ruchu, niby ptak po wydostaniu się z klatki, nie zwarzając na zasób sił. Teraz ruchu miałem już dosyć, do tego

kontakty wyczerpane tylko rezerwy energii, ponadto reszta dopełniała
lejący się śnieg z nieba oraz fakultatywny głód. Wlokłem się, co
musiałem, lecz gdyby się mnie to załatało bym nie ruszył z
miejsca. Również eskorta także była w podobnym stanie albo gor-
-zej, zwłaszcza w powodzi wznoszącej fali złości. Od znalezienia
mamy oni mieli już dość bezcelowego łowienia, a pozostawał
jeszcze najgorszy odcinek tj. duży kompleks leśny, w którym
stała strażnica oraz teren bagieny. Na początku kryzygowali
o dalszego otwierania trasy. Przed koczłosem leśnym obrali
kierunek na stronę w Zaleszanach i od tego momentu zostalem
swolniczy od roli przewodnika. Przez całą drogę trapiła mnie
jedna myśl a mianowicie: co będzie, gdy w Zaleszanach zachce
odwukać tą kobietę, która udzieliła mi informacji nad
granicą. Wychodziła z założenia, że znaleźć ją będzie łatwo,
ponieważ wystarczyło ustalić do kogo należało pole, na którym
pracował. Mój ojciec okazał się niepotrzebnie obawiać, gdyż
z tego dochodzenia chyba z braku czasu kryzygowali albo im
nie zależało na podążaniu kobiety do odpowiedzialności.
Przed nadjeściem pory patrolowej eskorta zaczęła rozglądać za
jednym, konkretnym prowiantem nie mieli, być może swój przydział
zjedli nawet całą poprzedniego albo zostali delegowani na jeden
dzień, nie potrafiąc wprowadzić zmian, chociaż prawdopodobnie
wyjechali nas zniszczyć, tak, jak ja, że byli głodni to nie ule-
-gało wątpliwości. W celu zdobycia oficerowie podzielił się
na dwie grupy, po dwie osoby i udali się na poszukiwanie jedzenia
do wiatraków przy drodze zakładowej. Serżant, sierżant i ja szliśmy
po woli drogą wychodzącą na południe od obozu. Droga prowadziła
obok rzeki i wiodła po jednej i drugiej stronie
całkowicie bez pokrycia. Odwiedzali wszystkie po-
-lone i wiatraków przy drodze i wiatraków wiatraków z pustymi rękami

Po kilku nieudanych próbach jedynie pot im obficie spływał z czoła i od wewnątrz rozszadzała wściskłość, lecz uparcie poszukiwali nadal, aż się skończyły zabudowania. Dalej rozciągał się las, tam dołączyli do naszej grupy i od razu swój gniew wyładowali na mnie. Rozwścieczeni gorzej zachowywali ^{się} od podrażnionych os, kleli i wygrażali, iż z tego powodu muszą się męczyć, zaś jeden z nich rozgorączkował ^{się} do takiego stopnia, że namyślał się wrzeszczeć, iż zabije mnie na miejscu z powodu usiłowania ucieczki, również nie szczędził pogroźek pod adresem gospodarzy, nie wchodząc w ich położenie - jakby nie było nakarmienie siedmiu wygrodzonych osób na czekaniu nie każdego było stać.

W tym zbiorowym wybuchu gniewu zachowały się przyzwójcie dwie istoty: lejtenant Rietrow, który przez cały czas zajścia milczał lekko zabawiany oraz pies, on z kolei od spiekoty wywiesił język i zjąk w szybkim tempie, przekrzywił głowę i pokornie spoglądał w oczy, nie zdając sprawy z rozpętanej burzy.

Kiedy ogólny atak złości minął, ruszyliśmy dalej już wszyscy razem. Droga wiodła przez las, po kilometrze las się kończył, a tuż przy lesie wykonały zabudowania gospodarskie. Na ich widok jeden z oficerów oznajmił, iż wpadł na dobry pomysł, który gwarantuje otrzymanie jedzenia, inni z powątpiewaniem zapytali - skąd ta pewność i na czym polegał sekret? Wyjaśnił, że pójdzie do mieszkania i powie gospodarzowi, iż potrzebuje żywności do nakarmienia głodnego "pszeka". Jak uradzili tak zrobili, poszedł nie jeden, lecz dwóch, po dłuższym czasie gdy tamci nie wychodzili, poszło następnych dwóch, natomiast szeregowy i sierżant zostawili mnie na skraju lasa, a sami weszli na podwórze i tam się rozłożyli do odpoczynku. W ten sposób stworzyli prowokacyjną okazję do ucieczki, chociaż dzielił nas płot i byłem w lesie mimo tego podejrzewałem, że celowo zastawili na mnie

rukaawkę, do której nie miałem najmniejszej chęci wkazić. Po wczorajszej próbie im się wydawało, że byłem sorry i zdecydowany do ucieczki, tylko nie brali pod uwagę w jakim stanie się znajdowałem: głodny i po wielogodzinnym marszu w spiekocie miały resztki siły zostały wyczerpane do cna już ledwie stałem na nogach, gdyby opiekunowie nie zarządzili odpoczynku nie byłem pewny czy starczyłoby siły na dotarcie do miejsca przeznaczenia, W takim stanie nie miałem najmniejszych szans na ucieczkę i nawet w myślach takiej możliwości nie dopuszczałem. Po drugie musiałbym być bardzo najwym aby zdecydować na ucieczkę przy pełni siły po tym, co usłyszałem z ich ust wypowiedzianych wypowiedzianych podczas wybuchu gniewu.

W wytworzonej sytuacji nie zastanawiając, tam gdzie mnie zostawili rozciągnąłem się na mchu i czekałem co będzie dalej. Oficerowie w tym czasie siedzieli w mieszkaniu, ^{z którego} do dżaszny wyciekiwaniu w pewnym momencie z komina zaczął ^{się} ulatniać w górę dym, co świadczyło o przygotowywanym jedzeniu, ze zrozumiałych względów taką oznakę przyjęło się radośnie. Zostałem długo i rozmyślałem skąd zrodził się im pomysł aby mnie pozbyć? Po głębszym zastanowieniu wpływał jeden wniosek, iż byłem nie wygodnym obiektem nadzoru, ponieważ oni nie wywiązali się z postawionych im zadań, dlatego w razie wyciągnięcia służbowych konsekwencji obawiali się przykrych następstw. Aby mieć ze zleconym zadaniem spokój lepiej było dla nich zlikwidować sprawcę zdarzeń, za jednym pociągnięciem przekreślić wszystkie komplikacje. Za główne ich służbowe uchybienie wypada wymienić fakt, że ni kogo dodatkowo nie aresztowali i nie wykryli żadnych powiązań, ponadto nie odtworzyli wiernie przebytej przeze mnie trasy, zwłaszcza pominęli najważniejszy końcowy odcinek. Z kolei dla nich brodzić po bagnach wcale się nie uśmiechało. Po dokładnym przeanalizowa-

-niu położenia w którym się znalazłem postanowiłem być czujnym i ostrożnym na podstęp, w szczególności w niczym im się nie narządzać, zdawałem sprawę, że w mojej kwestji między nimi nie było jednomyślności, co przemawiało na moją korzyść.

Z przygnębiających rozmyślań nad zaistniałą sytuacją uwolniłem się, gdy z mieszkania wyszli oficerowie z jedzeniem dla nas. Przyniesli jajecznicę z kilku jajek usmażoną na zjeżdżającej śłoninie, sami byli w dobrym nastroju. Wyczuwało się z dala, że na ich dobry humor musiała skutecznie podziałać większa dawka samogonu. Po skończonym posiłku i odniesieniu naczyń gospodarzowi wybraliśmy się w dalszą drogę.

Przez całą podróż pomysłowy oficer płał na temat "pszeków", jaki jest, to wredny naród, jak wrogo jest usposobiony do radzieckiej władzy i radzieckich ludzi, że z nimi po dobremu nie dogadasz, jeśli się nie użyje podstępu. Pozostali mu przytakiwali i tak zadowoleni z siebie na moją obecność nie zwracali najmniejszej uwagi. Po niecałej godzinie drogi niczym nie zakłóconego stanęliśmy na strażnicy w Zaleszaniech. Na nasze spotkanie z głównego budynku wyszła liczna grupa oficerów w ilości 20-30 osób, różnych rang, niewątpliwie ściągnięci z odległych strażnic i różnych związków taktycznych tych wojsk. Z grupy tej wysunął się do przodu pułkownik, który na moją towarzyszył na koniu na początku naszej podróży/ z dwoma innymi oficerami i na powitanie zwrócili się w ostrej formie z pretensjami do ~~tramw~~ eskorty, dlaczego, z opóźnieniem przybyli, po krótkich tłumaczeniach się doszli do porozumienia i dodatkowych uzgodnień.

Jako gospodarz ^{oni} dowódcy ze strażnicy w Zaleszaniech zostało przekazane przewodctwo nad całą grupą. W zleconej roli, wyprowadził on wszystkich na ścieżkę prowadzącą w kierunku granicy przez pola. Przy samej granicy na styku pola z lasem ścieżka się

kończyła. Przy tej okazji miałem możliwość zapoznać się z umocnie-
-niem granicy biegnącą przez pola, gdzie zamiast parkanu stały
zasięki z drutu kolczastego, ponadto różniło się jeszcze tym,
iż pas ziemi zaoranej był znacznie szerszy niż w lesie.

Gdy dotarliśmy do parkanu polecili mnie obserwować go i wskazać
, w którym miejscu przekroczyłem granicę. Po przejściu z 800m
zobaczyłem w parkanie złamaną przede mną dragwinę, co było
oznaką trafienia na właściwe poszukiwane miejsce. Kiedy oznaj-
-łem, że odnalazłem zleczone miejsce, moja asysta poleciła
zatrzymać się a następnie przystąpiła do sporządzenia protokołu
ogledzin, najpierw sporządzili szkic po czym uzupełnili go
opisem. Jeszcze raz zażądali abym powtórzył swą relację, a oni
na podstawie tego, co zeznałem i tego, co zobaczyli zredagowali
ostateczny tekst protokołu, którego treść sprowadzała się do ~~mi~~
stwierdzenia, że ^{to} zwalniało z pociągnięcia do odpowiedzialności
służby wojskowe odpowiedzialne za dany odcinek granicy, ponieważ
zbieg okazał się wyjątkowo przebiegłą i ostrożną swałocą.
W uzasadnieniu podali jak można upilnować takiego, który w
ciągu nocy przebył tylko 2km, natomiast pas zaoranej ziemi stopa-
-mi nie tknął, gdyż go przeskoczył, więc nie pozostawił śladów
naruszenia granicy, dlatego o tym nie było meldunku na strażnicy.
Podczas oględzin za dnia przeszkoda z parkanu wydawała się nie-
dopokonywania zwłaszcza sposobem przede mną zastosowanym. W każdym
razie po dokładnym obejrzeniu z bliska drugi raz na taki wyczym
bym się nie zdecydował. Przed zachodem słońca wizję lokalną
zakończono i tą samą drogą co przyszliśmy wróciliśmy spowrotem
do strażnicy.

Ze względu na późną porę i braku czasu zrezygnowali z odtwo-
-rzenia ostatniego etapu mego trasy, odpadło ^{brodzenie} ~~razem~~ po moczarach,
przedzierania się przez sztuczne przeszkody leśne, pokonywania

w bród raski i poszukiwania kobiety, która udzieliła informacji na granicy. Podczas wizji traktowali mnie z taką powagą jakby mieli przed sobą sprawcę, który o mało nie spowodował światowego kataklizmu, bowiem uderzył w czukym miejscu glob ziemski od czego nastąpiło przechylenie w kierunku zachodnim olbrzymiej płyty kontynentalnej Euroazjatyckiej. Tymczasem nie zrobiłem nawet porządnej dziury w płocie, wyrządzona szkoda ograniczała się do niechczonego zżarania nadpróchniaka drażka czym wyzwoliłem piekielne siły. Gdybym wiedział, że swoim postępkom spowoduję tyle zaburzeń i wprawię w ruch groźną machine, to siedziałbym w domu i pilnował dobytku, niestety, trudno co się stało tego już nie można było cofnąć, musiałem brnąć dalej po drodze wytyczonej przez organa bezpieczeństwa.

Wieczorem samochód ciężarowy zabrakł nas tj. dwu oficerów, szeregowca i mnie i odwiósł na pociąg do Swiskoczy, tam wsiadliśmy do wagonu i późną nocą bez przygód dotarliśmy do Posii. Wsiadli mnie do tej samej nory, gdzie jeszcze przetrzymywali około miesiąca. Po wyprawie śledstwo oficjalnie zostało zakończone. Na drugi czy trzeci dzień wezwał mnie śledczy Bagraniec przeczytać wszystkie protokoły zeznań, złożyłem na nich tam gdzie prakowało podpisy i od tego czasu już więcej nie byłem wzywany. Niestety akta zamiast przekazać sądowi zostały poddane procesowi dojrzewania, gdyż w wypadku przekazania akt do sądu wówczas równocześnie oskarżonego przetrzucano do więzienia, taka obowiązywała procedura, od której stosowano wiele odstępstw. W moim wypadku również zastosowali bezprawne sankcje, prawdopodobnie zgromadzone materiały były jeszcze dokładnie analizowane przez instancje nadrzędne, które miały pewne zastrzeżenia, stąd sprawa się przewlekła.

Aczkolwiek sprawa zaliczała się do pospolitych, którą powinni zakatwić w trybie normalnym, to jednak potraktowali ją poważnie.

Jakby nie było dokonaniem wyłomu w Chińskim murze, czym naraziłem na szwank bezpieczeństwo imperium radzieckiego, więc musiano podjąć odpowiednie środki zaradcze, aby ograniczyć do minimum możliwości przedarcia się za kordon. W tym celu jeśli nie polecono rozbudować granicznych umocnień, to przynajmniej wysłać do pograniczników odpowiednie instrukcje nakazujące wamoc czujność. Z drugiej strony w tak rozległym kraju nie było ciasno i wystarczyło miejsce podostatkiem dla wszystkich obywateli wobec tego z jakiej racji miał ten czy ów pchać się tam, gdzie było zakazane. Dla mnie osobiście wtedy nie było ważne czym się kierowały organa bezpieczeństwa i ~~ile~~ ile im przysparzyłem kłopotów, mnie się rozchodziło, aby ~~już~~ najszybciej wydostać się z bunkra, ale w tej materii uzależniony byłem od nich.

Po powrocie z wyprawy rozpoznawczej moje położenie w niczym się nie zmieniło, nadal trapiły te same plagi. Dla zabicia czasu w pewnym okresie próbowałem kleić wiersze, lecz nie miłąm czym i naszym je utrwalić, dlatego z tego zajęcia musiałem zrezygnować. Jaka ich była wartość trudno coś bliższego powiedzieć, bowiem na skutek dalszych perypetií zupełnie wywietrzały z głowy. W życiu doczesnym jest taki porządek, że wszystko złe czy dobre zjawiska mają swój kres, tak było i z moim pobytem w Rosi. Pod koniec września nareszcie skończyła się jedna udręka, lecz czekało wiele innych wcale nie lepszych, jednak kiedy polecono zbierać się i wynosić do więzienia przyjąłem tę wiadomość z uciechą.

S a k r a t a m i

Z przeprowadzki do więzienia w pamięci utkwiło jedno drobne zdarzenie a mianowicie: gdy żołnierz prowadził mnie ze stacji do więzienia napotkaliśmy na ulicy mieszkańca Wołkowyska, który niósł dwa kosze jabłek, kiedy zbliżyliśmy się do niego, wówczas zwrócił się on do żołnierza z pytaniem, czy zezwoli podać dla mnie jabłka?

Żołnierz na tę prośbę wyraził zgodę, wówczas ofiarodawca kazał mnie podać czapkę, do której za chwilę nasypał pełno jabłek.

"dzięki niemu przez resztę drogi miałem, co gryść, ponadto poważnie zaspokojełem chroniczny głód.

W więziennej izbie przyjęć najpierw przeprowadzili dokładną rewizję, poczym zaprowadzili do dużej zbiorowej celi, w której znajdowało się około 40 osób. Za ledwie ukazałem się we drzwiach poczułem na sobie spojrzenie całej tamtej gromady. Na taki ostrząb nie byłem przygotowany, stałem zmieszany przestępując z jednej nogi na drugą nie wiedząc, co miałem z sobą począć. Więźniowie siedzieli lub leżeli na pryczach, wolnego miejsca dla mnie nie było. Kiedy strażnik zamknął za mną drzwi celi, natychmiast z pryczy poderwało się dwóch młodych gitowców /błatnych/-jeden z nich krzyknął "ot i mamy naszego "piewaka z Rosi" na, którego tak długo ~~wymuszaliśmy~~ wyczekiwaliśmy", poczym dokonali ceremoniału przyjęcia w poczet więźniów. Polecili usiąść na kiblu i powtórzyć za nimi tekst w wolnym przekładzie o brzmieniu następującym: "eśli wpadłeś siedź spokojnie nie podskakuj nie ma na, to rady nie pomogą skargi żale na takie układy" w rzeczywistości oryginał był bardziej wulgarny. Po tym krótkim obrzędzie, przydzielili mi miejsce na pryczy, które w pośpiechu zająłem i dopiero wtedy rozejrzałem się po lokatorach celi, ku memu zdziwieniu zobaczyłem znajomą twarz starszego pana z Rosi. Podszedł on do mnie, serdecznie się przywitał jak z dobrym znajomym, ale rozmowa nam się nie klejła bowiem nadal byłem roz-targniony a przytym drażniło, że stałem się obiektem ogólnego zainteresowania, aczkolwiek nikt nam w rozmowie nie przeszkadzał. Pragnę dodać, że moje zapoznanie się z współlokatorami odbyło się powściągliwie bez wystawiania na drwiny. Na ogół w owym czasie panował zwyczaj, że kiedy w celi pojawiał się nowy osobnik

był on narażony na wiele natarczywych ośmieszających pytań, które dla mieszkańców celi dostarczały zabawy i poniekąd zaspakajały ciekawość, natomiast na nowincjusza działały one deprymująco, wprawiały w zakłopotanie, zwłaszcza gdy się trafiła osoba z natury nieśmiała. Tej wymuszonej spowiedzi unikałem dzięki temu, że jeden z grypsiarzy znał mnie z Rosi i dużo wcześniej opowiedział o mnie, to co wiedział. Ostatecznie ten zwyczaj nie jest wart wzmianki, gdyż nie miał on wpływu poważniejszego na życie więzienne, aczkolwiek dostarczał gorszego rodzaju rozrywki. W radzieckim więzennictwie i być może nie tylko ^{W Niemczech} wolność więźniów była ograniczona jakby podwójnie. Z jednej strony skazany podlegał rygorom regulaminu narzuconemu przez organa więzienne, który wykraczał również poza celę jak: swobodę poruszania się, odwiedzin, przyjmowania paczek itp. oraz częściowo dotyczył nie których spraw wewnętrznych dla przykładu: ogórne ustalenie porządku dnia. W każdym razie więzienny aparat ucisku bazował na pewnych normach prawnych i praktycznie pozostawiał jeszcze dla skazanego trochę swobody działania w ramach celi, bowiem strażnik nie miał faktycznie wpływu na panujący tam klimat i ^{inaczej} jak więźniowie spędzali wolnym czas. Czyli tak na prawdę z nadzorem więzień miał małą styczność i gdy się zachowywał poprawnie nie groziły z tej strony żadne szykany. Faktycznie, to życie więźniom zatruwali gitowcy, oni nadawali ogólny ton, psuili atmosferę współżycia, uprawiali rabunek i gwałt, w celi byli wszechwładnymi panami, wyznaczali sobie do posług ordynansów, przydzielali nowo przybyłym miejsce, ci co przetrzymywali paczki byli zmuszani do składania dla nich daniny a ^{wrazie} odmowy zabierali siłą, również przemocą zabierali upatrzone osobiste przedmioty, byli bezwzględni w stosunku do tych, którzy próbowali wykłamać się z pod ich władzy, takich bito a gdy to nie pomagało

niejednokrotnie dochodziło do okaleczeń.

Ta ich samowola była tolerowana przez władze więzienne, w pewnym stopniu z tej przyczyny, że funkcjonariusze więziennictwa obawiali się z ich strony zemsty, czego nie jednokrotnie dopuszczali się, ale główny powód był taki, iż władzom więziennym zależało na utrzymaniu takiego stanu rzeczy. Gdyby nie były zainteresowane ich panowaniem się, to w każdym więzieniu gitowców można było bez większych problemów wyizolować spośród innych więźniów i przetrzymywać ich w odrębnych celach.

Z reguły wnoszone skargi przez poszkodowanych na gitowców nie miały skutkować. Władze traktowały je obojętnie, załatwiały z ociąganiem się i nie wykazywały żadnego zapału do zwalczania tego zła, za to poszkodowany w odwecie od nich narażał się na dodatkowe represje. Oficjalnie przed władzami był odpowiedzialny za całokształt porządków w celi wybieralny starosta, ale w praktyce jego uprawnienia sprowadzały się do składania raportów podczas apeli, resztę wewnętrznego życia w celi regulowali gitowcy włącznie z utrzymywaniem czystości. Dla personelu więziennego gitowce wyświadczały mimowolnie a może i z góry zaprogramowaną przysługę tj. trzymali resztę więźni w szachu, tym samym przyczyniali się do utrzymania ogólnej dyscypliny i zapobiegali rozprężeniu. Ujmując krótko istniała nie pisana dwuwładza i tak jak w wojsku, kaprał jest ważniejszą figurą dla szeregowca niż generał, tam podobną rolę spełniali gitowcy. W wyniku tego niejednokrotnie aparat więzienny stwarzał pozory, że stawał w obronie słabszych-pokrzywdzonych, zaś w rzeczywistości ich zadanie ograniczało się do utrzymywania równowagi między dwoma grupami więźni. W ostatecznym rozrachunku bezpośrednio lub pośrednio aparat więzienny z gitowcami wzajemnie się uzupełniali w utrzymywaniu ładu.

Najlepszy dowód na to, iż dla aparatu więziennego zależało na grypsiarzach świadczyło pobłażliwe podejście do większości wykroczeń, tak jakby zależało im na zapobieganiu ostrzejszym zarogom. Również nie przypadkowo gitowcy byli rozmieszczani po kilka osób we wszystkich celach, z tą regułą spotykałem się sam i potwierdzali ją inni przebywający dłużej w zakładach karnych. Aby rozgryść na jakich zasadach działała dość skomplikowany mechanizm więzennictwa konieczna jest do tego bliższa znajomość samych gitowców.

Nie jestem pewny czy taka jest ich prawidłowa nazwa, w języku rosyjskim nazywają się "łatami". Has pod pojęciem gitowców rozumie się raczej silną młodzież, natomiast powinno się pod nich podciągać wszystkich tych co uważają siebie za silnych ludzi "git ludzi" bez względu na wiek i płeć, wówczas między gitowcami a błatnymi można postawić znak równości. Nie raz jest używane określenie grypsiarze, oprychy lub żulik. Ostatecznie nie jest taka istotna ich nazwa, co sposób bycia. Ten ludzki klan jednoczy wspólna ideologia, spokrewniona z marksistowską a być może wywodzi się ~~z~~ z jednego pnia, polegająca na uwielbieniu siły i przemocy oraz pogarda dla słabych. Ich poglądy mają zasięg międzynarodowy. W swych przygodach zetknęłem się z tymi ludźmi narodowości, rosyjskiej, żydowskiej, polskiej, niemieckiej i kilku innych nacji, oni zawsze od pierwszego spotkania rozpoznawali się i bezwzględnie na narodowość tworzyli jeden gang. Do porozumiewania się ze sobą używają żargonu nie zrozumiałego dla osób postronnych. Tu nie jestem pewny czy słownictwo używane przez nich ma zasięg szerszy czy tylko lokalny? Obok żargonu prawie wszyscy znają alfabet Morsego, który oddaje im nieocenioną przysługę w utrzymywaniu łączności między sobą w więzieniach. Prawie wszyscy bez względu na posiadane wykształcenie doskonale

znają przepisy prawne, każdy z nich kodeks karny zna na pamięć. Wychodzą z założenia, żeby prawo można było łamać najpierw należy go dokładnie poznać. A ponieważ z prawem żyją na bakier, ^{odchylają} popadają w zasadzie norm prawnych ustanowionych przez państwo nie respektują, stąd ciągle wchodzą z nim w kolizję, w wyniku tego większość życia spędzają w więzieniach.

Chociaż w podeszłym wieku wielu zrywa z przestępczą działalnością ^{ciężką} lecz prowadzą utajony tryb życia. Mimo wszystko pozostają wierni swej ideologii i w razie potrzeby są gotowi udzielać wsparcia ludziom pochodzącym z przestępczych kręgów.

Jeśli chodzi o ich postawę moralną, to w pojęciu zwykłych śmiertelników uchodzi za antyhumanitarną i takową jest w rzeczywistości w stosunku do ludzi obcych pochodzących z poza klanu, natomiast odznacza się innym wymiarem na gruncie własnym, jakby nieoceniać mamy doczynienia z moralnością dwojstą.

Wspólną cechą gitowców jest niechęć do fizycznej pracy, wyznają zasadę, że przyziemne zajęcia powinni wykonywać ludzie słabi i głupi, zaś oni są stworzeni do tego aby kosztem pracusiów żyć, ^{można} ponieważ nie takich chętnych aby bez daj racji dzielić się ^{dobro-}wolnie owocami swojej pracy, wobec tego ^{muszą} zmuszeni zostali do przyjęcia sprężystej organizacji, która jest niezbędna do zdobywania środków do życia przemocą, oczywiście na odpowiednio wysokim poziomie. W zależności od stopnia wtajemniczenia ustalają szczeble hierarchii, co skrzętnie ukrywają przed osobami obcymi. W swej przestępczej działalności zamiast nazwisk posługują się pseudonimami, co ułatwia zacieranie śladów przed organami ścigania. Podwładni są utrzymywani w bezwzględnym posłuszeństwie, nie może być mowy o sprzeciwie lub nie wykonaniu polecenia przełożonego, za takie wykroczenia stosują ciężkie kary cielesne. W tych kręgach najwyżej cenioną zaletą obok posłuszeństwa jest

stawiane koleżeńskosc i solidarnosc doprowadzona do perfekcji, zaš największą hałbą zdrada, za taki czyn z reguły wykluczają z organizacji, ale wcześniej starają się osobę podpadniętą okaleczyć⁴ mą lub przy cięższych przewinieniach pozbawić życia. Do okaleczeń mają swoiste podejście, bowiem w trudnych sytuacjach życiowych na porządku dziennym odwołują się do samookaleczeń. Tych ludzi wogóle cechuje nie racjonalna determinacja, wraze potrzeby są zdecydowani na każdy wyczyn nie licząc się z konsekwencjami.

W celu wyrobienia pojęcia o ich sprawności organizacyjnej, postaram się szczegółowo opisać w jaki sposób utrzymywali łączność w zakładach karnych. Otóż w celach umiejscowionych w śródkowych partiach budynku zadanie mieli ułatwione ponieważ łączność można było nawiązać w czterech kierunkach: przez dwie boczne ściany oraz sufit i podłogę pod warunkiem, że wszystkie sąsiednie pomieszczenia były zamieszkałe.

O ustalonej porze, zwykle pierwszej godzinie regulaminowego snu, jeden spośród nich znający biegle alfabet Morsego prowadzi nasłuch zaopatrzony w kubek i drewnianą łyżkę, kiedy usłyszał dobiegające sygnały za ściany, wówczas w tam miejscu przykładął kubek a do niego ucho i w ten sposób odbierał nadawane wiadomości, przyczym jednocześnie wysukiwał łyżką i przekazywał swoje. Odmiennie porozumiewali się przez sufit lub podłogę, w takich wypadkach posługiwali się przeważnie kijem od szczotki, wystukiwali głośniejsze znaki, ponieważ głośne nadawanie w nocy nieraz ściągalo strażnika, stąd ten rodzaj połączenia zwykle utrzymywali w dzień. W takim wypadku zanim przystąpili do wymiany koro- spodeneji najpierw polecali wszystkim się uciszyć.

Wystarczyło aby na danym kierunku raz nawiązali kontakt, wtedy te krótkofalowe rozmowy trwały godzinami o każdej porze dnia i prowadzone je przez kilka osób. W rezultacie wiedzieli wszystk^o

co się działo na terenie więzienia i w poszczególnych celach, informacje takie docierały na bieżąco i wyczerpująco w najdrobniejszych szczegółach. Dokładne informacje posiadali o wszystkich funkcjonariuszach więziennych i wszystkich ich interesujących więźniach. Ten bank informacji zachowywał nieprzerwaną ciągłość, chociaż jedni z nich odchodzili drudzy przychodzili, lecz zdobyte wiadomości przekazywali swym następcom. Gdyby zebrane ważniejsze materiały utrwalano na piśmie, wówczas dałoby się odtworzyć szczegółową historię poszczególnych zakładów karnych, co i kiedy tam się działo. Łączność mieli niezawodną, jeśli nawet w tym przewodzie natrafili na celę, w której nie mieli swych ludzi, lub zajętą na inne potrzeby, to wówczas z tego kierunku rezygnowali i korzystali z pozostałych.

Z ludźmi przebywającymi na wolności łączność utrzymywali za pomocą grypsów, które były przekazywane przez pomocniczą służbę więzienną oraz przez strażników powiązanych z ich środowiskiem i odpowiednio wysoko wynagradzanych. Napewno zdarzały się wpadki, ale raczej nie za częste bowiem mieli możliwość ^{sprawy} jak były doręczane grypsy, za pośrednictwem osób wywodzących na wolność.

W obrębie więzienia również porozumiewali się za pomocą grypsów, głównie na spacerach, gdzie wymieniano bezpośrednio albo korzystano z przemysłnych skrytek w boksach i na ścieżkach doprowadzających, ponadto do tego celu wykorzystywali umywalnie i ubikacje. Przy wymianie grypsów powszechnie korzystali z usług więźniów pracujących, najbardziej komunikatywni należeli ci, co byli zatrudnieni przy roznoszeniu i wydawaniu posiłków oraz służba sanitarna.

Wymienione formy łączności ściśle się wiązały z przeżutem przedmiotów z jednej celi do drugiej, czyli z mini transportem wewnętrznym. Każdy przedmiot, który mieścił się w kracie, naj-

-łatwiej było przekazać w pionie z góry na dół lub odwrotnie. Najpierw zawiadamiali odbiorcę aby przygotował się do odbioru towaru, jeśli to było nadół, wtedy spuszczały uwiązany na sznurku przedmiot do dolnego okna, jeśli do góry wówczas odbiorca spuszczał sznurek, do którego wiazano wysyłany przedmiot. Przy przekazywaniu w bok wymagało większej wprawy. Nadawca stawał na parapacie okienny m, wysuwał rękę z przekazywanym przedmiotem na zewnątrz kraty i wprawiał go w ruch wahadłowy, aż sięgnął do okna sąsiedniego, tam odbiorca chwycił i przy okazji mógł coś innego przekazać w odwrotną stronę.

W tamtych latach grypsiarze na terenie ZSRR mieli również dobrze rozbudowaną swą sieć w większych ośrodkach miejskich.

Mieli swych sympatyków, zwolenników i wtyczki, z którymi współpracowali niemal we wszystkich środowiskach. W aparacie partyjnym, administracji, w organach sprawidliwości i bezpieczeństwa, oczywiście nie działali jawnie. W tamtych latach współpracował z nimi jeden z synów Ponomarenki, pierwszego sekretarza Białorusi, który ciągle utrzymywał na szczycie rządowej drabiny.

W każdym więzieniu wśród strażników i personelu pomocniczego również mieli swoich ludzi, ale także w każdym środowisku mieli zdecydowanych, zagorzałych przeciwników i wrogów. Spotkałem w więzieniu w Mińsku strażnika zespeconego przez nich, który niemógł na nich patrzeć, ale więcej ich się nie czepiał.

Z opowiadań innych osób słyszałem wiele, o tym, że którzy prowadzili z nimi wojnę wychodzili najczęściej pokonani i poszkodowani. Wreszcie oni sami tym się przechwalali, że nie jeden z tego powodu postradał dobre stanowisko, lecz nie jestem pewny wiele w tym było prawdy.

Działalnością polityczną na ogół nie zajmowali się, wręcz przeciwnie wyżywali się na więźniach tej kategorii, co wcale nie

przeszkadzało czynnikom rządowym w zwalczaniu grypśiarzy. W latach trzydziestych po raz pierwszy próbowano siłą ich zmusić do pracy. Ta akcja zokrojona na szeroką skalę nie przyniosła żadnych rezultatów. Z kolei w pierwszych latach powojennych gitowcy tak się rozpanoszyli, że grabili ludzi na ulicy w biały dzień. W odpowiedzi władze poraz drugi wypowiedziały im wojnę w 1947 roku, czym się kończyła, nie wiem, przypuszczam, że ich porządnie poskromnili, ale za dużej krzywdy raczej nie doznali.

Z podanej charakterystyki gitowców wypada jednoznaczny negatywny obraz. Obiektywnie rzecz rozpatrując, ten problem jest o wiele bardziej skomplikowany, wcale nie zamierzam ich bronić, ani nie zalecam naśladowania ich sposobu zachowania, jednak w ich stylu życia można znaleźć w niektórych wypadkach uzasadnione racje, jeżeli się będzie oceniało z innego nie utartego punktu widzenia.

Czy można tym ludziom brać za złe, że w więzieniach usiłują utrzymać swój ład, przecież właściwie tam jest ich dom, przeto mianc dziwnego, że w nim chcą rządzić po swemu? Po drugie kto wie czy nie więcej szkody i zła wyrządzali pseudogitowcy, którzy nie wyznawali żadnych zasad, jedynie próbowali naśladować gitowców i na ich konto nadużywali siły fizycznej. Takiego typu osobnicy wyróżniali się siłą fizyczną i umysłową tępotą, byli bezwzględni dla słabszych. W sporadycznych przypadkach gdy oni posuwali się zbyt daleko, przywoływali ich do porządku sami gitowcy.

Do układów między nimi dochodziło na skutek zbiegu okoliczności, wynikłych ze skomplikowanych sytuacji, ale to jeszcze nie dowodziło o trwałych związkach.

Dalsza sprawa dotyczy przenikanie stylu życia gitowców do zbiorowości znajdujących na wolności. Od czasu do czasu środki masowego przekazu donoszą o naśladowaniu gitowców przez młodzież szkolną. Do rozgłosu na szerszą skalę dochodzi rzadko,

natomiast w życiu codzienny z tym zjawiskiem można się zetknąć często i nie tylko wśród młodzieży szkolnej lecz przeważnie tam, gdzie wstępują większe skupiska jak: w hotelach robotniczych, w wojsku i niektórych zakładach pracy, wprawdzie nie wszędzie taki styl życia objawia się w pełnej okazałości tak jak w zakładach karnych, ale w łagodniejszej postaci jest tolerowany przez osoby odpowiedzialne za gromadne życie większych zbiorowości. Oczywiście kiedy środki masowego przekazu narobią hałasu wokół drastyczniejszych ekscesów spowodowanych przez element progitywowy, wówczas i czynnik sprawujący pieczę nad daną zbiorowością kają i przyłanczają do potępienia, udając, że nic nie wiedzieli co u nich przedtem się działo. Takie podejście jest niczym innym jak typowym przykładem wykrętu.

O tym, co się dzieje w jednostce podległej pion kierowniczy wie dobrze, ale nieraz jest lepiej udawać, że nic się nie widzi, bo tolerowanie silnych i wchodzenie z nimi w ciche układy ułatwia wielokrotnie kierować całym zespołem, utrzymywać w ryzach wszelkiego asortymentu mazgai, niezadowolonych z życia, kitytykantów oraz wszystkich tych, co do przełożonych ^{niektórych} słuszne i urojone pretensje. Właśnie na takich podstawach bazują tak rozpowszechnione kliki, one są bardzo blisko spokrewnione z treściami wyznawanymi przez gitowców. Są to sprawy drażliwe i złożone, aby nie popełnić błędą wolę w te kwestie niezagłębiać się, chociaż gitowcy dopiekli mnie do żywego, pomimo tego nie potępiam ich w czabuk, ponieważ za mało ich poznałem a zwłaszcza, to co oni sobą reprezentują.

Ż y c i e w i ę z i e n n e

Wracając do właściwego tematu należy odnotować, co się zmieniło w moim położeniu po przeniesieniu do więzienia? Otóż pod niektórymi względami warunki uległy poprawie, zaś pod innymi

pogorszeniu. Wyraźnie poprawiło się zakwaterowanie, więcej można było zażywać ruchu zarówno w celi jak i na świeżym powietrzu. Szybciej upływał czas w gromadnym życiu, na odcinku wyżywienia pozostało prawie bez zmian, natomiast panujący międzyludzki klimat, faktycznie zatruwał mnie życie, bowiem zostałem pozbawiony mojej osobowości. Stale byłem^{ym} skazany na przebywanie w tłumie, w którym zajmowałem pozycję na szarym końcu. Byłem biernym obserwatorem co czynili inni, praktycznie nie uczestniczyłem w czynnym życiu. W niektórych okresach z rzędu przez kilka dni do nikogo się nie odzywałem, trwałem zamknięty w sobie nieufny do otoczenia. Niestety zdawałem w pełni sprawę, że ze względu na młody wiek inaczej być nie mogło, ale to w niczym nie zmieniło postaci rzeczy, że czułem się zagubiony.

Jeśli chodzi o gmach więzienia, moim zdaniem charakterystyka jego odpowiadała danym następującym: należało do mniejszych, typu starszego, kilku piętrowe, o bryle zbliżonej do sześcianu. Spośród tych co poznałem robiło wrażenie przytulnego. Cella do, które trafiłem mieściła się na drugim piętrze. Z tego tytułu byliśmy poszkodowani z korzystania z dziennego światła, bowiem na piętrach wyższych od otaczającego więzienie muru na oknach były pozakładane ekrany/blindy/ zbite z desek. Były one mocowane w pewnej odległości od okna w pozycji skośnej, zatem światło do celi docierało jedynie z góry, stąd w takich pomieszczeniach stale panował półmrok. Instalowano blindy po, to aby więźniowie nie mieli wglądu na miasto.

W celi pod oknami i jedną ścianą boczną znajdowały prycze, tworzyły one jeden ciąg, na pozostałej wolnej przestrzeni stał stół zaś w rogach pod drzwiami kibel i to było wszystkie wyposażenie. Regulamin więzienny zabraniał posiadania w celi: zapalek, tytoniu, ostrych narzędzi i wszelkich przedmiotów metalowych, pasków i sznurków, krzyczeć, głośno śpiewać, spać w porze dziennej.

oraz stać w oknie i przed judaszem. Za naruszenie regulaminu karano karce. W praktyce prawie wszystkie zakazy były łamane, jedynie za naruszenie kilku pozycji regulaminowych egzekwowano natychmiastową karę np. za wszczynanie bójek, hałasowanie i wogóle nadurzanie głosu, natomiast do pozostałych wykroczeń odnoszono się pobłażliwie. I tak: nałogowi palacze posiadali tytoń lub papierosy, ten co chciał spać spał w dzień z tym, że wybierał takie miejsce, które nie było widoczne z judasza tj. przy ścianie koło drzwi. Do przypalania papierosów potrzebny ogień wniecano własnym sposobem. Ponieważ każdemu w życiu może się on przydać, więc podaję jak to wykonać. Ze starej odzieży wyciąga się kosmyk waty lub watoliny, poczym go się wyładza i na wyrównaną powierzchnię posypuje trochę suchego piasku, popiołu czy rozdrobionego tytku ze ściany, następnie zwija na podobieństwo cygara. "kolei bierze do ręki kawałek deseczki cygare kładzie na stół lub podłogę, przyciska go deseczką i wprawia w energiczny posuwisty ruch, na przemian do przodu i tyłu. Na skutek tarcia wytwarza się wysoka temperatura od czego następuje samozapłon. Do tego celu szczególnie nadawały się waciaki ze względu na dużą ilość waty, najlepszy materiał do samozapłonu. W razie braku waty lub watoliny można również wykorzystać rozdrobiony materiał bawełniany.

W celach znajdowało się wiele różnych niedozwolonych przedmiotów o czym można było się przekonać podczas przeprowadzanych okresowych rewizji. Ze skrytek strażnicy wyciągali przeróżne rzeczy, przydatne i nieprzydatne, firmowe i własnej produkcji jak: noże, finki, brzytwy, żyletki, karty do gry, szydła, igły, sznurki, paski i powrozy. O ile podczas rewizji wykrywali zawsze mniej lub więcej akcesorii, to nie było wypadku aby się znalazł ich właściciel. Ukarać nie było kogo, tylko w sporadycznych wypadkach za

ciekawe i duże nadwyżki rzeczy niedozwolonych nakładali karę na całą celę pozbawiając na pewien okres posiłków.

Dzięki zapobliwoci gitowców poniesione straty szybko uzupełniano i wszystko wracało do normalnego stanu. W tym względzie byli oni prawdziwymi gospodarzami i potrafili zadbać o właściwe wyposażenie cel. Pomysłowość więźniów była nie wyczerpalna, wobec czego strażnicy byli bezsilni. W celach przez cały dzień zajmowano się czynami nielegalnym: grą w karty, prowadzono rozmowy przez ścianę, palono papierosy, zajmowano wyrobem ostrych narzędzi itp.

Przy tego rodzaju wykroczeniach jeden z więźniów stawiał tyłem do judasza, w ten sposób zaskaniał strażnikowi wgląd do celi a zanim włożył klucz do drzwi zamka i otworzył drzwi, świeca uciekała i zajmowała swoje miejsce na pryczy, rozpoznać go strażnik nie był w stanie ponieważ nie widział twarzy. W międzyczasie zacierano ślad po nielegalnych wyczynach i wszyscy udawali niewiniątka, zaś strażnik wchodził i stał bezradny, poczym na odchodnym najwyżej pogroził.

Ograniczenia o których była mowa dotyczyła wyłącznie więźniów niepracujących, natomiast zatrudnieni na terenie zakładu karnego lub mieszkie byli zakwaterowani w odrębnych celach i korzystali z szeregu przywilejów.

Więźniowie nie pracujący mieli uprawnienie do otrzymywania paczek żywnościowych i odzieżowych, korzystania z biblioteki więziennej, wolno było grać w szachy, warcaby i domino, przysługiwało prawo do półgodzinnego spaceru i opieki lekarskiej, nie wolno było otrzymywać gazet i czasopism.

Przegląd więziennego dnia

Dzień się zaczynał pobutką o godzinie szóstej, następnie wyprowadzali nas do umywalni i ubikacji. Spaliśmy w ubraniach na gołych deskach bez pościeli immy niby w pogotowiu alarmowym

więc z wstawianiem nie było żadnych problemów. O godzinie siódmej wydawali śniadanie, zaś o godzinie ósmej odbywał się apel. Na apelu więźniowie stawali w szyku, starosta celi podawał ogólny stan, strażnicy zdający i przyjmujący służbę sprawdzali czy był zgodny z faktycznym, następnie wydawali i odbierali korespondencję, zapisywali chorych do lekarza, oraz przyjmowali skargi lub zażalenia na piśmie do naczelnika więzienia. Po zakończeniu tego rodzaju formalności apel się kończył. Od godz. 8⁰⁰ do 10⁰⁰ wyprowadzali celami na spacer, na więzienny dziedziniec. Do tego celu służyły specjalne boksy/kajuty, zagrody z desek/. Po zaprowadzeniu do boksu strażnik zamykał drzwi a sam wchodził na podwyższenie skąd mógł obserwować kilka kajut na raz. W czasie spacerów również strażnik z głównej wieży m. in. wartowniczej zwracał baczna uwagę, na to co się działo w boksach. Podczas spaceru w myśl regulaminu nie wolno było stać, rozgawiać oraz pisać na ścianach, należało chodzić gęsiego jeden za drugim. W praktyce bywało różnie, dużo zależało od dobrej woli strażnika, niektórzy prowadzili rozmowę z tymi co byli w sąsiednich boksach, przerzucali na wzajem grypsy, wypisywali na ścianach wiadomości. Nie wymienione informacje w boksach uzupełniano podczas domarszów, kiedy się miały prowadzone grupy. W samie te niby drobiazgi składały się na ciekawsze życie, każde smylenie czujności strażnika dostarczało uciechy i poją tym zwykle nie więcej, była to taka przeważnie nie winna gra. Obiad wydawali od godziny 14 do 15, gorącą wodę na kolację o 19 wieczorny apel odbywał się o godzinie 20, a dzień się kończył caprzytkiem o godzinie 21 obowiązkowym spaniem. Przez całą noc nie wolno było gasić światła, ten zakaz wynikał z tego aby strażnik w dowolnej chwili mógł sprawdzić co się działo w celi. Dla mnie ten wydawałoby się bez znaczenia wymóg był wystarczająco dokuczliwy.

gdyż przez dłuższy okres czasu nie mogłem przyzwyczyjć się do palącej żarówki, raziła ona swym blaskiem oczy i niepozwalała zasnąć. Okazało się, że organizm nie tak łatwo przystosowywał się do gwałtownych skrajnych zmian, ale po kilku nocach do świecącej żarówki przyzwyczaiłem się już więcej ona dla mnie nie miała żadnego znaczenia.

Jeśli chodzi o wyżywienie, to nie wiele się ono różniło od tego co otrzymywałem w Rosi, jedynie posiłki wydawano regularnie i po drodze nie ginęły. Rano dostawaliśmy chleb, cukier i kapiatok, na obiad zupę i od czasu do czasu kilka łyżek ziemniaków lub kaszy a wieczorem po sytym całodziennym wyżywieniu na przepłukanie przeciążonego żołądka ponownie tylko kapiatok. Było się głodnym w Rosi i w Wołkowysku również a ponieważ stopień głodu narazie nie jest wymierny, spowodu braku odpowiedniej skali aby go zmierzyć, dlatego chyba położenie pod tym względem wówczas nie się nie zmieniło na lepsze ani gorsze.

W kilku słowach wypada wspomnieć i scharakteryzować po krótko kilku współlokatorów celi. Otóż w ogólnym przekroju, w przybliżeniu pół na pół stanowili miejscowi Polacy i społeczność radziecka różnej narodowości. Za wielu było aby zapamiętać wszystkich, jedynie nielicznych o ciekawszej osobowości albo sprawie zachowałem w pamięci.

Obok mnie zajmował legowisko Rosjanin lub Białorusin, przybyły w okolice Wołkowyska z terenów zniszczonych przez wojnę. Razem z rodziną osiedlił się w jednym z majątków i tam pracował w nowo zorganizowanych sowchozach. Do więzienia trafił za to, że dopomógł do utopienia pary sowchozowych koni. Wysłano go do prac polowych na pole leżące nad jeziorem, w którym chciał napój zgrzane konie, ponieważ w danym miejscu grunt był grząski, ponadto konie zaplątały w uprzęż, rezultat był taki, że utonęły. Za ten czyn przypisano mu sabotaż - jeden z najcięższych paragra-

śrófów karnych. O ile sam rodzaj przestępstwa należał do banalnych i wogóle ,czy się nadawał podciągnąć pod takie miano, natomiast interesująca była postawa tamtego człowieka. Pierwszy raz i ostatni napotkałem człowieka, który chwalił warunki więziennego życia, nigdy nie narzekał, że miał gorzej jak na wolności, wręcz przeciwnie twierdził, że wolał życie więzienne. Jego zdaniem przydziały żywności za pracę ^{na wolności} nie zaspakajały minimum potrzeb organizmu, natomiast dla członków rodziny niepracujących, jedynie symboliczne w sumie nie zaspakajały potrzeb głodowych całej rodziny, co jeszcze nie było tragedją. Najgorsze było w tym, że sowchoz zalegał z wydawaniem należnego przydziału żywności, gdyż w skali globalnej nie było żadnych zapasów. Dlatego pracownicy w miesiącach kryzysowych odżywiali się jedynie zieleni, trocinami z drzew ^{liściastych} oraz w późniejszym okresie jagodami i ziemniakami, dopiero po żniwach otrzymywali zaległy chleb.

W więzieniu jak twierdził przynajmniej nie musiał przyglądać na mękę dzieci oraz nikt nie poganiał do pracy. Te jego zwierzenia pokrywały się z prawdą, bowiem skrajna bieda rodziny ^uuwidoczniła w podawanych paczkach, za każdym razem nieodmiennie otrzymywał kilkukilogramowy woreczek ugotowanych ziemniaków w łupinach oraz z pół bochenka chleba.

Z drugiej strony moim sąsiadem był Mazur z olsztyńskiego, w podeszłym wieku, już porządnie wyniszczony dłuższym przebywaniem w więzieniach. Językiem polskim władał słabo a może znajomość języka posiadał wystarczającą lecz powodu usposobienia - mało- mówności i skrytości, nie nie mogłem z niego wyciągnąć, za co siedział i jakie już miał za sobą przejścia.

Według moich domysłów prawdopodobnie był niemieckim urzędnikiem na tamtych terenach i być może za gorliwe wywiązywanie się z

pełnionych obowiązków władze radzieckie pociągnęły go do odpowiedzialności.

W tej samej celi wypoczywał nauczyciel ze wsi Zaleszany, był w starszym wieku, sporo po sześćdziesiątce. Do więzienia trafił za to, że agitował miejscową ludność przygranicznych terenów za przyłączeniem do Polski. Konkretnie chodziło o to, iż nie spodobała się mu krzywo wytyczona granica i podjął odpowiednie starania celem jej wyprostowania. W tym celu od ludności zamieszkałej na załamaniu zebrał podpisy i ze sporządzoną listą udał się do Moskwy, gdzie u odpowiednich władz przedłożył żądanie ludności. Przyjęli go spokojnie, ale petycja na dobre mu nie wyszła, bo z Moskwy do domu już nie dojechał, czekali na niego na stacji w Wołkowysku i kiedy wysiadł z wagonu natychmiast chwycili go pod rączki i odstawili do więzienia. Jak wysoki otrzymał wyrok ~~nie pamiętam~~ za swą gorliwość tego nie wiem, natomiast wiem, że na początku lat pięćdziesiątych podczas korekty granic Zaleszany przyłączono do Polski, więc dopiął swego. Tak się złożyło, że więź wcześniej znalazła w granicach Polski niż nauczyciel, który o to zabiegał. Po trzydziestu latach gdy się znalazłem w tamtych stronach od jednego z mieszkańców Szymek dowiedziałem, że nauczyciel z Zaleszan powrócił do Polski dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i osiedlił się w Białymstoku, gdzie w krótko zmarł.

Innym współtowarzyszem niedoli był rolnik z pod Żelwy. Aresztowano go pod zarzutem nadmiernego zanieczyszczenia zboża piaskiem, co rzekomo zostało ustalone podczas odstawy na kontygent, za co rolnika podciągnięto pod artykuł obejmujący działalność sabotażową. Z tym rolnikiem odbyły się razem nasze rozprawy sądowe, w tym samym dniu i sali, zaraz jedna po drugiej, stał jej przebieg mógł śledzić on moją a ja jego.

Wśród Rosjan siedział razem były policjant niemiecki, który przed groźącą represją szukał schronienia na ziemi wołkowyskiej, tam podjął pracę na kole¹, gdzie NKWD go dopadło. W trybie przyspieszonym za nienaganną służbę sąd go nagrodził 25-letnim wyrokiem. Wyglądał na spokojnego poczciwego człowieka, jakim był w rzeczywistości i jaką miał za sobą przeszłość, trudno coś ~~mu~~ powiedzieć, gdyż się nie zwierzał z tego jak postępował ^{podczas okupacji} w Niem-
-~~ieckiej~~ w celi miał dwóch swoich zagorzałych wrogów w osobie niedawnego radzieckiego pułkownika i drugiego oficera niższej rangi. Oba siedzieli w tej samej sprawie i pochodzili z jednej jednostki wojskowej. Jeden i drugi przy byle okazji ~~prawili~~ ~~dzi~~ były ^{mu} policjanta ⁿⁱ morały, które nie przypadły ^{mu} do gustu. Z pułkownikien zetknął się jeszcze w obozie w Mińsku, tam pod wpływem surowych warunków okłapk definitywnie, odtąd odpadł mu chęci do uprawiania propagandy, już więcej nie próbował nikogo rozgrzeszać ani naprowadzać na właściwą drogę.

W naszej celi przeżywało jeszcze kilku byłych oficerów.

Zapamiętałem spośród nich jednego, tego który zmusił mnie do zamiany butów. Z pochodzenia był Ormianinem, ożeniony z mieszkanicⁿⁱ Wołkowyska. W cywilu zajmował wysokie stanowisko, za co wpadł tym się nie chwalił, chociaż zaliczał się do osób, które lubią wiele mówić na różne tematy. W odróżnieniu od ~~dwu~~ ^{dwu} uprzednio wymienionych oficerów nie ubolewał nad zdradą ^{im} radzieckiego, stwarzał pozory nie ^uświadomionego politycznie.

Jeśli jest mowa o oficerach wypada nadmienić, że wówczas ten zawód był licznie reprezentowany w obozach i więzieniach, proporcjonalnie chyba najwięcej ze wszystkich stanów. Być może było związane z dokonywaną doraźną czystką i selekcją w

korpusie oficerskim, albo popekniam błąd przy wystawianiu takiej

opinii.

Trzeba uwzględnić fakt, że w pierwszych latach powojennych było nie łatwo odróżnić byłego oficera zawodowego od zdemobilizowanego ponieważ wszyscy nosili uniformy wojskowe. Z kolei w zakładach karnych byli pozbawieni dystynkcji więc praktycznie ^{się} niczym nie różnili oficerowie zawodowi od tych z cywila. Wobec tego bliższym prawdy i ^{bardziej} ściślejszym będzie określenie, że wówczas w zakładach karnych proporcjonalnie dużo znajdowało ^{się} inteligencji.

Odrębną wieloosobową grupę stanowili gitowcy, tych prawdziwych i kundli wysługujących się im. Spośród gitowców w mojej pamięci na dobre utrwaliło się dwóch. Jeden antypatyczny typ, wysoki silnie zbudowany, prawdziwy goryl, z rysów wyglądał na mieszkańca republik sakaukaskich, notomiast nazwisko nosił rosyjskie - /Bajanow/. W przeciwieństwie do pierwszego drugi był miły, przy-
-stoiny, wesoły i dowcipny. Pod każdym względem natura go obdarzy-
-ła hojnie. Pewnego razu uparcie prowadził rozmowę z kolegą z sąsiedniego boksu, młoda strażniczka ostrzegała go by zaprzestał, bez skutku, w końcu się zdenerwowała i zagroziła, że zamknie ^{go} do karceru. Na co on odparł - i owszem, ^{gotów} jest, nawet ponieść karę dwutygodniową, byle razem z nią. Po takim postawieniu sprawy dziewczę zarumieniło się i nie wiedziała co ze sobą zrobić. Jednak nie zawsze udawało się mu wykręcić dowcipem od zasłużonej [!] kary. Jednego dnia wrzucono do celi trzech rosłych dwudziestu kilku letnich mężczyzn, takich wiejskich osiłekó zaprawionych w bójkach na zabawach, obciążonych worami z żywnością. Na ich widok gitowcy podskoczyli z uciechy do góry, tak się przedwcześnie [!] przejęli oczekującym łupem, iż zapomnieli o zachowaniu bezpieczeń-
-stwa. Ledwie strażnik za nowincjuszami zdążył zatrzęsnąć drzwiami celi, oni od razu [!] bez zastanowienia rzucili na toboły. Kiedy dowcipniś wyciągnął rękę po worek, raptownie zajnkasował na

saczące ciec ,tak silny, że poderało go do góry, wyprostował się
poczym upadł na wznak na podłogę i legł rozciągnięty jak długi
nie dając znak życia. Momentalnie wywiązała się zbiorowa bójka,
rozgrzani i rozwścieczeni młodzi przybysze byli zdecydowanie
górną, parli do przodu siejąc pogrom na lewo i prawo niczym
zubry, tłukli gitowców aż dudniało, kładli ich pokotem. Z opresji
ich wyratował strażnik, który w międzyczasie w toku zagorzanej
bójki otworzył drzwi i zabiegnął walkę. Gitowcy tym razem
wyszli ze starcia podwójnie porażeni, nie dość, że dostali
porządne lanie, to jeszcze na dokładkę wymierzono im regulamino-
-wą karę-tydzień karczeru za spowodowanie bójki.

Ich zaskoczenie wynikało stąd, że z reguły nowincjuszcy uważało
się łatwo oskubać, bo jeśli nawet przychodzili do celi grupowo
to nie mieli ze sobą bliższych powiązań.

Tym razemowo przybyli pochodzili z jednej miejscowości, byli
zgrani, no i zaprawieni w bójkach, co było widać po ich zdecydowa-
-nych ciosach i zwinnych ruchach. Powiatym byli przygotowani na
na to co ich spotka w celi, bo jak się potem okazało jeden z
nich w radzieckich zakładach karnych przebywał już w 1940 roku.
Zatem wcale nie byli nowincjuszami.

Na tymym ~~na~~ incydencie zyskali wszyscy prócz gitowców, gdy oni
zostali zabrani do aresztu, nowo przybyli początkowali każdego
sucharani, no i przez tydzień czasu mieliśmy przynajmniej
idealny spokój, zwłaszcza z ulgą odetchnęli ci co otrzymywali
paczki. Po powrocie z kacetu gitowcy wiele stracili na swej
agresywności i tapecie, przestali czuć się panami, ale klimat w
celi natychmiast się popsuł, wyczuwano ⁴⁸ wieszającą burzę, ciągle
naradzali się i przygotowywali do odwetu, czym się skończyło
nie wiem, bowiem w krótko zostałem wysłany do obomu?

Od pierwszych dni pobytu w więzieniu czułem się raźniej

zwłaszcza na skutek poprawy warunków mieszkaniowych, dla mnie to było tak, jakby z piwnicy na ziemniaki przeprowadził do hotelu. I pozostałe warunki bytowe byłyby o wiele znaczniejsze głyby niż mój niestosowny ubiór, sprawca długotrwałych smartwień. Większość trafiała do więzienia w ubraniach codziennych, ja natomiast wystrojenem się jak do ślubu. Nigdy nie przypuszczałem, że mój przyodziewek stanie się przedmiotem pokusy dla innych i tyle przysporzy kłopotów dla mnie.

Zaczęło się już pierwszego dnia, kiedy jeszcze na dobre nie-osiadłem w celi, otoczyli mnie hurtem gitowców i każdy z osobna proponował zamiast lub kupić odzież, na wszystkie części garderoby. Jednemu podobały się buty, drugiemu ubranie a innym, koszulki, piasek lub czapka. Umacywali, żądali bym pozwolił przysierzyć, ich nachalno-ścią byłem całkowicie abity z tropu do tego stopnia, że straciłem oryginację jak mam postąpić, bronilem się ze wszelkich sił, uparcie odmawiałem wszystkich proponowanych transakcji. Odetchnąłem z ulgą dopiero wtedy, kiedy moi kontrahenci po długich bezowocnych zabiegach dali spokój. Całe zajście obserwowali pozostali mieszkańcy celi, między innymi znajomy dziadek z Rosi, gdy pozostał sam on zbliżył się do mnie i po cichu szeptał, wyjaśnił w czystą rzecz. Według jego słów zanim przybyłem do więzienia już mój ubiór był przedmiotem dyskusji gitowców, w wyniku czego dokonali za wczasu podziału między sobą. Ostrzegał, że bym nie ustępował swego i nie szedł na żaden kompromis, bo w przeciwnym razie zabiorą wszystko. Okazało się, że łatwiej było udzielić dobrych rad, ale o wiele trudniej było je wykorzystać.

W następnych dniach sytuacja się powtarzała, z tym, że nie czepiali się wszyscy na raz lecz w pojedynkę.

Siadał taki typ obok i zaczynał wiercić dziurę w brzuchu, tak

dingo są mu się zaudziło, wówczas odchodził zamieniając się z drugim, który znów od nowa zaczynał nawiać do zamiany lub sprzedaży i tak bez przerwy trzymali w napięciu przez cały dzień. Po kilku dniach osatowania na koniec zabrakło im argumentacji i cierpliwości, wtedy zastosowali nową taktykę polegającą na grobieniu i zastraszaniu a gdy i to zawiodło, po wyczerpaniu na repertuarze, składał taki malpissen koło mnie i warował nie nie mówiąc, tylko spoglądał bykiem. Koło dwóch tygodni atakowali bez przerwy i musiałem cierpliwie ich wytrzyki znosić, na zewnątrz udawałem, że się tym nieprzejmowałem, ale wewnętrznie nerwowo gryłem i byłem wyczerpany do granic wytrzymałości. Tymczasem gitowce nie ryzykowali i z uporem trwali w powziętym zamiarze. Siłą nie bardzo mogli odebrać, bowiem w takim wypadku mogłem się swrścić do władz wiktorynych i wskazać imiennie kto to uczynił, wtedy ja odrykałby utracone rzeczy a sprawca poniósłby karę. Z powyższych przyczyn musieli byli do korzystania z podstępu, takiego który gwarantowałby powodzenie bez niepotrzebnego ryzyka i narażania się na dalsze konsekwencje. W rachubę wchodziło okradzenie i natychmiastowe przetaczenie okradzionych przedmiotów do innych cel, lecz ten wariant odpadał ponieważ na noc się nie rozbierałem i nie zdejmowałem butów. W prawdzie pewnej nocy usiłowałem cichoem sciągnąć buty z nóg, lecz w porę się przesudziłem i niepozwoiliłem dokończyć zabiegu, Stane powodzenia kradzieży lub grabieży przy palącym się światle były niemożliwe, co innego po ciemku i jedno i drugie z łatwością potrafiliby wykonać, te wszystkie okoliczności brałem pod uwagę i dlatego tak długo bronilem się mimo wywieranej dużej presji. Dzisiaj po 10 dniach wyczerpującej egzystencji strażnik zakomunikowała aby wszyscy przygotowali się pójść do łaźni w godzinach popołudniowych. Po upływie kilku godzin ~~o~~

Po kąpieli w ubieralni, czekał on na mnie z ubraniem w ręku, podczas ubierania się mogliśmy jeszcze porozmawiać, właśnie wtedy poraz pierwszy dowiedziałem się od niego, że pod względem fizycznym było ze mną nie zaciekawie, zostałam doprowadzony do takiego stopnia wycieńczenia, że wyglądałem jak lenaty komar na wiosnę, z czego dotąd nie bardzo zdawałem sprawę. Spotkanie z życzliwą osobą podziałało budująco, wróciłem do celi wiebowięty / oprócz niespodziewanego spotkania cieszyłem się w duchu, iż udało się wyprowadzić w pole swoich napastników, chyba poraz pierwszy w nowym miejscu poczułem się na niej, pamięlejszy siebie, za to gitowcy mieli kwasne miny, ukradkiem spoglądali na mnie, nie mogąc darować przegranej partii. W obiorowociach ludzkich zwykle tak bywa, że ze zaangażowane strony w rozgrywki jedna się smuci druga kosztom ~~znajdującym~~ oli-niego cieszę, zaś reszta pozostaje na emocje obojętne, gdyż by zniwelować radość i smutki zapanowałaby niepodzielna nuda. W tym dniu znalazłem się przejściowo w tej korzystniejszej sytuacji, na co musiałem długo czekać. Przez następne dwa dni dali mi spokój / prawdopodobnie radzili nad wyszukaniem skuteczniejszego sposobu / już nawet myślałem, że najgorszy koszmar miałem za sobą, nieco się rozluźniłem i ~~byłem~~ chwilami na bierze pewności, że wygrałem obatalię ostatecznie, przynajmniej tak można było sądzić z ich zachowań.

Tymczasem ciós spadał niespodziewanie z nie oczekiwanej strony, a mianowicie: gdy byłem najlepszej myśli pewnego razu przysiadł się do mnie wspomniany uprzednio Ormianin / wcale jego nie podejrzewałem, że stanie się zym duchem / i w tonie ojcowskim wszczął rozmowę na luźne tematy, potem od niechcenia nawiązał do moich oficerek. Humaczyi żagodnie i prakon, wując, iż nie potrzebnie się upieram, gdyż prze demną zapowiada cięła przyszło-

, tym bardziej pogarszam swe położenie prowakacyjnym ubiorem i dopóki go się nie pozostę nie zaznam spokoju, gitowcy jak nie w jednym to drugim miejscu pobycie go przywiąszają.

Z myślą o uwolnieniu mnie od kłopotliwych oczekujących kłopotów, zaproponował jego zdaniem uczciwą transakcję. Spodobały mu moje buty, za zamianę obiecywał wspomagać żywnością z paczek, które otrzymywałem, tak długo jak będziemy razem przebywać.

Przystąpiłem na wysuniętą propozycję nie dlatego, że byłem głodny i zależało na zdobyciu dodatkowego kęsa każdym kosztem, tu z góry zakładalem, iż przyrzeczenie nie zostanie dotrzymane, lecz zgodziłem się z powodu rozsądnej jego argumentacji, ponieważ byłem tymi sprawami przemęczony i nie miałem siły do dalszej walki. Dwa dni względnego spokoju spowodowało rozluźnienie, więc w odpowiednim czasie potrafił wycełować w czułe miejsce.

Na zamianie jeszcze nie wyszedłem ślę, otrzymałem podnoszone, skórzane, oficerki w dobrym stanie i od razu na dokładkę pajdę chleba. Na początku tyle bo zapasy z paczki miał wyczerpane.

O wielkie dziwo! okazał się człowiekiem słownym, z zawarte umowy wywiązywał się do naszego roztania. Za każdym razem z otrzymywanych paczek wydzielał część dla mnie, wprawdzie była to dola nie wielka, ale wtedy sama dobra wola dużo znaczyła.

Natomiast serce się krajało z zalu, gdy on przystąpił do przerabiania moich oficerek. Bez ceregieli poprół cholewy,

i wyrzucił z nich usztywniacze, tym sposobem przerobił je na radzieckie harmoszki. Rozstawam się z nimi jak z kimś bliskim, chociaż podczas wędrówek służyły źle, były ciężkie i nie nadawały się do dłuższych pieszych wędrówek, ponadto nie pasowały do garnituru, ostatecznie skryte pod nogawkami wyglądały jak solidne trzewiki. Główna ich zaleta sprowadzała do tego, że były mocne nie do zdarcia i przedstawiały większą wartość. W sytuacji, w której

się znalazłem traktowałem m. je jako kapitał na cięższe czasy, dlatego nie byłem zadowolony z siebie i takiego obratu sprawy. Z tą wymianą i zarazem utratą było jeszcze półbiedy, najgorsze spotkało mnie w tym samym dniu po obiedzie.

Kiedy gitowcy zobaczyli, że udała się transakcja Ormianinowi przypuścili zbiorowy szturm na to czego dosłownie zostałem zaszczy-
-ty, straciłem refleks i orientację, zbity z tropu załamane się, miałem dość swej garderoby i niekończącą się jej obronę, tym-
bardziej, że wymiana nie zapowiadała się tak źle, bowiem domagali się tylko zamiany ubrań z Bajanowem, które znajdowało się w dobrym stanie. Tymczasem po wymuszeniu uległości w przeciągu pięciu minut rozebrali mnie do naga, pozostałem jedynie w swoich kalesonach. Za następne pięć minut w moim posiadaniu znalazła się m. wyselekcjonowana najgorsza odzież z celi, przeistoczyłem w super kachmaniarza. Buty Ormanina zamieniły poraz drugi właśc-
-ciciela, razem z ubraniem przeszły na własność Bojanowa, natomiast płaszcz, koszulę i czapkę przywłaszczyli inni.

W zamian otrzymałem^m za buty znoszone trzewiki z odstającymi podeszwami, za ubranie drelichowe spodnie i rubaszkę, za płaszcz dostałem wytarty i znoszony szynel, a za czapkę wojskową furazę^{ka} i do tego za małą. W przeciągu kilku minut stałem się ekstra proletariuszem, tym sposobem zostałem wyzwolony z własności osobistej. Porażka była tak dotkliwa, że z trudem powstrzymywałem przed płaczem, chwilami nachodziły chęci wszczęcia alarmu aby odzyskać utracone mienie, ale psychicznie byłem na tyle załamany⁴¹ że nie odwarzyłem się podjąć takiej decyzji, zwłaszcza, iż miałem dość ciężkiego opędzenia się, na dalszą metę nie wytrzyma-
-łby takich napięć o czym zdawałem sprawę.

Wraz z pozbawieniem przyzwoitego przydomku spadłem na egzystencjonalne dno. To był w moim życiu dzień przełomowy, bowiem

od tamtego dnia znalazłem się w nowym nie znanym mnie bliżej stanie "muzulmanów", skupiających osobników skupionych w pobliżu bram życia wieczystego, którzy wówczas w życiu ziemskim byli niczym innym jak zbiorowiskiem ludzkich zer. Jak wiadomo samotne zera bez towarzyszenia innych cyfr nie przedstawiają jakiegokolwiek wartości, tak było i z naszą kasty, odkąd stałem się jej członkiem, obojętnie czy byłem sam, czy była nas grupa składająca się z kilkudziesięciu czy kilkuset osób już się z nami nikt nie liczył, bo i nikomu nie byliśmy do niczego potrzebni.

Pod względem cielsnym do tej kasty zaliczałem się wcześniej i faktycznie nie wiedziałem od, którego dnia, tego się nie da ustalić, lecz dopóki wynędzniałe członki okrywały estetyczne szaty, chociażby z ich względu byłem objektem zainteresowania, natomiast po odarciu z nich dotąd skrawane ułomności ciała wykonały się w całej okazałości, co znalazło odbicie w samopoczuciu, wstydliwokrępującym. Z kolei dla oteczenia stałem się dla jednych indywidualum budzącym współczucie, a dla drugich punktem odniesienia, do którego można było porównać własny wygląd, w celu poprawienia samopoczucia i dodania pocieszenia, po uzyskaniu potwierdzenia, że od krytycznego punktu dzieliła pewna odległość.

Jeśli chodzi o ocenę postępków gitowców, to z punktu widzenia moralności tradycyjnej-chrześcijańskiej jednoznacznie zasługiwał na potępienie, ale patrząc na ten sam incydent ze strony moralności marksistowskiej, ^uwzględniając przy tym racje rządowe, postąpili oni jak najbardziej słusznie. Biorąc pod uwagę fakt, że gitowcy dokładnie znali tajniki życia w łagrach i zakładach karnych na tej podstawie trafnie zaliczali moją osobę do tych, co nie miały szans przetrwania, więc w tym świetle nic dziwnego iż kosztem osoby spisanej na straty pragnęli poprawić swój byt. Po drugie mój przydzwiek nie był własnością obszarniczą ani

przedsiębiorstwem przemysłowym, ale w tamtych warunkach znacznie odbiegał od normy, wobec tego mieli prawo jego pozbawić. Niestety chyba prawda jest taka, że sąłą pozbawiania własności prywatnej czy osobistej sprawia poszkodowanemu taki sam ból, który oczywiście z upływem czasu mija. Podobnie było i w moim przypadku, przez tydzień czasu nie mogłem ~~zmięknąć~~ przeżyć poniesionej dotkliwej straty - czułem się struty i podrozniony, dopiero potem pogodziłem się z losem i wówczas spokój okazał się ważniejszy od przywiązania do własnych rzeczy. Wtedy, gdy już odprężyłem się psychicznie miałem możność obserwować z boku i ~~z dala~~ współczuć innym, którzy przeżywali podobne kłopoty, szczególnie tych co otrzymywali paczki. W krótkce po opisanym zajściu odbył się mój proces w sądzie powiatowym w Wołkowysku. Rozprawa miała przebieg krótki i nieciekawym, gdyż ani sąd nie potrzebował wysilać się, aby udowodnić winę albo ekstra dociążyć latami, również ja nie miałem szans wynajdywanie wykrętów przed poniesieniem pełnej odpowiedzialności. Naruszyłem 120 artykuł, za który groziła kara pozbawienia wolności od 1 do 3 lat. Uchował się chyba jedyny taki niedorozwinięty, ~~miał naruszone~~ artykuł, faktycznie karzeł w porównaniu ~~z innymi~~ wielką rodziną wybujałych, pochodzenia politycznego, sabotażowego, oraz ^{z innych} wielum sektorów. Takim liliputem nie było czym podsądneho postaraszyć, ani skład sędziowski nie miał możliwości wyżyć się.

Obrońca nie występował, ze zrozumiałych względów, bo mnie nie było stać na opłacenie, a z urzędu niwątliwie mieli kogo bronić, ^{tych} zagrożonych wysokimi wyrokami.

Wyrok zapadł słuszny, bowiem, ~~bowiem~~ wykorzystał pełną moc paragrafu. Skład sędziowski przy takim maksymalnym wymiarze kary miał satyskwację i lepsze samopoczucie z powodu wzorowego wywiązania się z pełnionych obowiązków, ponadto nie potrzebował uzasadniać, dlaczego nie wykorzystał swych możliwości,

natomiast ja nie miałem powodów do roszczenia pretensji, że mi obdzielono hojnie, ponieważ już byłem na tyle zorientowany, iż ci co zgrzeszyli przeciwko temu paragrafowi myślami, a nie czynem, otrzymywali po trzy lata. Sąd postępował sprawiedliwie, nie wgłębiał się w akta sprawy, nie rozpatrywał motywów, wszystkich po ojcowsku obdzielał równo. Gdy wychodziłem z sądu nie czułem się specjalnie pokrzywdzony, gdyż mój współtowarzysz za zanieczy-
-szczone własne zboże został skazany na pięć lat. Nie wiele pomogło, że bronił się jak lew, i on również nie narzekał, bowiem jego paragraf z którego był sądzony posiadał super moc-jego górna granica ko^uczyła się na 25 latach, czym odarzano wcale nie aż, ^{za} tak wielkie przewinienia-tego rzędu wyroki były na porządku dziennym, więc memu współtowarzyszowi mogli pofolgować.

Po powrocie z sądu stałem się nareszcie pełnoprawnym więźniem, Wyrok upoważniał do korzystania z pa^ustwowego wikt i opierunku za darmo bez wkładu pracy, zarazem zostałem nobilitowanym do ~~do~~ jednego z liczniejszych stanów.

Niestety, od momentu skazania w pełni zdawałem sprawę, że dni marnotrawione jałowo szybko się ko^uczą i że należało szykować w nieznaną drogę. W tym stanie rzeczy skrzętnie notowałem w pamięci wszelkie zasłyszane wiadomości odno^snie obozów pracy, ich rozmieszczenia i panujących warunkach bytowych. Miałem o nich wyrobione ogólne mgliste pojęcia, niby wiele się słyszało tak, jak o piekle, ale gdy chodziło o konkretne dane, to faktycznie niczym nie dysponowałem. Aczkolwiek w celi o łagrach rozmawiano sporo, ale żadna osoba nie przyznała się, że w nich przebywała, a takowe napewno były, lecz nie skore były tym chwalić.

Z uzyskanych z dwu źródeł informacji tj. przyniesionych z cywi-
-la i zdobytych w więzieniu moja wiedza ograniczała się na temat obozów do kilku najgłośniejszych miejsc odosobnienia

wśród nich: okrąg za kołem półbiegunowym na dalekiej północy składający się dużego kompleksu łagrów, Workuta-Pieczora-Archangielsk, na dalekim północnym wschodzie: Kołyma-Magadan, oraz kopalnie węgla w Donbasie ~~.....~~ i Karaganda w Kazachstanie. Powszechny rozgłos tych miejscowości pochodził stąd, że bardzo wiele osób tam trafiało, a nikt nie wracał, z czego by wynikało, że powodziło się im dobrze? Jedynie z listów docierały skąpe wiadomości, iż tam dotarli i zostali zatrudnieni w kopalniach, na budowach lub wyrobie lasów, poza tym nic więcej, dlatego nazwy tych miejscowości u mieszkańców ZSRR budziły trwogę, a mimo tego chwilami miewałem chęć tam dotrzeć, by się przekonać, co się dzieło na prawdę. Jeszcze wtedy nie wygasły zupełnie ciągoty do poznawania świata. Dla ludności byłych północno-wschodnich ziem polskich postrachem był rejon Workuty, tworzący całość z Pieczorą i Archangielskiem. W każde radzieckie już w 1940 roku wytypowały na miejsce kaźni odpowiednie obszary, dokąd była deportowana ludność z przypisanych rejonów. W wyniku takiej rejonizacji ludność z Wilenszczyzny przeważnie trafiała do północnych obszarów części europejskiej ZSRR, natomiast z lwowskiego do zachodniej Syberii, Kazachstanu i na Daleki Wschód. Z tego powodu dość często wynikają nieporozumienia w sensie geograficznym nie wszyscy byli wywożeni na Syberię, ale jeżeli chodzi o warunki egzystencji to przy takim stwierdzeniu pomyłka się nie popełnia, bowiem w północnej części europejskiej dokąd byli zsyłani panują surowsze warunki klimatyczne niż na Syberii, z tej przyczyny, że Syberia o takim jak tam klimacie jest prawie nie zamieszkała, dlatego o wiele więcej zginęło ludzi zanim się wydostało z północnej części Europejskiej niż z Syberii czy Kazachstanu. Władze radzieckie wychodząc naprzeciw potrzebom eksterminacyj-

-nym

już w 1944 roku uruchomiły specjalne połączenie kolejowe, zbliżającą daleką północ z Wileńszczyzną. Taką funkcję pełnił pociąg dalekobieżny w relacji Grodno-Bałagoje, leżącej na przecięciu linii kolejowej Moskwa-Leningrad. W ten sposób uzyskiwano zbliżenie do głównego celu przeznaczenia, jakim w latach powojennych stała się ~~Wankuta~~ okolice Workuty, gdzie z wielkim rozmachem przystąpiono do eksploatacji dużych zasobów różnych bogactw naturalnych. Workutę od Grodna dzieli ~~określenie~~ odległość ~~około~~ około 4 tysięcy km, leży ona na Przymorzu Karskim. Za jednym skokiem Grodno-Bałagoje pokonywano w przybliżeniu 1/3 odległości, resztę trasy pokonywał pociąg innej relacji północnej. Specyfikę pociągu Grodno-Bałagoje dokładnie znałem, ponieważ na wolności wielokrotnie z niego korzystałem na pewnym odcinku. Do przewożenia więźniów używali specjalnie dostosowanych do tego celu ~~podobnym~~ wagonów, które na węzłowych stacjach doczepiali do regularnie kursującego pociągu widma, tym sposobem oczyszczano z niepokżądanego elementu znacznych rozmiarów obszary i tak: na pierwszej węzłowej stacji Lidzie doczepiano wagony ze skazańcami z Wilna, środkowej Litwy oraz Baranowicz, i Brześcia, na drugiej w Mołodeczynie z Mińska i także z Wilna, na trzeciej w Połocku z Łotwy przez północnej Litwy i Białorusi. Drugim takim wielkim kompleksem obozowym był rejon Kołymy i Magadanu, oba leżące na północno-wschodnich krańcach ZSRR. O ile odnośnie Kołymy miałem skąpe wiadomości, gdyż nie zdarzyło się zetknąć bezpośrednio z tymi, co tam odbywali wyroki, moja wiedza kończyła na popularnej w owym czasie piosence "Spiewanej w zakładach karnych zaczynającej się od słów" Daliko iz Kałymskoho kraja słu cibia daragaja prywiet...". Natomiast zetknęłem się z kilkoma osobami, które przebywały w okolicy Magadanu i na podstawie ich relacji wyrobiłem zdanie o

panujących tam warunkach. Magadan w stosunku do nas leży na końcu a raczej początku świata w odległości około 10 tysięcy km na Przymorzu Wschodnio-Syberyjskim. Jeżeli na taką odległość przerzucali siłę roboczą, świadczy to, jak wiele skazanych przebywało w obozowych gigantach. Zatrudnieni tam byli głównie w kopalniach złota i węgla, oraz w infastrukturze związanej z tymi gałęziami kopalin.

Współmieszkańcy celi z większym stażem kryminalnym na czekająco nas rajd krajoznawczy zapatrywali się realniej od mojej fantazji. Twierdzili, że mnie nie czekała daleka podróż, bowiem aby skazany mógł być skierowany do uprzednio wymienionych rejonów musiał najpierw odpowiadać kilku warunkom: być zdrowym i fizycznie sprawny, w średnim wieku, obciążony 10 letnim wyrokiem i wyższym albo wcale bez wyroku, ponieważ żadnemu z tych warunków nie odpowiadałem, więc taka ewentualność nie wchodziła w rachubę. Pozostawały obozy rozmieszczone na terenie Republiki Białoruskiej, lecz były one ~~mał~~ tak liczne, iż nie miało sensu zgadywać, gdzie się trafi, stąd wypadało cierpliwie czekać na decyzję władz więziennych. Długo nie musiałem czekać, bo gdzieś w pierwszej połowie listopada albo w ostatnich dniach października zostałem wywożony w nocy do transportu. Po skompletowaniu grupy liczącej 60-80 osób zaprowadzili nas na stację i tam załadowano do wagonu zwanym "Stałypieniec". Nazwa ta zachowała się od nazwiska jednego z przedostatnich ministrów spraw wewnętrznych carskiej Rosji, który pierwszy w świecie przystosował wagony do przewożenia więźniów. Minister przeminął a jego myśl twórcza pozostała i z pożytkiem służyła w nowym ustroju.

Konstrukcja takiego wagonu wiele się nie różniła od zwykłego pasażerskiego, w którym zlikwidowane okna, zaś przedziały i drzwi od strony korytarza miały założone kraty. Do przedziałów wsadzali

po 10-12 osób, na drogę zostaliśmy zaopatrzeni w suchy prowiant tzn. jedynie w suchy chleb. Otrzymaliśmy na osobę nie cały bochenek, na tej podstawie wyliczyliśmy, że nasza podróż będzie trwała nie dłużej jak dwie doby. Po ustaleniu czasu podróży zajęliśmy się zgadywaniem trasy. Z Wołkowyska w rachubę wchodziły dwie: jedna prowadziła przez Widzie, Mołodeczyno, Królewszczyznę w kierunku Wielkich Łuków, To był szlak północny kończący z reguły w Workucie. Tej trasy każdy się bał, bo jeśli nawet wysadzono wcześniej lub skręcono w bok to i tak byłoby się narażonym na surowszy północny klimat. Druga trasa wschodnia wiodła na Baranowicze Mińsk w kierunku Moskwy lub na południowy-wschód. Pozostawała jeszcze jedna niewiadoma, do jakiego składu pociągu nasz wagon zostanie doczepiony: osobowego czy towarowego, od czego zależała szybkość podróży?

Los kota w worku

Gdyby nas przetrzucano na północ, wówczas nasz wagon na stacji w Mostach lub Widzie doczepiono do pociągu pośpiesznego relacji Grodno-Bałagoje. Babawa w odgadywanie niewiadomych tak długo bawiła, dopóki nie dostałem boleści żołądka od nadmiaru zjedzonego chleba, gdyż zjadłem naraz cały dwudobowy przydział, na który składała się racja chleba oraz chleb przysługujący w zamian za inne produkty, razem to wynosiło gdzieś około 1,5kg. Za obżarstwo musiałem zapłacić dotkliwym cierpieniem, bowiem ledwie zdążyłem spożyć chleb, natychmiast chwyciły ostre bóle, od których nie mogłem znaleźć miejsca i tak wiłem się aż do rana, wtedy już było gdzie wieźli i jak, chwilami zdawało się, że sam wcześniej wyjadę na drugi świat, dopiero kiedy rano podano kąpiatok, po wypiciu gorącej wody poczułem ulgę, a po godzinie bóle ustały zupełnie. Podczas transportu wydawano dwa razy dziennie wrzątek: rano i wieczorem, poza tym nic więcej. Przygotowywali go konwojenci,

którzy mieli swój przedział i tam gotowali lub przetrzymywali w termosach gorącą wodę, poza tym rano wyprowadzali przewożonych więźniów do ustępu.

W czasie transportu obowiązywał o wiele surowszy rygor niż w zakładach karnych. Eskorta składała się ze specjalnie dobranych i odpowiednio wytresowanych ludzi, oschłych o Marsowych twarzach, Byki niedostępni i bezwzględni, za najdrobniejsze przewinienie karali natychmiast. Konwojent pełniący dyżur na korytarzu nosił przy pasie pęk kajdanków i wystarczyło głośniejsze odezwaniem się by bez słowa otworzył drzwi i skuwał delikwentowi ręce kajdankami. W razie sprzeciwu albo prób usprawidliwiania się wzywał pomoc, opornego wywlekali do swego przedziału i tam po maglowaniu i utwierdzeniu swych racji przyprowadzali uspokojonego jak niemowlę wrzucając z powrotem. Podczas transportu skazany nie miał żadnych praw, za to obowiązkiem było przestrzegać długiej listy ograniczeń, zaczynającej się na "nie", w szczególności: podnosić głos, głośno zachowywać się, zakłócać spokój, wysuwać żądania do eskorty, również nie wolno było odzywać ani rozmawiać z nimi poza nagłą potrzebą.

Zanim wszyscy dostosowali się do zastrzonych wymogów w przeciągu kilku godzin pokłowa miała kajdanki na rękach w tym wielu z "podrobionymi okularami". Tym co pogodzili się z losem kajdanki zdjęto po upływie kilku godzin, natomiast zadziorniejszych trzymano w nich około pół doby. W rezultacie w podróży każdy miał swoje problemy i nie tylko sam cierpiał bo cierpieli inni również. Jeżeli chodzi o warunki przestrzenne w wagonach Stałypięcach to były one podobne do bunkru w Rosi. W nich również praktycznie nie można było zorientować o porze dnia i nie było najmniejszego kontaktu ze światem zewnętrznym. Owszem kiedy wagon stał przy peronie, słyszało się, jak ludzie

biegali i rozmawiali, lecz gdy pociąg ruszył, ~~jedynie docierał~~ ~~miarowy~~ cichły ludzkie odgłosy, jedynie docierał miarowy stukot kół o szyny, w konsekwencji podróż zjała nudą. Podczas naszej podróży z Wołkowyska do niewiadomego miejsca przeznaczenia wagon był kilka razy odczepiany, miał kilkugodzinne postoje po czym ponownie doczepiano go do pociągu. Gdzieś po 1,5 doby podróży wagon N-ty raz odczepili i utknął na dobre, ze względu, że zbyt długo trwał w bezruchu można było się domyśleć, iż dotarliśmy do celu, ale gdzie jesteśmy nie mieliśmy zielonego pojęcia, ponieważ straciliśmy jakąkolwiek orientację, bowiem wieziono nas jak kotw w worku. Po drodze nic się nie zobaczyło ani usłyszało. Utknęliśmy w nieznanym miejscu około godziny 20⁰⁰ i staliśmy do 2⁰⁰ w nocy i w międzyczasie nic się nie działo.

W środku nocy panującą wszechwładnie wokół ciszę nieoczekiwanie ożywił ruch na zewnątrz wagonu, usłyszeliśmy liczne nawoływanie oraz ujadanie psów. Od wrzawy na zewnątrz rozpoczął się ruch i w naszym wagonie. Najpierw obudziła się jego załoga, poderwała na nogi i zaczęła biegać po korytarzu i ponaglać nas, aby się przygotować do wysiadania. Po półgodzinnym przygotowaniu, gdy wyprowadzono nas z wagonu, na dworze już stała uszeregowana długa kolumna licząca ze dwieście osób, do której i nas dołączyli. Po nas rozładowali jeszcze jeden wagon, napewno przérzut z łagru, gdyż wyładowywani stamtąd ludzie wyraźnie się odróżniali od reszty, byli wyjątkowo obezarpani i wynędzniali. W kolumnie długi czas staliśmy w miejscu, eskorta w tym czasie uwijała w pośpiechu, bez ustanku liczyli nas i zawsze coś im się nie zgadzało. Wyładowali nas na bocznych torach, w ciemnym zakamarku, daleko od stacji. Po większej ilości torów i światełkach w męście każdy zdawał sprawę, że znaleźliśmy w jednym z większych miast, ale w którym pozostawało w tajemnicy. Dopiero po pewnym czasie od czoła dotarła szeptana wiadomość, że przywieźli nas do

Mińska. Aczkolwiek Mińsk znałem stosunkowo dobrze, ale jego centrum, natomiast peryferie i liczne zakamarki nigdy mnie nie interesowały, dlatego na uboczu tam gdzie nas wyrzucono nigdy by się nie domyślił, że znalazłem się w tym mieście.

Z otrzymanej wiadomości byłem zadowolony, bowiem z Mińska miałem tylko 100km do domu, co na odległości radzieckie oznaczało pozostawanie we własnych opłotkach. Taki stan rzeczy w zupełności mi odpowiadał, bowiem nigdy nie dopuszczałem takiej myśli, że znajdę się tak blisko domu i na dodatek ze względnie dobrym połączeniem komunikacyjnym. Po długich wyczekiwaniach w końcu padł rozkaz do marszu, kiedy kolumna ruszyła ze wszystkich stron konwojenci zaczęli ponaślać do coraz szybszego tempa a jednocześnie poluzowali smycze psów. Na skutek tego kolumna zaczęła się rwać, nastąpiło ogólne zamieszanie a z tego powodu jeszcze się bardziej wściekała, zwierzała swoje szeregi, wyłamujących się z szyku szczuli psami, szarpani przez psy wydawali przeraźliwe krzyki, natomiast eskorta na nic nie zważała, tylko bez ustanku wrzeszczeli, bystrej i bystrej, czym zmuszali do szybszego kroku. W wyniku dłuższego wymuszonego forsownego marszu w kolumnie nastąpiło wymieszanie i zarazem samoselekcja, osobnicy silni znaleźli się na czele, a słabi na końcu kolumny, tym sposobem znalazłem się w czwartej lub piątej czwórce od tyłu, zaś w ostatniej zamykającej ~~czwórce~~ pochód czwórce szedł młody dwudziesto-kilkuletni Niemiec - wyschnięty jak sztacheta, Spod skąpych łachmanów wystawały grube gnaty kończyn świadczące, że był kiedyś chłopem na schwał, na nogach miał drewniaki zwane klumpami, o grubych spodach kilunasto-centymetrowych, czym sprawiał wrażenie jakby poruszał się na szczudłach. W takim obuwiu na bruku o kocich łbach nawet człowiek fizycznie sprawny ~~idąc~~ powoli miałby spore trudności z poruszaniem się. Niestety, tego nikt nie brał pod uwagę! Po około 30-40 minutach pośpiesznego

marszu Niemiec zupełnie opadł z sił i nie mógł nadążyć za kolumną, natomiast jeden ze strażników zabezpieczający tył szedł za nim i bez przerwy napuszczał na niego psa wilczura, który jak wszystkie pozostałe rozwścieczone smakiem i zapachem ludzkiej krwi wisiały na smyczach psiarzy z rozwartymi paszczami rwały się z całych sił do nogawek ofiar. Gdy pies dopadał Niemiec wrzeszczał ^Wniebogłosey, skomlał, wyl, wydawał z szerokiej piersi dziecinnie nienaturalne piski a całą szeroką twarz miał zamazaną łzami, płakał niczym bóbr. Podczas mijania domów czasami [?]czyjaś ręka ostrożnie uchylała okno i nie wysadzając nosa, ukradkiem obserwowała rozgrywającą się scenę na ulicy, by po chwili z trwogą je zamknąć. Położenie w którym się znalazłem było nie do zniesienia, aby nie patrzeć na zadawane cierpienia, starałem nie oglądać do tyłu, ale od tego, co docierało do uszu można było dostać szaku, stąd ten przeżyty koszmar pozostał na trwało w pamięci. Na szczęście kiedy Niemiec wydobywał resztki sił, znaleźliśmy na przedmieściach i dowódca eskorty pofolgował. Za miastem już budził się świt, tempo marszu stało się wolniejsze ^g chociaż konwojenci już nie ponaglali do pośpiechu to i tak tył kolumny nie mógł nadążyć za czołem.

Jeśli chodzi o wymuszony nadmierny pośpiech, był on podyktowany tym, żeby w nocy kiedy większość mieszkańców spała wyjść z miasta, bowiem czynnikiem odgórnym zależało, aby jak najmniej było świadków podobnych parad.

W tym miejscu powstaje pytanie, czy musiało dojść do nieludzkiego traktowania? Otóż przy dobrych chęciach i sprawnej organizacji można było tego uniknąć, lecz przy ich braku nie, gdyż eskorta zabezpieczająca tyły nie mogła odstawać ani zmniejszyć tempo marszu ze względu, iż kolumna była nadmiernie rozciągnięta i ~~ma~~ łączność między czołem a tyłem była problematyczna, poza

tym eskorta ledwie panowała nad wytworzoną sytuacją.

Przy dobrym układzie Niemca mogli podciągnąć współtowarzysze, ale tam w pobliżu byli sami słabi jak on i nie wiedzieli jak długo będzie trwała koszmarna droga, czy czasem za chwilę ich spotka to samo, ponadto byli to ludzie obcy sobie nie dlatego, że Niemiec, lecz, że przypadkowo po raz pierwszy się zetknęli. Do tego strażnik rozwścieczył wilczura i z trudem nad nim panował. Jak się okazało w skład naszej dużej kolumny weszły połączone na stacji transporty z więźniów: grodzieńskiego, baranowickiego, brzeskiego i jednego z więźniów ze wschodniej Białorusi, oraz jeden wagon z łagru.

Teren za miastem, przez który przechodziliśmy wyglądał dziko, pagórkowaty na wzgórzach porosły kępami drzew, w pobliżu nie było widać żadnych osiedli ani kolonii. Koło południa kiedy weszliśmy na kolejne wzniesienie zobaczyłem w dole rozrzucone baraki obozowe otoczone kolczystym drutem, nad którym górowały strażnicze wieże. Jak w przyszłości okazało, dzieliło nas od stacji równo 30 km, dla wynędzniałych jednostek był to liczący się kawałek drogi.

Z a d r u t a m i

P r z y j ę c i e - Przed bramą obozową czekaliśmy do godzin po południowych, nikomu się nie spieszyło zajęcia się nami. Obóz sprawiał wrażenie wymarłego. Od czasu do czasu na podwórzu pojawiały pojedyncze osoby i za chwilę znikwały w którymś z baraków. Oczekując na przyjęcie wygrzewaliśmy się na jesiennym słońcu, a był to w tamtym roku ostatni ciepły słoneczny dzień, tak nieświadomie żegnaliśmy lepszą porę roku i więzienną życie, zaś czekał nieznanym nowy los. Z nudów badałem wzrokiem otaczający teren. W pewnym momencie dostrzegłem kilka kobiet zatrudnionych przy usuwaniu chwastów i grabieniem pasu ziemi leżącego między drutami.

Gdy kobiety zbliżyły się na bliższą odległość ku memu zdumieniu rozpoznałem w jednej z nich swoją koleżankę szkolną z okresu przedwojennego LB. której rodzice i ona podczas wojny wyprowadzili się z mojej miejscowości. Z ciekawości nie wytrzymałem i zawołałem ją głośniej po imieniu, przez dłuższy czas błędnie wzrokiem po tłumie nie mogąc natrafić na znajomą twarz, w końcu dostrzegła mnie, była zaskoczona moim wyglądem a ja jej.

Natychmiast wywiązała się ożywiona rozmowa podczas, której dowiedziałem się, że obóz znajdował w miejscowości Krasnoje Uroczyszcze i został powołany z zadaniem ^{składowy} fabryki samochodów ciężarowych. Dziś ta miejscowość znajduje się w granicach miasta, natomiast fabryka produkuje powszechnie spotykane na drogach Polskich samochody ciężarowe tak zwane MAZy, czyli Miński Awto Zawod.

Po długich paru godzinnych oczekiwaniach pod bramą nareszcie pojawiła większa grupa władz obozowych, która szła w kierunku bramy. Od ich przybycia otworzyły się podwoje i rozpoczęto przyjęcie. Formalności osobowe widocznie załatwili wcześniej, teraz tylko sprawdzali stan ilościowy i czwórkami wpuszczali za bramę, a kiedy zbierała się większa ilość odprowadzali w głąb obozu.

Obóz dzielił się na dwa sektory, pierwszy mniejszy przy bramie głównej był żeńskim a dalej większy męski. Oba sektory przecinała główna ulica przegrodzona w poprzek bramą pomocniczą oddzielającą część żeńską od męskiej, pilnowana przez stróża wyznaczonego spośród Łagierowiczów. Zaprowadzono nas do świeżo wykończonego baraku i polecono wybierać sobie miejsce Barak prezentował przyzwoicie, długi na 30-40 metry, duża ilość okien zapewniała dobre nasświetlenie wnętrza, prycze i podłogi lśniły czystością,

zaś powietrze było przesiąknięte żywicą wydzielającą się ze świeżo ułożonych desek. Na nasze przyjęcie staruszek dozorca palił w żelaznym piecyku, od którego rozplýwało miłe ciepło. Z rozlokowaniem nie było najmniejszych problemów, gdyż przestrze-
-ni było pod dostatkiem. W sumie warunki zakwaterowania robiły jak najlepsze wrażenie. Wewnątrz barak tworzył jedną wielką salę bez żadnych działowych ścian. Wzdłuż pod jedną i drugą ścianą biegły prycze, a środkiem między nimi korytarz, na którym stał jeden stół i dwa żelazne piecyki. Przy wejściowych drzwiach zajmował miejsce dozorca. Jego zadaniem było niewpuszczanie do środka obcych ludzi, utrzymanie czystości, palenie w piecach oraz pilnowanie dobytku mieszkańców, gdy byli w pracy, co w prak-
-tyce pozostawało w sferze iluzji/. Pośkanie stanowiły gołe deski, ponieważ nie posiadałem żadnych wolnych rzeczy osobistych z tego tytułu z zajęciem miejsca okazało się sprawą nie taką prostą, bowiem kiedy go opuszczałem nie pozostawał najmniejszy ślad, natomiast ci co posiadali jakikolwiek przedmiot, chociaż pusty worek czy bieliznę na zmianę byli w lepszym położeniu, bo mieli przynajmniej co podłożyć pod głowę no i czym zaznaczyć swoje legowisko.

Pierwsze zetknięcie się z obozem wypadło korzystnie, lepiej niż oczekiwałem. Po przekroczeniu bramy poczuło się prawie wolnym, na rozległym terenie poruszało się swobodnie i do tego na świeżym powietrzu. Taki co już się przyzwyczaił do przebywania w ciasnocie w zamkniętym pomieszczeniu - pod kluczem, czuł się jak ptak wypuszczony z klatki. Po zapoznaniu się z lokum udałem na zwiedzanie obozu z myślą, że może natrafię na coś do zjedzenia, ponieważ już więcej niż dobę, trochę z własnej winy nie miałem nic w ustach. Teren obozu nie był zbyt rozległy, jego stali mieszkańcy przebywali w pracy na budowie fabryki leżącej na

wzgórzu w odległości 1,5km.

Poszukiwanie pokarmu okazało się daremną na stołówce odprawiono nas z niczym, przyczym wyjaśnili, że nie dostaniemy jedzenia, gdyż na tamten dzień nie byliśmy zaprowiantowani. Również próby oberzenia innych baraków nie powiodły się ponieważ dozorczy nie wpuszczali do środka, natomiast inni mieli większe szczęście, bowiem podczas rekonesansu natrafili na piwnicę znajdującą się w tyle na zapleczu, w której były zmagazynowane ziemniaki i ~~warzywa~~ warzywa korzeniowe; buraki, brukiew i marchew. Dostać się do okopowych nie mogli, gdyż były pod zamknięciem, zaś okna miały zakratowane, lecz otwarte. Pozostawało uzbrojć się w kije z gwoździem i czekać zmroku. Z tymi bardziej wygłodzonymi udałem się na poszukiwanie niezbędnych przyborów, dość długo włóczyliśmy się zanim znaleźliśmy odpowiednie długie kije, natomiast o gwoździe było łatwiej. Po zamknięciu zmroku razem z innymi poszedłem po łup pod piwnicę, tam się jednak okazało, że po ciemku nie było łatwo nadzieć na szpikulec kłęb czy korzeń, jednak po dłuższych zmaganiach znaleźli się specjaliści, którzy w miarę sprawnie wyciągali zdobycz. Kiedy w moich rękach znalazł się sporych rozmiarów burak i chociaż był pastewny nie czerwony od razu pobiegłem do baraku i tam zabrałem się do jego ogryzania. Widząc to dozorca doradził mi powiać na plastry i przypiekać je na piecyku. Posłuchałem jego rady, dostałem od niego scyzoryk i zrobiłem tak, jak radził. Burak po podsmażeniu smakował o wiele lepiej, stał się miękki, część wody odparowała i dlatego był bardziej słodki. Inni wrócili z bogatszym łupem, lecz wtedy wynikły problemy z dostępem do piecyków, brukiew spożywali na surowo a ziemniaki i buraki piekli do rana.

Późnym wieczorem około godziny 20⁰⁰ ktoś wpadł do baraku z wiadomością, iż wracają z pracy stali mieszkańcy. Poszedłem

zobaczyć i z ciekawości jak wyglądają i w nadziei, że może spotkać kogoś ze znajomych. Gdy znalazłem się w pobliżu bramy czoło kolumny już wchodziło na plac. Od tego, co zobaczyłem dotychczasowe nie najgorsze mniemanie o nowym miejscu, w którym się znalazłem okazało się złudne. Przede mną przesuwali się, nie ludzie lecz ich cienie, szli powoli, przemęczeni ze zwisającymi bezwładnie ramionami, ledwie powłócząc nogami, w łachmanach wypłowiałych od długiego przebywania na otwartym powietrzu. Prawie co trzeci był żywym kościotrupem. Ich beznadziejny wygląd być może urastał do tragicznych rozmiarów przez sztuczne oświetlenie. Z obrazem tego rodzaju widm zetknąłem się po raz pierwszy, aczkolwiek nie były mi obce osoby wyschnięte ze starości, gruźlicy, obłożnie chorych czy umierających z głodu, ale miałem styczność z pojedynczymi osobami i mimo wszystko wyglądały korzystniej, jak nie oni to ich odzież, a tam nie do wiary kościotrupy poruszały się i doń tego wracały z roboty. Zaskoczenie moje było tym większe, że nie byłem wcale przygotowany na podobne spotkanie. Nie wiedziałem, że takie coś mogło istnieć, w ogóle taki widok nie mieścił się w głowie.

Ta nieswiadomość wynikała stąd, że w tamtych latach w radzieckich środkach masowego przekazu na temat obozów było cicho zarówno o swoich jak i niemieckich. To był temat zakazany, co można sprawdzić i dziś ma w archiwach na podstawie czasopism z tamtych lat. Owszem krótkie notatki na temat dużych obozów niemieckich pojawiały się, ale w innym aspekcie. Informowali, że to były jako fabryki śmierci a nie zakłady pracy. Lakoniczne wzmianki ograniczały się do podania o wykrytych krematoriach, masowych mordach i ilości wymordowanych, lecz nie informowano, na jakich zasadach one funkcjonowały, co tam się działo, jak tam ludzie żyli i wyglądali, w sumie unikano szczegółowych opisów.

Również nie istniała literatura obozowa ani filmy, albo ich nie dopuszczano do rozpowszechniania, natomiast zwiedzenie obozów w ZSRR nie praktykowano. W warunkach kiedy cały kraj pokrywała gęsta sieć kagrów, władze wolały za wiele nie rozprawiać o niemieckich, a o swoich wcale. Wszelkimi środkami dostępnymi istnienie obozów maskowano, aby zachować je w tajemnicy każdy zwalniany podpisywał oświadczenie, że nie będzie rozpowszechniał wiadomości o tym, z czym się zetknął w miejscach odosobnienia, dlatego co się tam działo można było tylko dowiedzieć od osób bliskich lub zdecydowanych na poniesienie nieprzyjemnych konsekwencji, ale u tych drugich praktycznie nie spotykało. Trzeba zdawać sprawę, że w drugiej połowie lat czterdziestych instytucje obozowe osiągnęły swój szczyt rozwoju, były nastawione na wchłonięcie każdej ilości siły roboczej natomiast z nielicznymi wyjątkami prawie nikt z nich nie wychodził, bowiem przeważały wyroki długoterminowe a ludzi skazanych u na karę więzienia do roku nawet nie wysyłano do obozów. W rezultacie ogół społeczeństwa nie było zorientowane o panujących w nich warunkach. Jeżeli zaliczałem się do przeciętnych, postaram się tą sprawę naświetlić na własnym przykładzie. Otóż po raz pierwszy zetknąłem się z przymusową pracą w 1941 roku podczas budowy aerodromów/lotnisk/, wówczas zatrudniali skazanych przywiezionych z Rosji, ale pracowali oni w podobnych warunkach jak pracownicy wolni, nie było im wolno oddalać się z miejsca zakwaterowania, lecz u nie siedzieli za drutami, może nie płacono im za pracę, no i mama na pewno wyżywienie nie mieli łyche, chociaż nie wyglądali na wycieńczonych głodem. W sumie między pracownikami skazanymi i wolnymi nie widać było większej różnicy, takie rozwiązania minimum uchodziło za pierwowzór obozu, jego imitacja albo prowizorka. Drugie źródło wiadomości o obozach pochodziło od przesiedlonych Rosjan. Oni wypowiadali się o nich bardzo krytycznie, twierdzili, że

na wielkich budowach typu Magnitogorsk czy Biełomarkonaż wyginę-
-ło na przymusowej pracy setki tysięcy ludzkich istnień, ale te
zaskrywane wieści nie pochodziły od bezpośrednich osób tam
zatrudnionych, stąd nie można było wyrobić zdania, jakie tam
panowały warunki i jak traktowano skazanych.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich w 1944 roku masowo deportowano
mężczyzn ~~masz~~ do kopalń węgla w Donbasie, wyr^{bu} lasów na północy,
oraz do piły w przemyśle, były to organizacje pół wojskowe, coś
w rodzaju batalionów roboczych z ograniczoną swobodą poruszania
się i podłym wyżywieniem. Wszyscy ci ludzie po zakończeniu wojny
zostali zwolnieni.

Inaczej losy potoczyły tych, co wpadli w ręce organów bezpiecze-
-stwa w latach 44-46. Ci co znajdowali się w więzieniach i
formacjach na w^{spół} obozowych jeśli ich rodziny wyjeżdżały do
Polski zostali zwolnieni, natomiast pozostali, którzy trafili do
nowo zorganizowanych obozów pracy z prawdziwego zdarzenia opartych
na podstawach naukowych faszystowsko-stalinowsko-marxistowskich
wyszli na wolność dopiero w połowie lat 50..

~~Wówczas~~ Wówczas w moich stronach nie wdawano się w subte-
-lności używano do określania wszystkich osób deportowanych na
wschód starym tradycyjnym wywodzącym z czasów carskich wyrazem
zsyłką na Syberię nie wnikając, gdzie i na jakich zasadach, zaś
pojęcie łagrów jeszcze nie było znane, a przynajmniej nie
rozpowszechnione. Na marginesie wypada nadmienić w składaniu
ofiar na ołtarzach antyhumanitarnych wyróżniała się Wileńszczyzna,
Pomijając wieki minione wystarczy ograniczyć się do ostatniego
zaczynając od pierwszej wojny światowej i walk związanych z
odzyskaniem niepodległości kraju. Udział w drugiej wojnie świat-
-wej na wszystkich frontach, oraz wyniszczenie ludności cywilnej
przez masową deportację na Syberię w 1940 i 1941 roku, następnie
dokonywanie mordów przez radziecką partyzantkę i Niemców

w latach 1941-1944. Po wkroczeniu armii Radzieckiej w 1944 roku wysiedzenie ludności ziem wschodnich przekroczyło granicę jakiegokolwiek przezwojtności. Zaczęło się od poboru na front do Armii Polskiej i Radzieckiej, równoległe wyłapywanie i dokonywanie masowych aresztowań mężczyźni szły dalej na wschód do zakładów karnych i przymusowych miejsc pracy. W latach 1946 i 1956-58 duży odsetek ludności emigrował do Polski a w międzyczasie ~~dużo~~ przymusowo i dobrowolnie przesiedliła się do różnych regionów ZSRR na wschód od dawnej granicy. W latach powojennych ludność ze wschodnich dawnych rubieży Polski była przesiedlana najboleśniej i najliczniej.

Do organizacji nowoczesnych obozów pracy władze radzieckie przystąpiły tuż po zakończeniu wojny. To była eksplozja, w wyniku której w przeciągu dwu lat pokryli cały kraj gęstą siecią, a w niektórych rejonach duże ich kompleksy. Oczywiście, pojedyncze już istniały przed wojną i w okresie wojny, ale nie były jeszcze zjawiskiem masowym. Przebywając w zakładach karnych słyszałem wypowiedzi, że władze radzieckie podczas wielkiej koniunktury obozowej do ich organizacji ścignęli fachowców niemieckich, którzy wspomagali od strony technicznej, natomiast od strony stosunku do skazanych posiadali własnych doskonałych specjalistów z którym do wiadomości i tu nie musieli korzystać z pomocy obcych. Pozostaje kwestia czy zasłyszane dane pochodziły od osób kompetentnych, jeśli się nawet potraktuje jako plotkę, to jak wiadomo w każdej plotce zwykle jest część prawdy.

O tym jak dobrze strzegli istnienie obozów przed szerszą opinią publiczną nic nie świadczy fakt, że sam dość często przebywałem w Mińsku i nie wiedziałem, iż już w tym czasie w okolicy tego miasta istniało kilkanaście obozów pracy, natomiast tylko spotykałem jeńców niemieckich przy odgruzowywaniu ulic.

Obozy lokalizowano z reguły w miejscach odludnych, dlatego krąg osób, które je bliżej znały był nie wielki. Trzeba zdawać sprawę, że ludzie z natury nie bardzo wierzą w to, co słyszą, dopóki nie zobaczą na własne oczy. Również w te zdarzenia, co ja opisuję, nie wielu uwierzy. Dla mnie najbardziej przekonująca forma przekazu jest taka, którą stosuje się w Oświęcimiu na podstawie eksponatów i bogatych materiałów źródłowych. Niestety "Związek Radziecki zdążył po niechlubnej przeszłości zatrzeć wszelkie ślady, a czas dokonał reszty. Już nie wielu byłych kagierowiczów przetrwało do dzisiejszego dnia, którzy mogliby wydać świadectwo jak było naprawdę. Związek Radziecki w latach powojennych na forum międzynarodowym mógł potępiać system pracy obozowej, ale we własnych granicach zachowywał się powściągliwie. chociażby z tego względu, iż warunki bytowe w ich obozach były gorsze niż w niemieckich, przynajmniej tak wynika z tego, co doświadczyłem na sobie w porównaniu z tym, co opowiadali w rozmowie osobistej byli więźniowie obozów niemieckich lub na podstawie materiałów dokumentalnych. Wcale nie mam zamiaru udawać, że w niemieckich obozach panowały znośne warunki, lecz dla lepszego zrozumienia poruszanego zagadnienia podkreślam z całą stanowczością, iż w radzieckich nie były lepsze, co już w innym miejscu uzasadnię. Jedyną znaczącą różnicą sprowadzała się do tego, że w tych obozach, w których przebywałem, nie zetknąłem się z masowymi mordami popełnianymi za pomocą środków technicznych, za to do tego celu z powodzeniem wykorzystywano warunki przyrodnicze, jakby nie było bardziej naturalne.

Po kilku zdania dygresji czas powrócić do przerwanej opowiadania. Otóż muszę się przyznać bez żadnej przesady, że tamtym pierwszym spotkaniem z ludźmi obozowymi zostałem wstrząśnięty

można doprowadzić do takiego stanu. Przechodziło moją wyobraźnię, a miałem ją nie najgorzej podbudowaną na podstawie przeczytanej literatury. Znałem wiele rodzajów tortur, cierpień z odniesionych ran, mizosnych, moralnych. Czytałem o różnych rzeziach, epidemiach i innych klęskach, natomiast nie mieściło się w głowie, aby z dźwięku uczynić jedno olbrzymie widmo.

Z bramy wylewała się jednolita szara masa, rozlewając się po terenie obozu do poszczególnych baraków. Przeszli jak zjawy lub żałobny kondukt niczym nie zakłócając nocnego spokoju, a przez noc wprowadzono około 2000 ludzi, nie wszczynając najmniejszych wrzawy. Ochrona została przy bramie, zaś więźniowie zrezygnowani szli w nakazanym kierunku, co poniekąd świadczyło o ich przemęczeniu. Po obejrzeniu rozgrywającej się sceny przysły wszelkie nadzieje i złudzenia. Idąc pod kluczem jeszcze się żudziłem, że nie było po co nadaremnie i na zapas martwić się, tym co przyniesie przyszłość, bowiem wydawało czasami, że życie ukochanej żony samo i da się radę wyrok przetrwać. O ile w poprzednich miejscach pobytu było ciężko, ale zawsze zdawałem sprawę, że miały one charakter przejściowy i jak nie wcześniej to później koczują się obozem. Po cichu liczyłem iż w nich będą lepsze warunki. Pracy fizycznej nie bałem, więc w najgorszym wypadku wydawało mi się, że na życie dam radę zarobić. Teraz po tym, co zobaczyłem od razu zdałem sprawę, że znalazłem się w sytuacji gorszej niż zła. Okres pobytu był znany, wystarczająco długi, by po tym co zobaczyłem zakończyć żywot nie raz, a kilka razy. Tam już nie skończyły się żarty o przetrwaniu należało myśleć poważnie. Rzeczywistość okazała się bez wyjścia pozostawała jeszcze jedną deską ratunku, jak zwykle bywa w zbliżonych wypadkach zwrócić się o pomoc do matki. Z więzienia do domu nie wysyłałem żadnej wiadomości, bo wydawało się, że nie będą długo mnie tam trzymać, stąd nie caciałem niepokoję matki, aby nadaremnie czasem nie

jechała, tym bardziej, iż w domu sytuacja wyglądała nie naj-
-lepiej, pozostał 14-letni brat z matką w podeszłym wieku, z
ograniczoną zdolnością poruszania się, do tego dochodziło prowa-
-dzenie gospodarstwa rolnego, a jak wiadomo w okresie letnio-
jesiennym roboty w gospodarstwie pod dostatkiem.

"Nie wiedziałem, że w tym czasie sytuacja w domu była całkiem
beznadziejna, gdyż brat również znalazł się w obozie.

Po obejrzeniu powracających z pracy wróciłem do baraku i posta-
-nowiłem natychmiast wysłać list do domu, ale tu znowu wyniknęły
nie przewidziane przeszkody, bowiem nie miałem materiałów piśmie-
-nnych ani papieru, ani ołówka. Na usilne starania i prośby
dostałem potrzebne materiały i jeszcze tego samego wieczora
zdażyłem napisać list, w którym oględnie dawałem do zrozumienia,
iż odczuwam pewien brak żywności. Wysyłane listy z obozu podle-
-gały cenzurze, nie wolno w nich było opisywać prawdy o panujących
tam warunkach, natomiast nie obowiązywały ograniczenia odnośnie
ilości korespondencji. Problem znaczków i kopert odpadał, ponieważ
zapisywało treścią tylko jedną stronę kartki, następnie składało
się ją w specjalny trójkąt na którym umieszczano adres, a znaczki
opłacał odbiorca.

Późnym wieczorem nowo przybyłych podzielono na brygady, przedsta-
-wiono brygadzystów i zapowiedziano, aby ich się trzymać podczas
wydawania posiłków i na terenie pracy. Znalazłem się w 34
brygadzie i na tym pierwszy dzień zapoznawczy pobytu w obozie
praktycznie się kończył. Na drugi dzień poderwano nas na nogi o
godzinie 5⁰⁰, skończyły się dobre czasy, kiedy w więzieniu wylegi-
-wało do godziny 7⁰⁰, zaś po siódmej od nowa.

Na dworze powitał psia pogoda. Przy ujemnej temperaturze wiał
silny porywisty wiatr, przeszywający na wskroś ciało ziębem.

"miana pogody nastąpiła nagle." ciągu nocy temperatura nagle

ra ptownie spadła z dodatniej na ujemną, Kiedy się znalazłem w stołówce, tam wiatr wiał z podwójną siłą, gdyż ten budynek był nie osłonięty, zbudowany w znacznej odległości od baraków. Budynkiem o zamkniętych ścianach była jedynie kuchnia, natomiast stoły ~~czyli~~ część przeznaczona na jadalnię znajdowały się pod wiatę, gdzie przewiew wiatru był silniejszy niż na otwartej przestrzeni. Stałem skulony, drżący i ~~szczękający~~ szczękający zębami. Zimno przenikało do szpiku kości, jak na taką podłą pogodę byłem prawie nagi, bo ile mógł chronić stary, wytarty szynel założony bezpośrednio na koszulę. Od samego rana dzień się zapowiadał fatalnie. Na stołówce pierwszym wydawali śniadanie starym żagrowcom, nowi gromadzili się, tłum rósł a z nim bałagan. Najpierw brygadziści udali się do kuchni po odebranie chleba, gdy go wynieśli i zaczęli wydawać swoim ludziom powstało wielkie zamieszanie, bowiem nowi nie znali się między sobą, ani brygadziści nie znali swoich ludzi, ponadto przez noc wielu zapomniało, dok której brygady zostali przydzieleni. Wykorzystali ten wewnętrzny chaos miejscowi gitowcy i muzulmani. Wkradali się oni między szeregi nowych i odbierali cudze porcje chleba. Mało tego-co im się nie udało podstępem, resztę dopełniali sprytem. Zanim nowo przybyły zdążył otrzymany chleb schować lub zaleść kąć do zjedzenia, oprychy wyfywali z rąk i ginęli w tłumie, rozgrywało się to błyskawicznie podobnie jak przy dokarmianiu mew nad wodą. Końcowy efekt był taki, że znaczna część nowych nie otrzymała lub nie spożyła swoich racji chleba.

Walka o chleb była niczym w porównaniu ze szczytem parodii, która się rozegrała kiedy zaczęto wydawać nowo przybyłym zupę. Wieczorem nikt nam nie powiedział, że do odebrania zupy potrzeba było mieć własne naczynie, z drugiej strony nawet gdyby ~~by~~ podano do wiadomości to w niczymby nie zmieniło sytuacji, bo

niby gdzie i kiedy mógł nowincjusz zdobyć naczynie? W rezultacie po odbiór zupy po za nielicznymi wyjątkami/ci, co spotkali znajomych i zdążyli od nich wypożyczyć konieczne naczynia/ reszta stała z pustymi rękoma. Jak wiadomo zupa ma tą właściwość, że w garści ani w kieszeni nie da się utrzymać, więc wyniki nowu nie dorozwiązania problem. Tymczasem kucharz z okienka wywoływał numer brygady, na zawołania brygadzista stawał przy okienku w celu pilnowania porządku i dopuszczaniu tylko swych ludzi, następnie kucharz z listy zlecał swemu pomocnikowi ile miał wydać porcji, lecz kiedy zaczynał wydawać tym, co przychodziła kolej na odebranie, oni kręcili się bezradnie, rozglądając w koło za zdobyciem naczynia. Na tą okazję czekali trumnie muzułmanie i gitowcy usłużnie podsuwali puszkę, potrzebujący przyjmował ją z wdzięcznością, lecz po jej napełnieniu wypożyczający natychmiast żądali zwrotu ~~swój własny~~, siłą wrywając z rąk jako swoją własność, w rezultacie nawzajem się starpano ~~parzano~~ parzano twarze i ręce gorącym płynem, w wyniku czego wytworzyła się ogólna kotłowanina, szamotanina i wrzaski. Słabszych, co upadli na ziemię, tłum deptał. W międzyczasie obcy podsuwali swoje naczynia w okienko a tam wydawano zgodnie z ustaloną ilością nie zważając komu. Co tam się wtedy działo nie sposób odtworzyć w słowach, na początku w przybliżeniu było zgodnie z opisem, ale potem co można było oczekiwać od tłumu ogarniętego żądzą głodu, zdanego na żywioł i wyzbytego rozsądku. Nie było siły, która mogła wprowadzić porządek. Wielu, co stało dalej, nie bardzo zdawała sprawę, w czym rzecz i z jakiej przyczyny doszło do incydentu. Jedynym sposobem zapanowania nad gorączką było zaprzestanie wydawanie zupy, ale kucharze tak nie postąpili, widocznie wiedzieli lepiej, co robią i jak się mają zachować?

Gdy jeszcze w pełni trwała zażarta walka o łyżkę strawy, do

akcji wkroczyli strażnicy. Zjawili się pod kuchnią nie dlatego, aby zaprowadzić porządek, lecz z powodu przekroczonego czasu wydawania śniadania, a głównie po to, by na czas wypędzić do pracy, gdyż pod bramą czekała już uformowana kolumna gotowa do wymarszu. Początkowo strażnicy usiłowali wyznać ze pomocą wrzasku, ale czy słowo mogło dotrzeć do rozsądku w rozgorączkowanym tłumie. Gdy słowa nie dały żadnego skutku, wówczas poszły w ruch kolby i kije zaczęli nimi okładać na prawo i lewo i mimo tego nie bardzo pomagało, bowiem w międzyczasie kucharze już na nic nie zważali i wydawali zupę temu kto podsunął naczynie. W wyniku czego nowo przybyli zostali odsunięci na bok, zaś starzy legrowicze brali okienko szturmem, natomiast od tyłu strażnicy okładali aż roslegał się łomot, jednak ci co byli bliżej okienka nie zważali na nic, pchali się z naczyniami podniesionymi w rękach do góry. Nie czekałem czym się kończył oglądany epizod, poszedłem do szeregu. Chleb szczęśliwie dostałem i w międzyczasie zdążyłem już zjeść, a po zupę nawet nie próbowałem pchnąć. W tym miejscu pragnę zwrócić uwagę na jeden moment z pozoru tak mało istotny, iż nie wart jest wzmianki, ale w obozowym życiu wprost decydował o przetrwaniu. Rozchodzi się o menażkę czy zwykłą puszkę po konserwie. Władze obozowe nie zaoopatrywały w naczynia do jedzenia ani kuchni, ani indywidualnie więźni. W ten sprzęt trzeba było zaopta-trywać we własnym zakresie. Jeśli chodzi o nóż, widelec i łyżkę bez nich można było obejść, gdyż pajdę chleba dostawało wykrojono, zaś zupę wypijało i bez łyżki, do widelca nie było potraw, jeśli nieraz wydano łyżkę ziemniaków czy kaszę wtedy wrzucano je do zupy i gęstsze części wygarniało kawałkiem chleba, znalezionym patykiem lub palcem. Przez cały okres pobytu w obozach tych przyrzędów nie posiadałem i doskonale dawałem sobie radę i z tego powodu nigdy nie narzekałem, natomiast

bez naczyń na zupę nie dałoby się żyć, bo to się równało pozabawienie siebie tej potrawy.

Do jakiej rangi urastał ten problem bez mała tragedii, można prześledzić na przykładzie naszego transportu.

W jednym dniu zostaje wrzuconych do obozu 300 osób przypuszczony na 2000 w wyniku czego, co szósta osoba nie ma czym odebrać jedzenia, niezależnie od tego przecież nie zostali rozrzucony równomiernie, lecz zgrupowani razem. Oczywiście te 300 osób podejmują usilne starania, by gdzieś je zdobyć, tylko powstaje pytanie gdzie? Swoboda poruszania się była ograniczona drutami, poza ten teren już wcześniej został dokładnie spenterowany w ślepię nie kupi bo go nie ma, ponadto najpierw trzeba byłoby mieć za co, pozostawało jedyne źródło - liczyć na przysłanie z domyśle ile należało oczekiwać - jednemu kilka dni, drugiemu tygodni, zaś innemu kilka miesięcy i w tym czasie obywać się bez ciepłej strawy. Zatem takie rozwiązanie też nie wchodziło w doraźną rachubę. Rzecz zrozumiała, że w takich okolicznościach, prawie każdy z nowo przybyłych stawał się potencjonalnym złodziejem, co z kolei zakłócało tok życia starszym stażem. Dlatego posiadacze naczyń strzegli je jak oka w głowie dzień i noc nie rozstawali się z nimi. W pracy i przez cały dzień noszono je przytroczone do pasa, a na noc chowano pod głowę. Z tych i innych względów trudno było je wypolować, jeśli się nie miało dobrego znajomego, to praktycznie nie było o czym marzyć.

Z nowu ze swojej brygady z przyczyn organizacyjnych dwa razy z jednego naczyń nie zdarzyło się skorzystać, gdyż za szybko wydawano zupę, nim pierwszy zjadł ostatni musiał znaczenie wcześniej odebrać swą. Jedyne rozwiązanie było położyć z innej brygady, która zdążyła wcześniej pobrać i zjeść, lub jeszcze stała daleko w kolejce. W ten sposób mogli wzajemnie wspierać

ci, co pozostawiali z sobą w zażyłych stosunkach, kiedy zachodziła takowa potrzeba, ale na taką pomoc nie mogli liczyć nowincjusze, tymczasem oni zwykle potrzebowali najbardziej takiej formy pomocy? Powstaje pytanie jak w takim razie radzono? Faktycznie to nie było co mówić o zaradności, lecz raczej o czarnej rozpacz^y. Zbierano wszelkie świństwo, cokolwiek, byle miało dno i ścianki, próbowano z blachy formować nieporadne prowizoryczne zagłębienia, a generalnie plebs obozowy zaopatrywał się w puszki po konserwach, które również nie były łatwo dostępne i miały swoją cenę. Na rynku obozowym kosztowała od jednej do dwudniowej porcji chleba, lecz nie zawsze były do nabycia. Pochodziły one głównie z kuchni po konserwach lub koncentratkach, ponieważ te środki spożywcze nie za często i w nie zadużych ilościach trafiały na kuchnię, stąd nim się ją zdobyło trzeba było porządnie na uganiać. Osobiście w pierwszym dniu poszukiwań znalazłem jedynie pół-litrową butelkę, nieporadnie utraciłem szyjkę, po tej przeróbce kałeczyła ręce i były problemy z jej nosiszeniem. Wieczorem odebrałem do niej zupę, ale się wszystka nie zmieściła wobec czego nie mogłem przeboleć straty. Rano w tłoku przez nie uwagę wysliznęła się z rąk i stłukła, w wyniku czego zostałem bez zupy. W pracy po długich poszukiwaniach znalazłem podziranioną, zerdzewiałą puszkę po konserwach, co ją wyrzucił ktoś inny, gdyż nie nadawała^{ła} do użytku. Dziury pozatykałem szmatami i myślałem, że zupa jakoś się utrzyma, kiedy wieczorem podałem ją kucharzowi do napełnienia, po nalaniu zupy zaczęła ciec i rozpryskiwać na wszystkie strony, kucharz tym się zdenerwował i moją puszkę wyrzucił za okno. W wyniku takiego obrotu sprawy zostałem bez kolacji i na drugi dzień bez śniadania. Na szczęście na drugi dzień znalazłem się przypadkowo blisko stanowiska pracy spawacz^y, który na moją prośbę zlitował się nade mną i wyraził zgodę na

wykonanie naczyń. Z kolei wyniknął nie lada problem ze znalezieniem odpowiedniej blachy, po długotrwałych poszukiwaniach na szczęście znalazłem pożądany materiał, a za chwilę stałem się posiadaczem przyswoitego naczyń, odtąd z pobieraniem supy miałem kłopot z głowy.

Funkcjonowanie obozu

Jak już wczesniej wspominałem, obóz składał się z dwu części męskiej i żeńskiej, całość była otoczona podwójnym koleczastym płotem na wysokość 3 metrów. Między tymi drutami znajdował się pas zaoranej ziemi tak, jak na granicy, jedynie szerokość tego pasa była mniejsza, gdzieś do 10 metrów, od wewnątrz w odległości 3m od płotu stały tabliczki ostrzegawcze zabraniające zbliżania się do płotu. Kiedy więzień przypadkowo naruszał wskazaną strefę, strażnik najpierw głośno rozkazywał opuścić, a gdy nie skutkowało, używał broni, strzał pierwszy odpalał nie do celu, lecz na postrach, natomiast do dalszych w mojej obecności nie uchodziło. Według słów tych osób, co byli zatrudnieni przy wzniesieniu płotów wynikało, że druty zewnętrznego płotu wkopywano na głębokość 1 metra w ziemię. W ten sposób zabezpieczano się przed ewentualnymi podkopami. Niezależnie od tego po zewnętrznym płocie przebiegał drut pod wysokim napięciem. Część męska od żeńskiej była oddzielona pojedynczym koleczastym płotem, lecz bez wież strażniczych, jedynie na bramie prowadzącej do obozu żeńskiego była budka, w której pełnił dyżur stróż wyznaczony spośród więźniów.

Przy wejściowej głównej bramie mieściła się wartownia, służyła ona dla tych, co pełnili wartę na wieżach oraz dla ochrony pełniącej dyżur wewnątrz obozu. Praktycznie więźniowie wewnątrz obozu czuli się swobodnie, baraki na noc nie były zamykane

i nie obowiązywały żadne zakazy odnośnie poruszania się.

Aczkolwiek według tych, co zwiedzili więcej obozów bywały i takie, w których na noc baraki zamykano.

Ochrona z reguły niechętnie lustrowała obóz, czas służby wolała spędzić na wartowni.

Na terenie obozu oprócz baraków i stołówki mieściły się jeszcze inne budynki spełniające funkcje pomocnicze np. karcer, izba chorych (coś w rodzaju mini szpitala), kilka magazynów z kapciorkami/magazynek do przechowywania paczek więźniów/, umywalka, latryna i trupańnia.

Również kiedy obóz uległ likwidacji, baraki zostały przerobione na mieszkania i tym sposobem powstało zakładowe osiedle mieszkaniowe. W odległości 1,5-2,0 km były zlokalizowane zakłady samochodów ciężarowych znajdujące w toku budowy. Cały przyległy do nich obszar kilkuset hektarów był otoczony drutami, nad którymi górowały co pewien odstęp wieże strażnicze.

Obrzyni teren wewnętrzny zajęty pod budowę był pocięty na kilka sektorów, oddzielonych również płotem kolczastym, ale nie strzeżonym. Z powodu krótkiego przebywania w Krasnym Uroczyszczu nie znałem dokładnie pozostań rozległego terenu.

Gdy więźniów przyprowadzano na teren fabryczny do pracy ochrona zajmowała swe posterunki na wieżach strażniczych. Na noc kiedy skazanych odprowadzano do miejsca zakwaterowania posterunki na terenie fabrycznym zdejmowano. Na terenie fabrycznym tuż obok zaraz za płotem znajdował się obóz dla jeńców niemieckich, do którego jeszcze przylegał obóz dla muzułmanów, gdzie rzekomo przywracano do sprawności fizycznej kompletnie wyniszczone organizmy ludzkie. Na jakich zasadach on działał i jaką spełniał rolę, z tym nie zdążyłem zapoznać. Również nie wiem, czy tam umieszczano ludzi tylko z naszego obozu, czy ze wszystkich zgrupowania nińskiego, moją zdaniem służyl wszystkim.

Aparat obozowy

W odróżnieniu od więzień w obozie skazany podlegał dwu władzy. Jedną była władza obozowa, która miała za zadanie utrzymywanie porządku, i strzeżenie przed uciezkami powierzonych podopiecznych, natomiast druga o charakterze bardziej cywilnym odpowiadała za właściwe wykorzystanie siły roboczej.

Organizacyjnie podlegały nam one dwu różnym pionom, stąd bezpośrednio nie były od siebie zależne, ale z drugiej strony łączył je jedynie nadrzędny cel ustalony przez instancje centralną, to jest zakładany termin przekazanie do użytku wznoszonego obiektu, za co były rozliczane oba piony, lecz nie z jednakową odpowiedzialnością.

W zasadzie zarząd fabryczny nie wtrącał się do skazanych, ale na terenie fabrycznym więźniowie podlegali funkcjonariuszom fabrycznym. Podporządkowani byli w zakresie przydziału pracy, ustalanie norm, nadzorowali wykonawstwo, od czego zależało przydział chleba. W rezultacie skazany zmuszony był liczyć się z pionem fabrycznym, ponadto ten pion mógł wnieść skargę i wnioskować o ukaranie skazanego do władz sprawujących pieczę. Z kolei zarząd obozowy dzielił się na sekcje wartowniczą, gospodarczą i polityczną wraz z organami bezpieczeństwa. Sekcja wartownicza zajmowała się pilnowaniem skazanych w dzień i nocy, sprawdzaniem stanów ilościowych, dokonywaniem przerzutów, oraz konwojowaniem do pracy i z pracy. Do pilnowania skazanych w miejscu zakwaterowania i na terenie pracy potrzeba było sztab strażników, ponieważ do tej pracy z ludzi wolnych nie było bardzo się spieszyli stąd ich brakowało, wobec tego braki uzupełniano spośród więźniów. Wybierano takich, którzy mieli mniejsze wyroki, przeszkolenie wojskowe, odpowiednie akta personalne oraz wyrażali zgodę na ten rodzaj pracy.

Sekcji gospodarczej podlegały wszystkie sprawy związane z warunkami bytowymi. W skład jej wchodziło szereg służb takich, jak: aprowizacja i wyżywienia, organizacja i rozliczenia pracy, dział administracyjny i sanitarny. W tym pionie była zatrudniona liczna grupa skazanych, należeli oni do wybrańców losu, ponieważ mieli oni lepsze warunki bytowe i lżejszą pracę od pozostałych zatrudnionych bezpośrednio w produkcji. Tak zwane zaplecze obsługiwało stołówkę, biura, warsztaty pomocnicze, magazyny, wewnętrzny dozór i służba sanitarna.

Pion polityczny zajmował się dokonywaniem cenzury, prowadzeniem lokalnego radiowęzła, organizowaniem i kierowaniem siecią szpiolów, dokonywaniem selekcji wśród skazanych. Tu konkretnie mchodziło m^o o wyłapywanie jednostek wykazujących skłonności buntownicze i ich izolowaniem w specjalistycznych miejscach odosobnienia. W tym pionie również mieścił aparat śledcz-dochodzeniowy. Może się wydawać dziwnym, co wśród skazanych miała do roboty ta instytucja? Otóż pracowała pełną parą, chyba na szybszych obractach niż na wolności. Wielu skazanych poddawano nowym przesłuchaniom, dla niektórych gdy wyrok zbliżał się do końca usiłowano sfabrykować następny, część przebywała bez wyroków, takich ciągle musieli brać na warsztat, aby przypisać jakąś winę, zajmowali się rozpracowywaniem do końca procesów dużych o znaczeniu centralnym, do których były stale wątpliwości, poza tym ciągle nadużywali paragrafu odnoszącego do sabotażu. To był jeden z batów zmuszający skazanych do pracy i wreszcie ścigali wszelkiego rodzaju przestępstwa zaliczane do pospolitych. Faktycznie pion polityczny należał do najważniejszych, był on kordynatorem, nadzorcą i postrachem dla pozostałych pionów wymienionych uprzednio.

Porządek dnia

Dzień się zaczynał pobudką o godzinie piątej, czego ściśle przestrzegano, kończył się natomiast o różnym czasie i tego nikt nie był w stanie przewidzieć. Od godziny piątej do szóstej czas przeznaczano na toaletę i śniadanie. Od godziny 6 do 7 dokonywano zbiórkę i domarsz do pracy. Od godziny siódmej do zapadnięcia zmroku pracowano, ponieważ jesienią zmrok zapadał wcześnie, więc praca się kończyła ~~zwykle~~ chyba w godzinach 15-16⁰⁰.

O szarówce robiono zbiórkę, która nieraz trwała i do północy, wszystko zależało od tego, jak szybko odszukiwano tych, co się ukryli na terenie pracy. Batem kolację wydawano każdego dnia o innym czasie, a kilkakrotnie i po godzinie 24⁰⁰.

Z powyższych przyczyn do snu nie trzeba było zapraszać, ani wyznaczać urzędowej godziny, po kolacji każdy szybko układał się do snu, nie czekając na ponaglenia.

W rozkładzie dnia wyróżniały się dwie newralgiczne pory: jedna rano, dotyczyła więźniów i ochrony, a druga po pracy - utrapienie skazanych. Rzecz sprowadzała się do tego, że rano było za mało czasu na śniadanie i domarsz, nie mówiąc o toalecie. Stołówka nie nadążała z wydawaniem posiłków z powodu małej przepustowości i małych uchybień organizacyjnych, niezależnie od tego dla ochrony potrzeba było sporo czasu na ustalenie stanów i sformowanie kolumny. Równocześnie z wyprowadzeniem do pracy następowała zmiana służb wartowniczych. Nocna zmiana odchodziła na odpoczynek, ale zanim to nastąpiło musiała rozliczyć się ze stanów ilościowych co do jednej osoby. Z kolei obowiązywało rygorystyczne zarządzenie odnośnie czasu rozpoczęcia pracy przez skazanych, bowiem bezwzględnie na to, co się działo w miejscu zakwaterowania każdego dnia punktualnie przed godziną siódmą kolumna więźniów stawała przed bramą fabryczną.

Ochrona, aby się wywiązać z nałożonych zadań, stosowała najprostsze wyjście polegające na zmuszaniu skazanych do pośpiechu. W tym celu jedni konwojenci stawali przy kuchni i bez przerwy ponagłali do wychodzenia na zbiórkę, zaś inni formowali kolumnę do wymarszu. Gdy widzieli, że nie zdążą wyrobić się, wówczas nie czekali na wszystkich, lecz wyprowadzali kilkoma grupami. Taki sposób doprowadzania do pracy stosowali w wyjątkowych przypadkach - za mojej bytności tylko raz, zwykle prowadzili naraz wszystkich poza niezbyt licznymi niedobitkami składających się z chorych i różnego rodzaju dekonników. Stan ilościowy sprawdzali przy wyjściu na bramie, stawali tam po dwu strażników po jednej i drugiej stronie kolumny i liczyli każdą przechodzącą czwórkę nanosząc na odpowiednie tabliczki. Przez poczwórne liczenie zabezpieczali się przed popełnieniem pomyłek, ale w praktyce okazywało się, że ta metoda nie była wcale doskonałą. Po dostarczeniu głównej masy skazanych do pracy i uchwyceniu stanów ilościowych ochroną pełniącą dyżur w miejscu zakwaterowania przystępowała do liczenia tych, co pozostali wewnątrz obozu, zatrudnionych w działkach gospodarczych, przebywających w izbie chorych, tych co, pozostali do lekarza, oraz wyłapywali tych, co pozostali celowo lub przypadkowo, wyciągali ich z różnych zakamarków. Ze wszystkich tworzyli grupę i po wyjaśnieniach odstawiali na miejsce pracy po drodze uznanych za winnych g' sto okładając kijami. Ci, co celowo pozostawali i narażali się potem na dotkliwą karę nie zawsze dlatego, aby uchylać się od pracy, bowiem, kto enciaż, mógł obijać się i w miejscu zatrudnienia. Do takiego postępowania skłaniały względy innej natury. Pierwszym powodem była bojaźń przed zimnem, w szczególności podczas długotrwałego wyzekiwania w drodze powrotnej, z tym ściśle się wiązała druga przyczyna natury psychologicznej występująca u muzułmanów - szerzej ten

problem naświetle dalej. Trzecim powodem była chęć dostania się na kuchnię, gdzie istniała szansa dużej wyzerki, tym bardziej, że w kuchni zawsze znalazło się jakieś zajęcie zaś kucharze nieraz potrafili wybronić podpadniętego, iż był im niezbędnym.

O ile rano z podanych przyczyn karę ponosili ci, co zawinili to wieczorem wszyscy oprócz tych, co przebywali na terenie zakwaterowania. Wyglądało to tak: O zmroku kończyła się praca, wszyscy podążali pod główną bramę, gdzie czekała eskorta i tam się ustawiali w czwórkową kolumnę, gdy była z grubsza gotowa, eskorta przystępowała do wstępnego liczenia, jednak nie spieszyli się tak, jak rano. Sprawdzali dokładnie i obojętnie ilu zabrakło: jednego czy dziesięciu trzymali tak długo wszystkich, dopóki nie odnaleziono zaginionego.

Dobrze powiedzieć odszukać, ale wykonać takie zadanie nie było wcale sprawą prostą. ~~Wielki~~ Rozległy teren zryty, zastawiony: maszynami, różnym sprzętem i urządzeniami, wzniesionymi dużymi obiektami, wagonami i materiałami budowlannymi, zgoła wszystkim tym, co bywa na wielkich budowach. W tym wszystkim trzeba było szukać dosłownie bez przenośni igły w stogu siana, do tego prawie w ciemnościach, aczkolwiek teren był oświetlony częściowo, lecz nie na tyle, by wszędzie można było dojrzeć.

Na poszukiwanie udawało się część eskorty oraz ochotni spośród skazanych, do pomocy jeszcze używano psy. Tropili nieraz po kilkunastu godzinach bez żadnego rezultatu, wówczas przystępowano do sprawdzania imiennego. To była procedura przewlekła, polegała na tym, że ustawiano się brygadami i każda brygada sprawdzała kogo brakuje, tym sposobem po zlokalizowaniu miejsca pracy brygady można było w przybliżeniu ustalić rejon w którym delikwent się ukrywał. Ponieważ w kolumnie ustawiano się przypadkowo jak popadło, więc kiedy ustawiono się brygadami z reguły wynikał jeszcze większy bałagan. Wykle po ponownym ustawieniu i podliczeniu więcej

~~byłoby to jednak nie do zaakceptowania~~

brakowało osób niż pierwotnie, bowiem brygadziści nie byli zorientowani ilu jego ludzi udało się na poszukiwanie. W końcu sprawcę wcześniej lub później wyciągano z kryjówki, wówczas ofiarę tłukli czym popadło i kto chciał: strażnicy i więźniowie, zawsze wśród tłumu znaleźli się nadgorliwi, którym sprawiało pr przyjemność znęcania się nad bezbronną istotą. Według krążącej pogłoski, byli to głównie kandydaci na przyszłych strażników. Z reguły ofiara po torturach nie była zdolna poruszać się o własnych siłach, raz nieprzytomna, drugim razem zatłuczona na śmierć. Wówczas współtowarzysze z brygady brali go na nosze i nieśli do obozu, wreszcie nie tylko takiego, co się ukrywał, ponieważ każda brygada miała nosze w pracy, na których wynoszono zasłabniętych podczas pracy, a może jeszcze więcej z tych, co nie wytrzymali wyczekiwania na wymarsz? Mogłoby się wydawać, że stosowane drastyczne represje działały odstraszająco na kandydatów do ukrywania się. Otóż nie podobnego, z tym zjawiskiem miało się do czynienia prawie codziennie. Dla takiego, co raz przeobraził w ucikinię, już żadna kara nie pomogła, gdyż nie zależało od jego woli. Stawało się to skłonnością o podłożu chorobowym, lecz ~~many~~ takich o ograniczonej pomysłowości łatwiej było odnaleźć. Więcej kłopotów sprawiali nowi o oryginalnych koncepcjach kryjówek, którzy ciągle dołączali. Jeszcze gorsze powstawały sytuacje wtedy, kiedy eskorta dostawała kręćka naskutek normalnego niedbactwa tj. wszczynano poszukiwania osoby, którą w dzień zabrali z pracy do obozu, czy gdzie indziej i tego nie odnotowali. W takich wypadkach zanim się wyjaśniło, upływało kilka godzin daremnych poszukiwań, a wypadki pomyłek z winy dozoru wcale nie należały do rzadkości. W sumie pozorowane ucieczki były zmorą wszystkich skazanych, musieli stać na chłodzie i o głodzie, czekając nim się odnalazł zagabiony osobnik. Przez cały okres mego pobytu

nie zdarzyło się, żeby stan się zgadzał, zawsze dochodziło do poszukiwań trwających różny czas, wszystko zależało od przypadku. Należałoby wnieść poprawkę^{że} nasilenie tego zjawiska wiązało się z wrzuceniem do obozu nowego transportu z upływem czasu po zlikwidowaniu nałogowców prawdopodobnie sytuacja ulegała pewnej poprawie. Na ogół trafiano na ukrywających się dość szybko zwłaszczą, jeżeli to był nałogowiec, wówczas znane były ich kryjówki np. wagony, ale co kilka dni pojawiali się nowincjusze, którzy ukrywali się w bardziej pomysłowych i oryginalnych schowkach, wtedy poszukiwania trwały o wiele dłużej.

Takiego bezsensownego ukrywania się nie można traktować, jako próby ucieczek, bowiem nigdy w ten sposób coś takiego podobnego nie wydarzyło. Sprawcy przeważnie wywodzili się spośród muzumanów, niby maniacy, a w rzeczywistości byli na tyle otępiali i pozbawieni rozsądku, że nie zdawali sprawy, co czynią, nie byli zdolni kontrolować swych postępów, wystarczyło aby raz się ukłękł, potem już powtarzał bez wiednie.

O tym wiedzieli wszyscy i brygadziści mieli obowiązek ich pilnowania w pracy, ale jak to w pracy brygadę dzielono na wiele grup do różnych robót i taki osobnik gdzieś niesposprzeżenie ginął, aby tego uniknąć należało stawiać specjalnego opiekuna. Przy sposobności po krótkce nasświetlę, jak przedstawiał się problem ucieczek. Otóż w literaturze ten problem należy do ulubionych tematów, prawie każdy autor poruszający pokrewne zagadnienia obdarza swych bohaterów nieprzeciętnym sprytem i poprzez udane ucieczki wychodzą cało ze wszelkich opresji. W rzeczywistości te sprawy nie wyglądają tak pomyślnie, przynajmniej w Radzieckich zakładach karnych. Na podstawie wyniesionych obserwacji śmiem twierdzić, że ucieczka z więzienia nie miała żadnych szans powodzenia, chyba że władzom więziennym zależało na jej sfingowaniu.

Jeśli chodzi o obozy pracy to mam w nich dochodziło do udanych ucieczek, lecz nielicznych, łatwiej ją było zorganizować w miejscu pracy niż w samym obozie. Podczas mego pobytu w obozach zetknę-
-łem się z kilkoma udanymi ucieczkami. Pierwsza rozegrała się na-
naszych oczach w dniu naszego przybycia. Z naszego transportu
nie długo po przekroczeniu bramy obozowej, jeden ze skazanych
przyłączył się do wychodzącej z obozu grupy robotników cywilnych
z miasta i z nimi normalnie wyszedł. Jak do tego przeoczenia
dopuszczono nie mam pojęcia? Może wśród wychodzących robotników
spotkał znajomego, który mu dopomógł, aczkolwiek my te zajście
obserwowaliśmy i nie było widać, aby ktokolwiek udzielał pomocy.
Prawdopodobnie uciekiniera uratowało opanowanie i spokój, szedł
zwykłym krokiem trzymając się blisko wychodzącej grupy, a najwa-
-żniejsze jeszcze nie zdążył upodobnić do starych łagrowiczów.
W przeciwnym razie zostałby rozpoznany z daleka. Do tego
wartownik nie dopełnił swoich obowiązków, bo albo nie policzył
wychodzących robotników, albo policzył i nie sprawdził ze spi-
-sem ilu zostało wpuszczonych na teren obozu, ponadto niedokładnie
sprawdzał przepustki lub wcale ich nie kontrolował.
W każdym razie więzień wyszedł i ochrona o tym fakcie niczy
nie wiedziała, gdyby uciekiniera nie zawiódły nerwy, bowiem kiedy
on się znalazł w pobliżu lasu na wzgórzu odłączył od robotników
i biegiem skrył się w nim, ~~czymś~~ podejrzane zachowanie
zauważył strażnik z wieży i wszczął alarm. Natychmiast za uciki-
-nierzem zorganizowali pościg, lecz powrócili z niczym.
Drugi wypadek miał podobny charakter, polegający na niedopatrze-
-niu, a zdarzyło się w obozie w Wołkowysku. Tam poprowadzono
nas do łaźni, która znajdowała się w sektorze nie zamieszkałym
i nie strzonym, chociaż była otoczona drutami. Strażnicy, którzy
nas przyprowadzili, pilnowali łaźni od strony podwórza, natomiast

nie zwracali uwagi, co się działo z tyłu. Tam w międzyczasie jeden ze skazanych wyszedł oknem i zakrywany przez budynek do-
-żał przedrzeć się przez zasieki i tym sposobem wyostał na wolność. Ochrona o zaistniałym fakcie dowiedziała się po wyjściu wszystkich z kaźni, podczas sprawdzania stanów, dopiero wówczas okazało się, że jedna osoba wyparowała w kaźni. O ~~marzniu~~ ^{ubytku} natych-
-miast strażnicy zawiadomili obóz, skąd został wysłany na poszu-
-kiwania zbiega patrol, który po dłuższym czasie powrócił z niczym.
Osobiście byłem wtedy w kaźni, ale ucieczki nie widziałem, zaś naoczni świadkowie milczeli, dopóki nie powróciliśmy do obozu i sprawa nieco przycichła, dopiero wówczas opowiadali jak było na-
-prawdę. Odmienny charakter miała ucieczka z miejsca pracy w Mińsku. Opawiano, że na kilka dni przed naszym przybyciem uciekł jeden osobnik z terenu fabrycznego w następujący sposób:
Na jednej z wjazdowych bram stał strażnik, który kontrolował przyjeżdżające i wyjeżdżające pojazdy, zaś w pobliżu bramy pracowało kilku więźniów. Jeden z nich wykorzystał odpowiedni moment, gdy strażnik po sprawdzeniu samochodu zezwolił kierowcy na wyjazd, wtedy został uderzony prętem w głowę, po ogłuszeniu sprawca zdążył wskoczyć na skrzynie samochodu i odjechać nie zauważony z wieży strażniczej.
Z wymienionymi przypadkami ucieczki prawie zetknąłem się osobiście natomiast o pozostałych dowiedziałem się z komunikatu, jaki podały władze obozowe w formie ostrzegawczej.
Wjosią 1948 roku na jednym z apeli został odczytany komunikat przez oficera wyższej rangi, skierowany do skazanych, w którym zawiadamiano, że udaremniono próby ucieczki w kilku obozach a nich sprawców surowo ukarano. Mowa była o obozie w Bobrujsku, gdzie wykryto podkop prowadzony przez grupę Polaków liczącą 20 osób, z innego obozu podawali, że uciekło w zorganizowanej grupie

pięć osób i wszyscy wkrótce zostali złapani. Z kolei z obozu w Krasnym Uroczyszczu podawali imiennie tego, co zbiegł i, że został złapany w Wilnie. Tak się złożyło, że tego osobnika znałem osobiście, ponieważ przebywaliśmy przez kilka dni razem w karcerze. Pamiętam, że należał do nietuzinkowych, nieugiętych charakterów, do kacetu trafił za próbę ucieczki i zapowiadał, iż jak nie wcześniej to później zbiegnie z obozu. Jego słowom nie wierzyłem, gdyż znajdował się w stanie na granicy muzukmanina-ucikiszra nałogowca. Pochodził z Wilna był synem cukiernika, siedział już chyba trzeci rok za działalność akowską. Znając jego postawę nie bardzo wierzyłem oficjalnej treści komunikatu, że zbiegł do tego nie miałem wątpliwości, jak się okazało był słownym, natomiast sceptycznie zapatrywałem na to, iż dał się ponownie złapać. Gdy jest mowa o ucieczkach, warto pamiętać o jednym, że do takiego przedsięwzięcia potrzeba oprócz odwagi, sprytu i inicjatywy spory zasób sił i energii. Osobnicy wyczerpani fizycznie pod tym względem przestają być groźni, nie są zdolni do podjęcia tego rodzaju ryzyka, sprawa wygląda podobnie jak ze starcami. Wobec tych kategorii ludzi ochrona nie musiała zachowywać specjalnej czujności. Wreszcie jeżeli nawet nadarzyły się wyjątkowo sprzyjające okoliczności i taki osobnik zdołał zbiec, to swym wyglądem zdradzał, skąd pochodził i dlatego miał znikome szanse zatarcia za sobą śladów.

O b o z o w y w i k t

Obozowe wyżywienie trochę się różniło od więziennego nie tyle pod względem jakości czy kaloryczności, co jego podziału. Z punktu prawie tych samych racji żywnościowych usiłowali wydusić wysiłek fizyczny i pod tym kątem różnicowano przydział. I taki przydział chleba był uzależniony od wyrobionej normy, ci, co w pracy nie wykonywali normy otrzymywali 400g chleba

dziennie, było to bezwzględne minimum. Osobom zatrudnionym na dniówkę, konkretnie na terenie obozu, w dziale gospodarczym przysługiwało 600g chleba, tak jak w więzieniu. Dla produkcyjnych co przekraczali normy w stosunku do wykonywanych procentów otrzymywali dodatek w 100g przyrostach. Brygadziści przy pobieraniu chleba wiedzieli, komu przysługuje i jakiej wielkości dodatek. Samo naliczanie dodatku i ustalania norm było sprawą skomplikowaną i aby, to zrozumieć wymagałoby odrębnych studiów. Zupę i cukier wydawano wszystkim w jednakowej ilości niezależnie od wykonywanej pracy. Zupy należało się półtora litra dziennie, czyli o 0,75 litra więcej niż w więzieniu, zaś cukru pudełko od zapacek na dwie osoby. Jadłospis obozowy na wymienionych potrawach kończył się. Urozmaicenie jadłospisu jedynie sprowadzało do zup, w których można było znaleźć raz więcej ziemniaków, drugim buraków lub brukwi, ugotowanej na kościach albo suszonej rybie. Za to kucharzy w zakładach karnych posiadali najwyższej klasy. Przez okres pobytu nie miałem przypadku aby podano jedzenie niesmaczne, również nie słyszałem, aby ktokolwiek narzekał, potrafili dogodzić wszystkim kilku tysiącom ludzi, co jest bardzo wielką sztuką, dziś nie do wyobrażenia.

W literaturze nieraz zetknąłem się z narzekaniami na brukiew i koninę, czym karmiono w niemieckich obozach, natomiast w radzieckich wszystko było dobre, co tylko dawało się zjeść. Brukiemw była na równi traktowana z ziemniakami i nikt z tego powodu nie wybrzydzał.

Posiłki wydawano dwa razy dziennie. Rano na śniadanie chleb i 0,75 litra zupy. Faktycznie to chleb był przywieszany na obiad, jeśli oczywiście ktoś posiadał silną wolę i zdołał do tej pory utrzymać. Wieczorem na kolację przysługiwało 0,75 litra zupy i ta ilość zastępowała razem obiad i kolację. Ustalone pory

pory wydawania posiłków były dostosowane do rozkładu dnia pracy, stąd obiad został zlikwidowany, bowiem jego wydawanie kolidowało -by z pracą. W ostateczności takie ustawienie nie miało większego znaczenia, gdyż taką ilość produktów można było wydawać i na raz i tak niktby się nie przejadł, bo jak wiadomo, od samego dzielenia nic nie przybywa.

Na podstawie przedstawionych danych każdy może wyobrazić skutki tamtego wyżywienia. Nie trzeba być wielkim znawcą spraw związanych z wyżywieniem, umieć przeliczać artykuły spożywcze na kalorie by dojść do wniosku, że dzienne racje najwyżej wystarczały na pokrycia utraconego ciepła przez organizm, nie mówiąc o podtrzymaniu życia i energii potrzebnej na wysiłek fizyczny. Przytym należy zdawać sprawę, iż organizm był wystawiony powyżej 12 godzin dziennie na działanie atmosferyczne przy minusowych temperaturach, do tego byle jaka odzież nie wiele chroniła przed uratą ciepła. Ba, bez względu na panujące warunki z natura nie można było dojść do porozumienia, wytłumaczyć by organizm na tamten ciężki czas wyłączył się czy uśpił, on twardo domagał się swego niezbędnego minimum, jedynie odmawiał posłuszeństwa w pracy, natomiast pozostałe procesy życiowe musiały funkcjonować. A jak wiadomo, przyroda nie uznaje perpetuum mobile, stąd straty energii trzeba było czymś uzupełniać, tymczasem nie było czym. Rodzi się pytanie, jak można było w tamtych warunkach żyć? Otóż nie było to życie, lecz wegetacja, a po drugie nie można, ale trzeba było. Przetrwali ci, co mieli większe rezerwy w ciele w postaci tłuszczu lub otrzymywali pomoc z zewnątrz, oraz ci co mieli lżejszą w zamkniętych pomieszczeniach pracę. Dla pozostałych w obozach pracy nie było miejsca, był on krótkotrwałą przystanią, w wędrówce w zaświaty, tam wyznaczone było szczęście w myśl zasady "dopóki z bogatego puch, to z biednego duch".

Prawda była taka, że ludzie gaśli w oczach, usychali na pniu. Po tygodniu ~~transportu~~ z transportu z więzienia jedni drugich nie poznawali siebie. Jakże wydaje się śmiesznym, gdy dziś tyle się rozprawia na temat kuracji odchudzających. Fachowcy z tej dziedziny zalecają do stosowania co raz nowsze cudowne środki i wymyślne diety, które zwykle w działaniu zawodzą. Dla tych wszystkich co pragną utrzymać prawidłową sylwetkę, udzielam niezawodnej rady, wystarczy dostosować się do diety obozowej i prowadzić tamten tryb życia, a linia wówczas napewno będzie wysmukła. Jeśli na takim wicie wytrzyma się miesiąc, już figura będzie nie do poznania.

Skąd inąd mogłoby się wydawać, że w obozach wszyscy sobie byli równi, bo niby nie pozostawało nic do równania w globalnej nędzy. Taki pogląd jest z gruntu mylny, bowiem występował tam wyraźny podział na arystokrację, pospólstwo i lumpenproletariat. Jedni jak na panujące tam warunki mieli wszystko, a inni nic. Ten co pełnił odpowiednią funkcję lub otrzymywał bogate paczki miał chody i poważanie, mógł dostać lepszą pracę, przy której niemu był narażony na chłód i normę mu było łatwiej wyrobić i co się z tym wiązało dostać dodatkową porcję chleba, stać go było i na lepszą odzież i porządne naczynie, z nim się liczył personel obozowy, bo mógł przynim pożywić i swym wyglądem nie odstraszał ludzi. Takich osobników zaliczali jeszcze do gatunku ludzkiego i z reguły zajmowali stosowną pozycję, natomiast jaki był pożytek z tych warstw, które były zaliczane do kategorii muzułmanów, nikomu oni nie byli potrzebni, do pracy nie badawali się, do ozdoby również, jedynie marnowali skromne zasoby żywności, przyczem przysparzali kłopoty innym, nic nie mieli i nic nie dawali z siebie. Dzieliła ich od lepiej sytuowanych większa różnica niż na wolności żebraka od milionera, bowiem materialny

komfort milionera nie zagraża życiu żebraka, natomiast muzulmanⁱⁿ był skazany na zagładę bez jakiegokolwiek wyjścia.

Prawda jest taka, że nadaremnie się poszukuje sprawidliwości i równości tych wartości nie było i nie będzie, trzeba być zadowolonym, kiedy ich siła oddziaływania mieści się w granicach zdrowego rozsądku. Te wartości tylko w dwu wypadkach są obiektywne tj w momencie przyjscia na świat i przy zgonie. Rodzą się wszyscy równi, bo nago, a kto się urodził to i umrzeć musi bez względu na stan posiadania, zajmowanego stanowiska w hierarchii społecznej lub z powodu innych uprzywiljowań.

Przedstawiłem w krótkim zarysie położenie dwu skrajnych warstw, teraz kolej na scharakteryzowanie środkowej tj. tych, którzy trafili do obozu w pełni sił, ale byli zdani wyłącznie na wikt obozowy. Gro z nich od razu byli nominalnymi kandydatami na przyszłych muzulmanów, wszystko zależało od szczęścia, jak potrafili urządzić się, ale to dotyczyło jednostek a nie głównej masy. Konkretnie dotyczyło przydziału pracy. Jeżeli ktoś był dobrym poszukiwanym fachowcem w danej chwili albo przez przypadek trafił do lepszej pracy, wówczas mógł liczyć na przetrzymanie wyroku. Weźmy taki przykład: kiedy przybył nasz transport dyrekcja budowy na gwałt potrzebowała elektrycznych spawaczy, gdyż wznoszono stalowe konstrukcje przy powstającej elektrowni i nie mieli wystarczającej ilości tej specjalności fachowców. Spośród nawo przybyłych zgłosiły się do tej pracy trzy osoby, ich od razu zaopatrzone w ciepłą odzież, przydział chleba zwiększono do 800g, poza tym obiecali, że jeśli będą w zadawalającym stopniu wywiązywać z pracy rację chleba podniosą do 1200g. Zatrudnili jeszcze kilku spawaczy z miasta w tym dwie kobiety i kilku jeńców niemieckich. W ten sposób powstała specjalistyczna grupa robocza, wcale nie nosząca oznak skazanych. W czasie obserwacji ich pracy

nie mogłem wyjść z podziwu dla kobiet, które spawały na dużych wysokościach i do tego mam częstokroć w pozycji wiszącej przy kilkustopniowym mrozie. Zatem los się uśmiechnął dla trzech osób, zaś resztę 200-300 skierowano do robót ciężkich, ziemno-betonowych. Jeśli się nawet przyjmie, że niektórzy mieli siłę i chęć do pracy, to przy takim wyżywieniu szybko doprowadzali organizm do ruiny, ponieważ energia dostarczana z posiłkami nie równoważyła ubytków, ponadto z wykonaniem normy nie była taka sprawa prosta, bowiem przy większych robotach rozliczano pracę grupowo, a nie pojedynczo. W skład grupy prawie zawsze wchodziło kilku muzułmanów niezdolnych do wysiłku i do pracy, za nich też należało wyrobić normę, żeby wyjść na swoje, ponadto w grupie nie wszyscy rwali się do pracy, no i samo rozliczenie robót pozostawiało wiele do życzenia. W sumie ten dodatkowy kawałek chleba miał smak gorzki i bardzo drogo kosztował, stąd ten, co był gorliwy, do pracy, szybciej dochodził do staru muzułmańskiego, niż taki, co ^{do} nałożonych obowiązków podchodził z wyrachowaniem.

P o j ę c i e m u z u ł m a n i n a

Czas najważniejszy wyjaśnić określenie muzułmanin, gdyż dotąd często nadużywałem ten wyraz bez wyjaśnienia, tymczasem mogła zrodzić się wątpliwość o kogo chodzi? W wielkim uproszczeniu tym mianem określało się kategorię ludzi, stojącą na pograniczu ^{myślowy} żywych a umarłych. Wyraz przyjął się w języku polskim z żargonu w obozach niemieckich. Jego pochodzenie i sens jest mnie zupełnie obcy. W obozach radzieckich używano słowa "dochadaha", które wierniej określa taki stan, co można przetłumaczyć jako "wykończony, znajdującym się w stanie agonijnym", natomiast w urzędowym języku lekarskim zwano wtedy dystrofią, ponieważ tego słowa nie znalazłem w słowniku wyrazów obcych, dlatego muszę się przyznać, że nie znam ani pochodzenia ani znaczenia tego wyrazu,

Radzieccy medycy dzielili dystrofików na trzy stopnie, w zależności od zmian zaszytych w organizmie/ tu również nie pamiętam, który stopień był groźniejszy, pierwszy czy trzeci/ Do pierwszego stopnia zaliczano tych, u których wystąpiły daleko posunięte zmiany morfologiczne, polegające na ogólnym wychudzeniu. Do drugiego stopnia zaliczało się tych, u których prawie znikła tkanka tłuszczowa i częściowo mięśniowa oraz wystąpiły /nie zawsze/ objawy opuchlizny głodowej jako niebezpieczny ostrzegawczy znak, poza tym występowały pewne zmiany w układzie nerwowym, wyrażające się ogólnym otępieniem i spowolnieniem ruchów.

Przy trzecim stopniu nie zachodziły procesy trawienne, przyjęty pokarm samoczynnie przepływał nie zatrzymywany przez żołądek i jelita. Taki osobnik nie mógł siedzieć na twardym podłożu, ponieważ wyschnięta skóra nie chroniła okostnej, w rezultacie każdy ucisk sprawiał dotkliwy ból. Osoby z objawami trzeciego stopnia były nieuleczalne i po dłuższej lub krótszej agonii umierały. Oczywiście, w codziennym życiu obozowym nikt ich nie klasyfikował, zaliczano do muzułmanów wszystkich tych, którzy się różnili od normalnych ludzi wyglądem, zachowaniem i usposobieniem. Aczkolwiek w wydawaniu ocen uogólniających należało zachowywać ostrożność bowiem jak w każdej zbiorowości tak i w tej niektórzy znacznie odbiegali od obowiązujących wzorców, tym niemniej wyróżniali się z otoczenia szeregiem cech wspólnych mniej lub więcej wyraźnych. Ta sama osoba zmieniała się pod względem duchowym i zachowania, nie mówiąc o cielesnym, gdy stawała się muzułmaninem, chociażby z tych przyczyn była to już inna kategoria ludzi. Wobec powyższego postaram się po krótko scharakteryzować ich osobowość. Jedną z oznak polegała na tym, że wykazywali skłonność do unikania ludzi, ponieważ z konieczności

skazani byli na przebywanie w tłumie i musieli obcować z
liczną rzeszą, więc zamykali w sobie i całymi dniami nie odzywali^{się} do innych, jednocześnie uciekali przed istniejącą rzeczywistością^o,
szukając miejsc odosobnienia, różnego rodzaju kryjówek w spokoj-
niejszych zakątkach i tam zaszywali^{się}, popadając w stan odrętwie-
nia, dopiero odcięci od otaczającego świata, czuli się bezpiecz-
nie. Te dość dziwne zachowanie wynikało nie tylko z awersji
do otoczenia, lecz wpływały i inne bodźce chociażby zastraszenie
/zimnem itp./ objawiała się reakcja podobna do tej, która się
powszechnie spotyka w świecie zwierzęcym, wyrażające się tym, że
zwierzę zastraszone lub kończące żywot również poszukuje
miejsc zacisznych. Wprawdzie nie wszyscy muzułmanie wykazywali
~~podobnie~~ wyraźnie tego typu objawy, ale skłonności w tym kierunku
raczej wszyscy. Wystarczyło by raz spróbował ukrywać się, już
potem czynił to stale bez względu na charakter represji.
Inna ich cecha rozpoznawcza polegała na ograniczonej reakcji
na bodźce zewnętrzne. Ruchy mieli wolniejsze, co bezpośrednio
wiązało się z utratą sił, ale gdy do nich się zwracało słownie,
również reagowali z opóźnieniem, poza tym byli mniej czuli na
ból^N, wyniku czego na bicie ~~nim~~ prawie nie reagowali, nawet nie
próbowali bronić^{się}. Chociaż byli osowiali i ośpiali, mimo wszys-
-stko wykazywali wzmogoną pobudliwość, co objawiało się w
swarach i utarczkach między sobą. Takie ich utarczki ręczne czy
słowne dla obserwatorów były pocieszne, wyglądały jakby ze sobą
ścierały^{się} dwa cienie, powolnymi ruchami zamierzali się na siebie
zaś po zetknięciu jeden lub oba padali, gdy podnosili się na
nogi rozpoczynali wzajemne słowne wygrażania w postaci, że
zetrze przeciwnika na proch, zrobi placek itp. przechwałki
pozostające w rażącej dysproporcji w stosunku do siły fizycznej,
Nigdy nie było wypadku, aby walczące strony zrobiły sobie krzyw-
-dę

natomiast dostarczały wysoko ocenianego widowiska przez widzów, O ile ich szarpanina dostarczała rozrywki, za to było upokarzającym oglądanie, kiedy grzebali w latrynach, wybierali z fekalii wyrzucane odpady z kucmami, następnie je płukali i tym się dożywiali.

Rzecz waskamująca, jak w ciężkich warunkach wysoko jest cenione życie, przecież muzułmanie dobrze zdawali sprawę, iż dni ich były policzone, a mimo wszystko nie było wypadku, aby przez samobójstwo skracali męczarnie, i nie tylko wśród nich, ale w ogóle nie słyszałem w obozach w ,których przebywałem o takim zdarzeniu. Również zdrowotność a raczej odporność na choroby w obozach była zadziwiająca--czy można sobie wyobrazić, aby na 20^o stopniowym mrozie przetrzymywać półnagich ludzi przez kilka godzin i nie pociągało za sobą widocznych chorobowych następstw takich, jak grypa, zapalenie płuc czy poważniejszymi przeziębieniami kończących się zgonem. Umierano prawie wyłącznie z głodu i wycieńczenia, tylko w sporadycznych przypadkach z przyczyn chorobowych, o czym było cicho. Gdyby dzisiejszych ludzi wyróżnionych w dobrobycie postawić na jeden taki apel, który w obozach odbywał się codziennie bez wątplenia na drugi dzień większość nie stanęłoby na nogi, leżałoby pokotem z różnymi ciężkimi komplikacjami chorobowymi.

Nasuwą się pytanie po jakim czasie przebywania w warunkach głodowych stawało się muzułmaninem? Jednoznacznej odpowiedzi nie można udzielić, bowiem składało się na to wiele przyczyn, jak początkowa kondycja, wiek, płeć, odporności indywidualnej oraz stopnia ciężkości warunków, ale występowała pewna prawidłowość a mianowicie: najbardziej były odporne kobiety i mężczyźni w podeszłym wieku, a najmniej dzieci i młodzież. Sam znalazłem się w takim stanie po 4-5 miesiącach. Spotykałem mężczyzn, którzy

ulegli wyciepleniu po dwu latach, lecz najwięcej około roku. W jednym z obozów młodzieżowych z powodu dystrofii śmiertelność wśród młodzieży 8-14 lat była szczególnie wysoka i nie nie pomogły podjęte za późno środki zaradcze. Oczywiście, że na muzułmanizm najbardziej byli narażeni ci, co nie otrzymywali z domu pomocy. Prym wiodły osoby pochodzące spoza granic ZSRR, więc Niemcy, Polacy z obecnych granic i inni. W tym miejscu jest mowa nie o jeńcach wojennych, którym za wielką krzywdę się nie działo bo mieli zapewnione całkiem znośne warunki, lepsze niż ludność radziecka na wolności, zwłaszcza gdy byli zatrudnieni na wielkich budowach, natomiast mieli gorzej przy odbudowie zniszczonych miast. Mówię o cywilach niemieckich oraz byłych jeńców wojennych, którzy za różne przewinienia popełnionych w obozach jeńческих zostali przerwuceni do obozów radzieckich, tym samym pozbawiono ich przywilejów przysługujących jeńcom. Przepuszczam, że z tych ludzi nie doczekają się powrotu do W Vaterlandu.

Z obcych w naszym obozie przebywał jeden Słowak już skończony muzułmanin. Do obozu trafił przypadkowo przez wielką miłość. Na robotach w Nienczech zapłonął wielką miłością do Rosjanki. Po zakończeniu wojny razem z nią wyjechał do ZSRR, gdy zetknął się z trudnymi warunkami życia, miłość oziębła i wówczas postanowił wrócić do swego kraju, na granicy go zatrzymano i po skazaniu wysłano do obozu. Z powyższego zdarzenia wynika morał, że granica ZSRR funkcjonowała na zasadzie pułapki, można było ją stosunkowo łatwiej przekroczyć, ale z wycofaniem było gorzej. Liczną grupę stanowili Polacy pochodzący z dzisiejszych granic Polski, trafiali oni do obozów za stawianie oporów Władzy Ludowej. Rodacy jak nie mogli poradzić z uświadomieniem sami, wówczas wysyłali w celach edukacyjnych i garbawania skóry do Związku Radzieckiego. W sumie obcokrajowców nie było wielu i chociaż byli oni prawie wszyscy muzułmanami, to stanowili

nieduży odsetek całości. Najwięcej muzułmanów rekrutowało^{sip} z narodów radzieckich z obrębu granic przedwojennych, stanowili oni co najmniej 90%. Brało się to stąd, iż na całym tamtym obszarze panowała niesamowita nędza, do tego dołączyły zniszczenia wojenne i rozbicia rodzin. W rezultacie albo nie miał kto, albo nie miał czym pomóc. Taki więzień był skazany na własne siły i zaradność. W najlepszym położeniu byli skazani pochodzący z byłych wschodnich ziem polskich, bez mała wszyscy otrzymywali pomoc od rodzin, poza tym jedni drugich wspomagali, tym bardziej, że do obozów przygranicznych z dostarczeniem żywności nie było większych^{ych} problemów, gorzej sprawa wyglądała z tymi, co trafili do obozów położonych w dalekich stronach, w takich wypadkach pomoc rodziny była prawie niemożliwa i ograniczała się do kilku paczek w ciągu roku.

Jeśli chodzi o śmiertelność w obozach, to była ona duża, samo ma takie stwierdzenie jest rzeczą względną, natomiast do ewidencji nikt nie miał dostępu, z kolei ci, co do niej mieli nie mogli udostępnić. Dane, co działo się w radzieckich obozach, nie ujrzały^y światła dziennego i chyba nie ujrzą, stąd nie pozostaje nic innego jak się opierać na ubocznych obserwacjach. Przykładowo każdego w naszym obozie każdego dnia, gdy wracaliśmy z pracy, znoszono na noszach zmarłych lub półżywych od 1-5 osób i przekazywano je do kostnicy albo izby chorych a stamtąd była tylko jedna droga - na niedalekie wzgórze porośnięte laskiem. Do grzebania zmarłych na stałe było wyznaczone dwoje ludzi i parę wołów / nie wiem w jaki sposób one zachowały, dlaczego nie poszły pod nóż na stołówkę / do tego ze specjalną szczelną skrzynią zamykaną na kłódkę, co ciekawcy nie mogli zobaczyć ile wywoziko się trupów. Jeżeli jeszcze się doda tych, co wyzionęli^{li} ducha w ciągu nocy, wówczas licząc ostrożnie umieralność 2-3

osoby średnio na dobę było blisko prawdy. Do tego należałoby
wnieść poprawkę, że był to obóz nowo założony, w którym przeważali
skazani przywiezieni z więzień o lepszej kondycji fizycznej, niż
ci z dłuższym stażem obozowym, poza tym podawano liczby odnoszą
się do warunków atmosferycznych późno jesiennych, a można resztę
wyczerpieć jak bogate miała żniwa kostucha w okresie zimowym
przy takim wyżywieniu i zaopatrzeniu w odzież.
Chociaż ubytki 2-3 osób na przybliżony stan ogólny 2000 ludzi
nie były zastraszające, to w ciągu roku dawano już śmiertelność
rzędu 30-40 procent. Przy ogólnych stanach większych w granicach
kilkudziesięciu tysięcy niezbędne byłoby krematorium i miałyby
co robić tak jak w obozach niemieckich. Na szczęście w końcu
lat czterdziestych położenie skazanych uległa poprawie i
śmiertelność spadła, ale tym wcale nie przywrócono życia dla
zagłodzonych na śmierć w pierwszych latach powojennych i nieste-
-ty niewolniczą pracę jeszcze stosowano przez długie lata.
Na ten wstydlivy problem jest skrajnie ukrywany, pozostałe
ciągle okryty mgłą tajemnicy, nie ma winnych ani odpowiedzialnych
za wyniszczenie własnych obywateli w warunkach polojowych.
Aby te czyny nie wypłynęły na powierzchnię, zastosowano prosty
sposób, polegający na przykryciu zbrodni własnych grubą warstwą
innych spod zbliżonego znaku, wokół których czyni się niekończący
hałas i właśnie tą metodą usiłuje swoje zapchać w zapamiętanie
i zagłuszyć. Mako tego, jak na ironię, kanibale występują w roli
gorliwych obrońców godności ludzkiej i szczytnych wartości
humanitarnych, nietety korzystają z tego, że ich ofiary nie
mają głosu, stąd mogą udawać niewinność, ale gdyby one mogły
powstać, wówczas wytoczyłyby bardzo ciężkie oskarżenie pod
adresem oprawców. Tymczasem sprawcy dożywają swoich dni w glorii
chwali i zaszczytów i w najmniejszym stopniu nie pozuwają się
do skruchy.

Do jakich granic był rozbudowany system obozowy w tamtych latach niech świadczą dane z terenu Mińska. W 1947 roku w obrębie Mińska znajdowało się 21 obozów, powtarzam ilość, którą usłyszałem z ust wielu osób mających styczność z tą niechwalebną instytucją, lecz z góry zastrzegam, że mogą występować pewne nieścisłości. Przy podawanych ilościach mogło wystąpić nieporozumienie wynikające ze sposobu liczenia. Na przykład w Krasnym Uroczyszczu w zależności od sposobu liczenia można było przyjąć, że istniały dwa, trzy lub cztery i każdą podaną liczbę ocenić jako poprawną. W celu wyeliminowania podobnych nieporozumień podam tylko większe obozy, które istniały na pewno, nie wdając się w bliższe szczegóły. Otóż niezależnie od tego, jak były liczone na pewno znajdowały się obozy pracy po jednym lub kilka przy następujących zakładach: Największy i najwcześniej zorganizowany na Apańskiej przy wznoszonej fabryce traktorów, przekraczający 10000 ludzi, drugi przy cegielni, trzeci przy powstającej fabryce rowerów, kilka przy odbudowie i rozbudowie miasta oraz nasz na Krasnym Uroczyszczu przy fabryce samochodów, zaś co do innych nie potrafię wymienić lokalizacji.

O b o z o w e z y c i e

Na drugi dzień po przybeciu zaprowadzono nas na teren fabryczny, gdzie wyczekiwali personel techniczny w celu wyłuskania potrzebnych im fachowców. Selekcję dokonywali nie na podstawie akt, lecz według tego, jaki się podawało zawód, nie wnikając zmyślony czy prawdziwy. Ustawiono nas brygadami następnie podchodzili funkcjonariusze fabryczni, brali od brygadzisty listę, odczytywali po kolei nazwiska i wpisywali podawany zawód. Z przeprowadzonego sondażu okazało się, że wśród nowych przybyłych byli sami piekarze i kucharze, te dwa zawody stanowiły co najmniej 80% całości. Takiej gromady kucharzy i piekarzy w

zyciu niespotkałem, gdyby mieli z czego gotować i piec, dopiero urządziliby postę. Tym fenomenem zostarem oleniomy, dopiero zrozumiałe skąd się brały kłopoty a prowizoryjne jakże można było być normalnie żyć w społeczeństwie, w którym wszyscy chcieli zreć a nikt twórczo pracować. Zanik zdążyli wyczytać moje nazwisko już jako jednostka z wyższym stopniem świadomości, że tamte dwa zawody były spalone, więc w odróżnieniu na chybił trafił podałem zawód szewca i z niecierpliwością wysekiewałem, aby nie wytworzył się tłok wokół tej profesji, zawsze w razie powodzenia było przyjemniej spędzić zimą na ciepłym zapleczu.

Reprezentantów innych rzeczowych zawodów było mało, tylko kilka-dziesiąt osób. Nie długo sądzono nam się cieszyć łatwo zdobytymi i nie najgorszymi fachami, tylko do momentu zakończenia wstępnego rozpoznania, ponieważ funkcjonariusze fabryczni po skończeniu pierwszej czynności szybko i sprawnie w przeciągu kilku minut potrafili nas przekwalifikować i tym sposobem nikt nie został bez przydziału pracy. Najpierw jednak wybrali zawody branży metalowej, ich odprowadzili na hale fabryczne, zaś pozostałe wszystkie zawody połączyli razem i dokonali ponownego podziału na brygady. W następnych dniach część metalowców wróciła spowrotem, gdyż nie sprawdzili się w swoim fachu.

Organizacja i reorganizacja minimalnym, maksymalnym, niezgodnym, niespójnym, niezgodnym, niezgodnym zajęła sporo czasu i już w tym samym dniu nie przydzielono nam pracy, wolny czas przeznaczaliśmy na zwiedzanie terenu budowy i tak bezczynnie dzień zleciał w sumie nie najgorzej. Na drugi dzień od samego rana naszą brygadę w całości skierowano do rozładunków wagonów z cementem.

Po otwarciu wagonu ku memu zdziwieniu okazało się, że cement przysłano z cementowni w Rosi, chociaż nie łączęły mnie z nią miłe wspomnienia, ale zawsze przy tej okazji odświeżyłem niedawne, ciężkie przeżycia, o których już zdążyłem zapomnieć.

Wagony stały nie przy rampie, wobec czego aby sprawić można było rozładowywać dwu ludzi weszko do środka i podawała worki a pozostali odnosili na plecach dalej i układali je na przyczepę. Kiedy przyszła kolej i podano mi worek wzięłem go na plecy i ruszyłem, zanim się zorientowałem, od razu ściekała mi z nóg. Nogi w kolnierzach ugięły się i upadłem na nos pod wagon na tory, worek podczas upadku o coś się zawadził rozzerwał i przycypał mnie cementem. Zawstydzony niedoświadczeniem, jak mogłem naizywy boleć wygrzebałem i kiedy wstałem przygotowany na kpiny ze zdziwieniem spostrzegłem, że wszyscy patrzyli w moją stronę, ale nikt się nie śmiał z tego co mnie przydarzyło. Dopiero wówczas uświadomiłem, co było przyczyną upadku, bo w pierwszej chwili myślałem, że niefortunnie stanęłem czy nogi o coś zaplatały się, nigdy nie przypuszczałem, iż nie byłem już zdolny na plecach na równej płaszczyźnie udźwignąć worek 50kg, przecież kilka miesięcy wcześniej nosiłem po schodach na górę worki 80kg i nie miałem z nimi żadnych problemów. Wprawdzie już zdawałem sprawę, iż byłem wyczerpany i straciłem siły, ale nie miałem gdzie przedtem tego sprawdzić, aczkolwiek już podczas marszu ze stacji w Mińsku pozostawałem w tyle, lecz tanto kładłem na karb chwilowej niedyspozycji, natomiast nie dopuszczałem takiej myśli, że fizycznie już byłem skołoczony. Niestety jeszcze po upadku nie dowierzałem sobie i postanowiłem drugi raz wypróbować siły, chociaż brygadziści powiedzieli, abym nie brał się do noszenia - jednak uparłem i ponownie ~~przez~~ podszedłem po worek. Na drugim raz brałem po woli, a podający dobrze ocenił, co będzie dalej, gdy spróbowałem udźwignąć nogi ponownie zaczęły związać w spiralę, co widząc podający w porę przytrzymał worek i na tym skończyłem eksperymentować. Wobec tego, co się zdarzyło już bez sprzeciwów wyłączyłem się z pracy i przez dłuższy czas stałem bezczynnie przyglądając, jak pracowali inni. Ponieważ nie mogłem znieść

bezczynności, zwłaszcza, że i ziab dokuczał i czułem się winnym, że za mnie musieli nadrabiać, więc postanowiłem pomóc przy podawaniu worków. Wlazłem do wagonu i spróbowałem podnieść worek z przyszy, na moje próby worek ani drgnął, odniosłem wrażenie, iż był przyklejony do dolnych i nic nie pomogły usilne zmagania, w tym sposobem drugi dzień spędziłem bezproduktywnie.

Na trzeci dzień zostałem skierowany z kilkoma innymi osobami z naszej brygady do nowo zorganizowanej spec grupy składającej się z około 20 osób muzułmanów z kilku brygad z zadaniem rozbijania fundamentów. Jak często się zdarza na socjalistycznych budowach, wzniesiono pewien obiekt nie w tym miejscu, co było trzeba, ściany wcześniej wyburzył kto inny, a nam przypadło rozkruszyć fundament. Śkosiwość martwych przedmiotów bywa nie ograniczona, przypuśćmy radziecki cement: tam, gdzie trzeba, to się kruszy, a gdzie nie trzeba trzymać wyśmienicie, tak było i z wyznaczonym dla nas fundamentem jeszcze jak na złość utrudniał pracę stalowe zbrojenia. Zaoatrzeni w łopaty i kilofy przystąpiliśmy do zdobywania fortecy. Nasze narzędzia na tym diabelskim fundamentie nie pozostawiły najmniejszych śladów, nawet nie zrobiliśmy ani jednej widocznej rysy. Jeszcze w pierwszym dniu wykazywaliśmy jakie takie chęci i próbowaliśmy różnych sposobów, aby go ruszyć, ale co można było poradzić z takimi mocarzami, którzy nie mieli siły podnieść kilofa do góry a przy silniejszym wietrze chwiali na nogach, więc można wyobrazić jaka była siła uderzenia? Szybko wszyscy mieli dość tej sycyfowej pracy i nikt się do niej nie zabierał, najwyżej jak ukazywało się na horyzoncie naczałstwo, zaczęliśmy grzebać.

Jak z powyższego widać dowcipnych wśród kierownictwa na tamtej budowie nie brakowało, wpadli na bardzo mądrą koncepcję, wyglądało na to, że ludzkimi wrakami postanowili ruszyć glob ziemski, lecz funkcjonariusze wyższego rzędu nie dali się

wyprowadzić w pole a do nich należało ostateczne słowo. Wszystkie wskazywało na to, że stworzenie takiej roboczej grupy miało jak najbardziej racjonalne podstawy, brygady uwalniały się od zbędnego ludzkiego balastu przeszkadzającego w pracy, oczyszczeni mogli z całą energią przystąpić do wykonywania planów i przekroczenia norm w celu pozyskania większej pajdy chleba, ale nie przewidzieli jednego, że takie rozwiązanie musiała akceptować wpływowa osoba lub bardzo ważny charakter pracy, zaś w naszym przypadku oba warunki nie były spełnione. W rezultacie macierzyste brygady na naszym wyeliminowaniu nie nie zyskiwały w myśl starej rosyjskiej zasady " jak wpszesz piarom nie wyrubisz i taparom" wielośmy na ewidencji w swoich brygadach i inni zmuszeni byli wykonywać normy za nas. Jeszcze raz okazało się, że cele nadrzędne były ważniejsze od racji oddolnych. Normy chleba średnie ustalone centralnie w Moskwie nie wolno było przekroczyć. Owszem była swoboda wewnętrzna najpierw jednym obciąć a następnie drugim dokończyć zachowując ustalony ogólnie limit. Pracowaliśmy a właściwie warowaliśmy przy tamtym przekłętym fundamencie z rzędu przez kilka dni i żeby to była letnia pora od biedy szłoby wytrzymać, a tak kostniało się z zimna, krótki jesienny dzień przeciągał się w wieczność i nie wiadomo było co z sobą zrobić. Chociaż nie były to jeszcze wielkie mrozy, jednak temperatura utrzymywała się w pobliżu -5 stopni, a nam przeważnie w letnim przyodziewku dokuczają aś zanadto, poza tym wystąpiły pierwsze śnieżyce połączone z zawiejami, zaś w pobliżu nie było zamkniętych budynków, w których można było ogrzać. Z powyższej konieczności ratowaliśmy się przed zimnem przy rozpalonych ogniskach i cała ta rzecz nie byłaby warta wzmianki gdyby nie wstąpiły pewne komplikacje a mianowicie: palone ogniska miały jednego zaciekłego wroga

który je tępił bezopamiętania a ściślej z dziką rozkoszą. Tym osobnikiem ogarniętym manią prześladowczą był pewien major, o nazwisku albo przezwisku Szarłachaniec. Gdzie pracował w pionie fabrycznym czy obozowym i jaką pełnił funkcję oraz za jaki dział odpowiadał nie takie istotne. Z wyglądu liczył powyżej 60.. lat, był szpakowaty, tęgi, średniego wzrostu o sympatycznej powierzchowności, typowy dziadek, nawet można było go określić jako dobroduszny, w każdym razie na zewnątrz przy bezinteresownym spotkaniu nie wykazywał, żadnych oznak, iż miał wypaczony charakter i potrafi postępować poniżej ludzkiej krytyki. Chodził ubrany w wojskowy szynel s dała sprawiać wrażenie jakby przesuwająca kłoda drzewa, w swych wydrówkach po terenie budowy nie rozstawał się z dębową lagą grubości przedramienia, chyba był zadania, że takich rozmiarów groźny kij wśród skazanych budził większy postrach. Oddawał się z pasją tropieniem ognisk i waleniem kołem zastanych przy nich osób. Niestrudzenie przez cały dzień wałęsał się po rozległym terenie w poszukiwaniu ofiar. Miał własną wypracowaną metodę, której ściśle się trzymał, znali ją dobrze wszyscy skazani i ze swej strony czujnie pilnowali się, żeby ~~minim~~ dla niego nie dać zaskoczyć. Jego metoda streszczała w tym, że się skradał pomiędzy rozrzuconym sprzętem i materiałami cicho jak kot i niepostrzeżenie usiłował zbliżyć do ogniska a gdy był blisko, zmienacka wyskakiwał za ukrycia i pierwszego, który nawinął pod ręką uderzał z rozmachem swą lagą. Obaloną ofiarę pozostawiał w spokoju, sam biegł kawałek za innymi uciekającymi, poczym zawracał rozrzucał i gasił ognisko. Po zakończeniu tych czynności przenosił się w następny rejon, gdzie znowu skrywał i czatował na inne ognisko. Udawało się mu zdzielić kijem tylko jednego tego pierwszego, ponieważ był mało ruchliwy, pozostali zdążali

zbiec, nawet najszabsi muzukmani, również gdy go się spostrzegło na czas-z dala nie był groźny i wtedy jego kij nikogo nie dosięgał. Był człowiekiem z zasadami uderzał ofiarę tylko raz, a gdy ona upadła, więcej się nie znęcał, pozostawiał ją w spokoju, ale i tak spod jego ręki wychodziło dostatecznie dużo martwych i półżywych. Między innymi o tych go była mowa wcześniej-^znoszo-^{ny}nych wieczorem na noszach do obozu on bezpośrednio przyczyniał^o do podnoszenia wyników statystycznych na drugim świecie. Chociaż był znanym i wszyscy się go czujnie strzegli, mimo tego nabył takich umiejętności w swoim fachu, że nie było takiego dnia, by nie poturbował kilku osób w jednym rejonie, stale kogoś zaskoczył-zaś rejonów było kilka, prawdopodobnie te udane polowania sprawiały mu największą satysfakcję. Według wszelkich oznak dla takiego ociężałego starszego typu nie powinno się dać zaskoczyć, gdyby miał doczynienia z ludźmi fizycznie normalnymi ale z takimi jak my - zgłodniałymi i skostniałymi oraz wymęczonymi w sumie otępiętymi i mniej spstrzegawczymi, takich osobników było stosunkowo łatwo podejść. Ja również ledwie, ledwie zdołałem przed nim umknąć. Razu pewnego wywiązała się ciekawa rozmowa właśnie na jego temat jak bywa przy ognisku, ci co znali go lepiej dzielili się spostrzeniami a reszta siedziała zasłuchana, raptem ktoś wrzasnął dziko, momentalnie poderwałem na nogi, ale po drugiej stronie ogniska zdążyłem dostrzec jak jeden oberwał za mnie i nas wszystkich, pognałem rąco jak jelenia na wiele starych, kiedy znalazłem w bezpiecznej odległości stanąłem i obejrzałem się do tyłu. O dziwo pierwszą reakcją nie było to co się stało przy ognisku, lecz zadowolenie z siebie, że wyrwałem daleko do przodu postawiając innych w tyle, czyli wśród muzukmanów byłem najlepszym. W tym czasie ofiara leżała nieruchomo na ziemi a oprawca gasił ognisko. W mojej wyobraźni byłem święcie

przekonany, że po zdzieleniu kijem przez takie tęgic chłopiska pogruchotał kości lub od razu uśmiercił, jednak ku ogólnemu zdziwieniu kiedy Szarłachaniec oddalił a my zdliżyliśmy do jego ofiary, ona wstała nie okazując uszczerbku na zdrowiu, na pytanie jak to się stało, że wszedł cało? W kilku słowach objaśnił na czym polegał unik. Twierdził, iż należało właściwie ocenić sytuację i do niej dostosować, jeżeli się widziało, że nie zdarzy przed nim uciec, wówczas lepiej było napastnikowi pchać się w objęcia, aby nie był w stanie uderzyć z rozmachem kołcem kija oraz jak najszybciej pozorować upadek. Jeżeli taki wybieg nie udał się, to wtedy delikwent wracał na noszach do obozu. Pomimo teoretycznego przygotowania, po otrzymaniu pouczającej lekcji razem z pokazem, jak się należało zachować w zetknięciu z pogromcą mimo wszystko na własnej skórze wolałem nie eksperymentować czego i innym nie życzyłem.

Ważną cechą charakterystyczną, że tamte drastyczne metody odstraszenia stosowane przez Szarłachanów nie dawały żadnych efektów i chociaż on się dwoił i troił, ogniska płonęły po całej budowie, jedynie kiedy się on zbliżał, to wokół nich pustoszały i na chwilę gasły. Nie wiem, co było silniejsze zimno czy przekora w każdym razie do represji przyzwyczajono się i traktowano jako coś normalnego a może nawet pobudzała do ryzyka. Z tego i innych przykładów można poszukiwać odpowiedzi na pytanie, skąd się brały skłonności sadystyczne u ludzi? Rozpatrzmy osobowość Szarłachanów, który jak wiadomo skądinąd nie wyglądał na psychopatę, zewnątrz powierzchowność miał nawet nobliwą, natomiast postępował jak typowy zwyrodnialec. Wiele danych wskazuje na to, że oprócz skłonności sadystycznych natury chorobowej czy wrodzonej występuje i nabyta. Na ukształtowanie takich charakterów składają się różnorakie motywy, a wśród nich jeden jest szczególnie niebezpieczny i chyba najczęściej spotykany.

Mam na myśli osobników pozbawionych krytycyzmu, którzy mogą się stać tępymi wykonawcami czyichś rozkazów albo ślepych wykonawcami narzuconej ideologii lub ukształtują własne wzorce i ściśle według nich postępują, przy tym są na tyle wiernymi wyznawcami własnych poglądów i zasad, że z czasem przestają zwracać uwagę na elementy humanitarne. Aczkolwiek skądinąd tacy ludzie odznaczają się wieloma zaletami, mogą być dobrymi przywódcami, organizatorami, cenionymi zdyscyplinowanymi pracownikami, ale zarazem dla otoczenia są niebezpiecznymi osobnikami, bowiem w nieprzewidzianych okolicznościach bez skrupułów mogą zejść na pozycje skrajne, wymawanie tylko swoich racji, skąd już dzieli niedaleki krok do używania wszelkich dostępnych środków, byle dopięć celu. Można sądzić, że na tym tle między innymi rodzi się wielu zbrodniarzy i morderców. Do tej kategorii ludzi można zaliczyć wszelkiego typu skrajnych rewolucjonistów i dyktatorów, natomiast w warunkach pokojowych w nieco łagodniejszej formie różnego rodzaju nadgorliwych służbistów.

Jeszcze raz powróćmy do wymienianego Szarłachańca, może z natury i nie był złym człowiekiem z jednym zastrzeżeniem, chciał za wszelką cenę wywiązać się z nałożonych obowiązków przed swymi zwierzchnikami, ponieważ posiadał duże uprawnienia, więc je wykorzystywał do oporu. Jego zdaniem, gdyby nie tępił ognisk, roboty budowlanne stanęłyby w miejscu, aby temu zapobiec miał dwa wyjścia. Jedno: z tą samą lagą udać się do władz zwierzchnich i im zagrozić, żeby stworzyły znośne warunki pracy dla ludzi tam zatrudnionych. Oczywiście nie zaliczał się do bohaterów i na takie rozwiązanie sprawy zabrakło mu odwagi, wobec tego nie pozostawało mu nic innego jak egzekwować powinności od ludzi mu podległych. Na pewno nie od razu zabrał się za maltretowania, prawdopodobnie najpierw stosował łagodniejsze środki, ponieważ nie wiele one skutkowały, dlatego stopniowo wprowadzał ostrzejsze

i być może sam nie wiedział, kiedy doszedł do szczytu doskonałości. Po drugie ta brudna robota go wciągnęła i zaczęła sprawiać satysfakcję z każdego udanego wypadu, bo w przeciwnym razie nie musiał sam tym się zajmować. Na pewno mu podlegał bezpośrednio jak nie jeden z aparatów, to przynajmniej grupa ludzi. Jednak zapędził się tak daleko, iż podwładnym widocznie nie dowierzał. Uważał, że nie potrafią stanąć na wysokości zadania, dlatego w pojedynkę sam zdążał do wyznaczonego celu. Nota bene inni obozowi funkcjonariusze celowo omijali ogniska, aby nie wchodzić w konflikt z przełożonymi a z drugiej strony nie szarpać się ze skazańcami. Tam jeszcze odgrywał jeden ważny moment, który wypadł uwzględnić. Otóż Szarkachaniec w stanie uspokojonym wyglądał na dostojnego-nobliwego, zrównoważonego dziadka, natomiast podczas swych polowań i wykonywanych egzekucji wpadał w szal niczym byk na arenie, a jak wiadomo, złość nigdy nie bywa sprzymierzeńcem rozsądku.

Tak naprawdę w owych latach śmiertelność w łagrach radzieckich była na tyle wysoka, że nie zachodziła potrzeba gazowania ani w ogóle dokładanie do tego ludzkiej ręki. Chłód i chłód robił swoje bezimiennie i bez rozgłosu.

Wracając do własnych przeżyć, raz jeszcze nawiąże do rozpalanych ognisk, które w życiu obozowym spełniały ważną rolę. W ciągu dnia były jedynym miejscem, gdzie można było ogrzać zziębnięte ciało, dlatego przyciągały nas jak ómy w nocy do światła.

Wystarczyło przez chwilę się ogrzać, by potem drzeć niczym w febrze, z tego powodu działały jak narkotyk, bez którego nie mogliśmy obyć się. W praktyce życie zdecydowanej większości było związane z miejscem pracy. W obozje czas mieliśmy ograniczony i nie wystarczał na zawiązanie bliższych znajomości ani na utrzymywanie kontaktów towarzyskich. Z pracy wracaliśmy późnym wieczorem, więc każdy po spożyciu kolacji biegł do baraku, padał

na pryczę i momentalnie zasypiał, gdyż na sen przypadało mało czasu. Poza tym przez cały dzień przebywania na chłodzie i o głodzie wystarczająco wyczerpowało organizm na tyle, że nie miało się do niczego chęci. Z kolei rano bez przerwy byliśmy nam popędzani, zanim doprowadzili na miejsce pracy. Z powyższych względów dopiero w pracy można było sobie nieco pofolgować i rozejrzeć się za towarzystwem. Oczywiście do niewolniczej pracy poza nielicznymi wyjątkami pozostali za wiele nie przykładali się, stąd odznaczała się ona małą wydajnością. Jedynie skazani pochodzący z byłych ziem polskich pracowali uczciwiej i dzięki nim roboty posuwały się do przodu, ponieważ faktycznie tylko oni posiadali siłę, dlatego, że byli zaopatrywani przez rodziny w jedzenie i odzież.

Techniczny nadzór nad prowadzonymi robotami był dublowany przez jeńców niemieckich, poczynając od góry do dołu. Inżynierom radzieckim towarzyszyli specjaliści niemieccy, chodzili częstokroć pod rękę po placu budowy i wspólnie uzgadniali, co i w jaki sposób miało być wykonane. Przy wszystkich prowadzonych pracach w nadzorze występował Niemcy, pilnowali oni, aby prace były wykonywane zgodnie z projektem, kiedy stwierdzili uchybienie meldowali swoim przełożonym, którzy z kolei włączali alarm u czynników radzieckich. Niemiecy nadzorcy bezpośrednio nie zwracali się do skazanych, chociażby dla tego, że nie znali języka, pozatym prawdopodobnie mieli zakazane. Również nie mieli do tego czy się pracowało, czy objęto, pilnowali jedynie tego, do czego byli wyznaczeni. Tak było przy robotach, ziemno-budowlanych natomiast przy instalacji maszyn i urządzeń nadzór i wykonawstwo spoczywały w rękach niemieckich, oczywiście wspomagali ich robotnicy radziecy zarówno skazani jak i wolni, ale to była siła pomocnicza. Łatwo się domyślić, że taka organizacja pracy była

upokarzająca dla niedawnych zwycięzców, niektórzy bardziej porywczy nie mogli takiego układu zmieść i słownie wyrażali swe oburzenie, z kolei innych taka sytuacja bawiła. Faktycznie to niespodziewanie role odwróciły w myśl starego porzekadła "zżapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za żeb trzyma". Tam się rozchodziło nie tylko o sam nadzór, ale i o warunki bytowe, bowiem jeńcy niemieccy mieli o niebo lepsze. Czy uprzywilejowanie było podyktowane międzynarodową konwencją, czy innymi względami nie mogę dać wiążącej odpowiedzi, w każdym bądź razie Niemców traktowano o wiele lepiej. Nie wnikając jakie oni mieli ustalone normy dziennego wyżywienia, ale wystarczyło spojrzeć na ich twarze, by wyciągnąć wniosek, że krzywda się im nie działa, najlepszy tego dowód wyrażał się w tym, że muzułmanów u nich nie spotykało się. Jeśli chodzi o odzież to byli zupełnie przyzwoicie ubrani, jednolicie w wojskowe sorty uzupełnione radzieckimi waciakami. ~~Trochę gorzej~~ Niemcy wyglądali zatrudnieni przy odbudowie miasta. Jeńcy wojenni za swą pracę otrzymywali pewne, może i symboliczne wynagrodzenie w gotówce, za którą na terenie obozu mogli zaopatrzyć się w podstawowe niezbędne artykuły w prowadzonych tam kantynach, podobnie całkiem dobrze zaopatrzonych. O tym jak się widło jeńcom niemieckim niech świadczy następujący fakt: Jak już wielokrotnie nadmieniłem na budowie skazani pracowali razem z robotnikami cywilnymi z miasta i z Niemcami. Otóż kto miał pieniądze korzystał z usług robotników cywilnych, którzy dostarczali papierosy, tytoń, zapalki i pozatem więcej nic. Natomiast ci, co znali język niemiecki, nawiązywali kontakt z Niemcami i od nich z kantyna otrzymywali nawet chleb i o wiele szerszy asortyment innych artykułów. Trzeba wiedzieć, że wtedy w mieście w wolnej sprzedaży chleba nie było jedynie przydział na kartki. Z powyższych wypowiedzi nie należy sądzić, że Niemcy opływali w dostatkach, ale bezspornie mieli na tyle

znowniejsze warunki, iż śmierć głodowa raczej im nie zagrażała. Wracając na własne podwórko, w pracy żeby nie zimno i głód od biedy można było wytrzymać, bowiem nikt nie popędzał i miało się znaczny zakres swobody, najgorszą męczarnią było samo zdjęcie z pracy. Kilku godzinne stanie na dworze w kolumnie na chłodzie w oczekiwaniu dopóki eskorta sprawdzi stan i odnajdzie zagobionych, wyczerpywało do reszty, gdyż tam już nie było gdzie ogrzać, ani gdzie skryć przed lodowatym wiatrem.

W pierwszym dniu silnie przeżywałem, kiedy zobaczyłem na noszach osoby osłabłe w pracy, lecz po kilku dniach do takiego widoku przazwyczajłem się i nawet pogodziłem z myślą, że wkrótce czekała kolej na mnie.

Tak na prawdę to tamta przedostatnia podróż wyglądała urzędysty, Droga z fabryki do obozu prowadziła w dół, więc gdy się było na końcu kolumny widziało się jak na dłoni całą jej długość, wijącą w łukach, oświetloną odbłaskiem świateł z terenu fabrycznego i obozowego. Kolumna posuwała powoli, dostojnie tak jak kondukt żałobny, zachowując idealną ciszę, nad nią wystawały niesione na ramionach ciała lekko się kołysząc niży na spokojnej wodzie kład, wszystko razem stwarzało nastrój rzadko spotykanej powagi nie wymuszonej, lecz naturalnej.

Po kilku dniach bezowocnej pracy przy rozbijaniu fundamentów, kiedy na dworze trochę się ociepliło, zostałem przeniesiony do nowej: przy zalewaniu betonem fundamentów pod elektrownię lub kotłownię. Obok stał już gotowy fabryczny komin, a przy nim znajdował się głęboki wykop z szalunkami ścian, które polecono nam zalewać betonem. Pierwszy dzień upłynął na pracach przygotowawczych, ustawieniu i podłączeniu betoniarki oraz zapoznaniu się z przyległym terenem. Na drugi dzień mnie wyznaczono do wybierania kawałków papy z lanego betonu. Zanieczyszczenie betonu papą pochodziło z gruzu, który dostarczano ze zburzonych

budynków w mieście.

Naszą grupę betoniarzy i drugą cieśli zakładającą szalunki nadzorował Niemiec, ponieważ robotę cieśli zdążył on ocenić wcześniej, stąd całą uwagę poświęcał naszej, zwłaszcza na to czy dokładnie wybierałem papę oraz na skład betonowej masy. Po jednym dniu pracy, gdy doszedł do przekonania, że robotę wykonywaliśmy prawidłowo, warował całymi dniami na boku, do nikogo mnie nie odzywając się, ale swego posterunku nie opuszczał ani na chwilę. Na dole przy wylewanej masie pracowało nas dwóch, druga osoba rozgarniała i równała wylewany beton. Nowa praca dla mnie przypadła do gustu, nie wymagała fizycznego wysiłku, w wykopie było cieplej, zabezpieczając przed silnymi zimnymi jesiennymi wiatrami, prawdopodobnie w krótko adaptował do obozowego życia, gdyby na przeszkodzie nie stanęły czartowskie moce. Chyba w latach powojennych szatani przeżywali kryzys w swej djabełskiej pracy, bo czym innym można wytłumaczyć czepianie się umęczonego środowiska katorżniczego, ba i mieli kogo się czepić, takiego skoczonożnego muzułmanina nie wartego najmniejszego zachodu, ale oni widocznie mieli inne zdanie i wybrali moją osobę. Po kilku dniach względnie dobrej pracy na skutek szatańskich ^{sił} ~~moce~~ zaistniał pewien incydent, który dla mnie prześpieszył dalszy bieg wydarzeń.

Jak już wcześniej wspomniałem, w drugim wykopie przedzielonym od naszego szalunkiem, pracowało kilku mężczyzn / trzech lub czterech nie naszej brygady / przy szalowaniu wykopu. W danym dniu przynieśli oni do pracy swój przydział chleba w woreczku ~~z~~ i powiesili go u góry na gwoździu koło ^{drabiny} wiszący woreczek z chlebem pierwszy zauważył mój współpracownik i nie tylko zauważył, lecz i poddał propozycję, żeby go sprzątnąć. Początkowo nie wyraziłem na to zgody, ale już wystarczyło, że diabeł zaczął

kusić. Od tamtego momentu już nie zaznałem spokoju, ani myślaniami ani wzrokiem nie byłem w stanie oderwać się od woreczka, od czego tylko w ustach przybywało śliny. Współpracownik widząc moją rozterkę, nie przestawał judzić, przytaczał przekunujące argumenty, że zamiar się uda, że właścicielom nie stanie się wielka krzywda, bo jeśli chleba dotąd nie zjedli to jest dowodem, iż nie byli głodni, ponieważ korzystają z paczek, że taka okazja więcej się nie nadarzy itd. W końcu nie wytrzymałem i wyraziłem zgodę na dokonanie kradzieży. Może do kradzieży nie doszłoby, gdyby właściciele chleba o niego się trochę troszczyli, natomiast oni pozostawili go bez opieki, a sami znacznie oddalili i nie zwracali uwagi. Po przełamaniu skrupułów sama czynność była drobnostką. Nad zastanawianiem się zeszło nam ze dwie godziny. W końcu wybraliśmy taki moment, gdy nikogo nie było w pobliżu. Ja niby wychodząc z wykopu wspierłem się po drabinie do woreczka, zdjąłem go z gwoźdźca i rzuciłem współnikowi, on go natychmiast owinał papierem i przykrył w rogu betonem, operacja trwała nie dłużej jak dwie sekundy i było po wszystkim. Przez nikogo nie zauważony dla niepoznaki wyszedłem na zewnątrz, poczym z powrotem zszedłem na dół i jakby nic nie zaszło zaczęliśmy pracować. Przez następne kilka godzin wszystko było w najlepszym porządku, już nawet zaczęliśmy martwić, że papier rozmoknie i betonem przesiąknie chleb. Dopiero wówczas właściciele spostrzegli, iż im zginął i wszczęli poszukiwanie. Nas o to nawet nie podejrzewali, myśleli, że go sprzątnął ktoś przechodzący górą. Zawiadomili władze, na skutek czego zrobił się raban i wtedy wylazło sztychło z worka.

Nam się wydawało, że nikt tego nie widział, cośmy zrobili, a tak nie było? Naszą kradzież obserwował z wieży strażnik i nic nie mówił, dopóki nie narobiono szumu. Gdy do tego doszło, on wskazał sprawców i miejsce gdzie chleb został schowany.

W świetle takich faktów zostaliśmy wykryci i od razu wystawieni niby pod pręgierz. Zaprowadzono nas pod wieżę strażniczą, gdzie polecono nam stać na dużej skrzyni w rodzaju platformy od południa do wieczora. Jak na zamówienie pogoda w sam raz odpowiedziała do odprawiania pokuty za popełnione grzechy. Z rana w wykopie wydawała się nie najgorsza. Zasłonięci od wiatru i od czasu do czasu korzystając z ciepła ogniska nie mieliśmy powodów do narzekań, lecz po południu rozszalała się śnieżycą z zamiecią, ponadto na podwyższeniu wystawiony na działanie wiatru, momentalnie zdrętwiałem z zimna, a po dłuższym czasie zatraciłem czucie, śnieg przez kołnierz, nogawki i każdą szparę przedostawał się do ciała. Na początku próbowałem zasłaniać, otrzepywać i przebierać nogami, ale to wszystko nie wiele pomagało, w końcu dałem spokój, wtedy szybko zamieniłem się w bałwana obsypanego grubą warstwą śniegu, odtąd z niecierpliwością oczekiwałem zmroku.

I chociaż pod rubaszka byłem owinięty workiem po cemencie, mimo wszystko niewiele to chroniło przed przenikliwym zimnem. Czuję jak kostniałem, lecz nie miałem siły na skutek odrętwienia ruszyć, aby się rozgrzać. Był to jeden z najcięższych dni w obozowo-więziennym życiu: dokończak, głód, chłód i niesprzyjająca aura, a na dokładkę wpadłem w potrzask.

Kiedy wieczorem kazali ze skrzyni zejść, okazało się, że nie byłem w stanie tego polecenia wykonać, bo przez długie stanie na chłodzie stawy zastygły i nie mogłem ruszyć kończynami. Inni pomogli zejść z postamentu, wzięli pod rękę i tym sposobem doprowadzili do kolumny. W międzyczasie trochę się rozruszałem i dalej już o własnych siłach dowlókłem do obozu.

W k a r c e r z e

Po wkroczeniu na teren obozu nas natychmiast zaprowadzili do kacetu, który mieścił się na uboczu, w rogu blisko płotu, "budowa

on był z drzewa i obsypany w całości ziemią, bez otworów między okiennych, czyli znowu sądzono było wrócić w podziemia i naśladować żywot kreta. W środku składała się z kajutki dla profesora, z sionki i jednej średniej wielkości celi dla osób przetrzymywanych. Ciepło tam było jak w łaźni, zaś celi dla odbywających karę była napełniona powyżej swej pojemności, jakby ich upychano kolanem. Gdy się tam znalazłem pod wpływem ciepła zacząłem rozgrzewać na całym ciele i wtedy doznałem prawdziwej ulgi. Tak byłem wyczerpany zimnem i nieprzyjemnym zajęciem, że nie czekałem na zupę, co do której nie byłem pewny, czy mnie się należała, więc wcisnąłem w kąt kąt, który przypadkowo był wolny i natychmiast zasnąłem. Zbudziłem się rano zrezygnowany z życia i zobojętniały na wszystko, mnie nic nie obchodziło, co czekało, w przeciwieństwie do mnie mój współnik już wieczorem wywiedział skąd co nam groziło/i cholera wie skąd uzyskał miarodajne wiadomości i jakim sposobem/i przez całą noc sprawę przemyślał do głębi. Kiedy rano się obudziłem, on już na to czekał i bez wstępu przystąpił do rzeczy, wyłuszczając jak się nasza sprawa przedstawiała. Okazało się, że zostaniemy oddani pod sąd. Spólnik tym obrotem sprawy był przerażony, dostał pietra i dosłownie cały się trząsał. Prawda, że i miał powody do strachu. Pochodził z okolic Mińska, kilka kilometrów od obozu, wyrok miał stosunkowo niski chyba 5 lat, był w sile wieku i pobyt w obozie nie zostawił na nim żadnego śladu, z tego by wynikało, że otrzymywał pomoc z domu. Dla niego drugi wyrok byłby tragedią, bowiem groziło za grupową zorganizowaną kradzież od 15 do 25 lat i do tego mógłby być przerzucony na daleką północ. Na mnie te wiadomości nie zrobiły większego wrażenia, było mi wszystko jedno na ile zostanie skazany na 20, 100 lat, czy karę śmierci i tak byłem przygotowany, że w obozie nie przetrzymam kilka miesięcy nie mówiąc o

dotychczasowym wyroku i niewspominając o następnym. Ja nawet z zaisztalanej sytuacji byłem poniekąd zadowolony, gdyż wolałem dogorywać w ciepłe niż na zimnie w obozie. Obóz już wtedy przerodził się w panicznie.

Łatwo się domyślić, iż wspólnik zmierzał w rozmowie do jednego celu, abym całą winę wziął na siebie, więc usilnie przekonywałem, że tak byłoby lepiej dla nas obu, co było zgodnie z prawdą, bowiem wyrok za kradzież indywidualną zamykał się w granicach od 5 do 15 lat, a za zbiorową jak podałem wyżej. Początkowo brak mi współczucia, że miał liczną rodzinę i znajdował blisko domu, potem rozpoczął od strony narodowościowej twierdził, że był Polakiem i służył podczas wojny w Polskim Wojsku, co było też prawdą, jeżeli się nie mylę nazywał się Olechnowicz. Wprawdzie nie musiał on mnie aż tak mocno przekonywać i prosić, gdyż byłem zdecydowany winę wziąć na siebie, ale z kolei on chciał się upewnić, że dotrzymam danego słowa.

Przed obiadem zostaliśmy wezwani do zarządu obozu na przesłuchanie. Najpierw śledczy wywołał jego, a po nim mnie. Przesłuchanie trwało krótko przyjmowałem całą winę na siebie i nie wynajdywałem wykrętów. Śledczy wcale nie nalegał, abym obciążał współnika, chociaż na pewno był dobrze poinformowany, jak sprawa wyglądała naprawdę. Po przesłuchaniu mnie odprowadzili z powrotem do aresztu, ale mój wspólnik tam już nie wrócił. W rekordowym tempie został sporządzony drugi akt oskarżenia.

Odkąd zostałem zatrzymany w Gródku bez przerwy spadałem w dół, nie dość, że dotąd tylko pgrążałem się, to teraz począłem raptownie tonąć. Nigdy nie przypuszczałem o tym, że w momencie zamknięcia drzwi kacetu za mną, w moim nieszczególnym losie nastąpił przełom. Kiedy wydawało się, że znalazłem się w beznadziejnym położeniu, bez żadnych widoków, bym kiedykolwiek mógł się wygrzebać

z tego, dokąd zabrnąłem, jednak splot nieprzewidzianych okoliczności ułożył się korzystnie i wyszedłem ze wszystkich opresji cało. Jeszcze musiałem wiele przeżyć, wiele wycierpieć i doznać porażek, ale już podlegałem działaniu dwu sił: jedna usiłowała pogłębić, a druga wydźwignąć i ostatecznie ta druga zwyciężyła. A przecież w tamtych rozgrywkach byłem biernym obiektem, nie miałem możliwości decydowania o własnym losie. Trudno znaleźć odpowiedź, czy los wygrywa się na loterii, czy zależy od siły wyższej-opatrzości, lecz często się zdarza, gdy przyjdzie pasmo niepowodzeń, to nie ma im końca i z kolei, gdy passa sprzyja, to z najgorszych opresji da się wybrnąć? Warunki w kacecie były znosne bez porównanie lepsze niż na obozowym luzie, dlatego prawdopodobnie był on wypełniony po brzegi. W myśl ogólnych założeń karcer ma spełniać zadania karno-wychowawcze, tam było odwrotnie, gdzieś popełniono pomyłkę. Do celów karnych o wiele bardziej nadawały warunki uznawane w obozie za normalne. W kacecie gnębiły tylko dwie dolegliwości: jedną była plaga pluskw a drugą ciastnota. Takich istot żywych jak pluskwy dotąd nieznałem nawet nie miałem wyobrażenia jak one wyglądały, ale za to tak się mi dały we znaki, że na całe życie je zapamiętałem. Wobec pluskw byliśmy bezradni, dla rozrywki i z roz wścieczenia trąkliśmy je zapamiętane całymi dniami, a jednak ich nie ubawale. Prawda, że i miały gdzie się chronić, w szparach bierwion, w uszczelnieniach z mchu, pod deskami nieszczelnego sufitu, w sprękanych deskach przycz i w ogóle w drewnianym budynku różnych szpar nie brakowało. Pluskwy należą do jednych z najprzebieglejszych insektów, wystarczy na chwilę zaprzestać polowanie na nie, a zaraz szeregiem wyłażą na sufit i tam się zaczynają gromadzić w prostopadkiej linii, nad odkrytymi częściami ciała, na skutek zdolności odbierania z większych odległości promieniowania ciepła /skąd po chwili

spadają jak grad na ręce, uszy, twarz, za kołnierz, po czym rozkłada się pod ubraniem, po ciele bezlitośnie wysysając resztki krwi. W nocy było niemożliwością spać odkrytym. Jeżeli szczelnie nie zawinęło się, to nie zaznało spokoju. I tak o całkowitym zabezpieczeniu przed nimi nie było mowy, zawsze jakimś sposobem dobrały do skóry, więc nie pozostawało nic więcej jak cierpliwie znosić ten dopust Boży. Gdyby tam została jedna osoba, to chyba pluskwy zagryzłyby ją na śmierć. Może rozmożono je celowo aby uatrakcyjnić lokatorom pobyt. Tym sposobem doświadczyłem na sobie po głodzie, chłódzie i ciemni czwartej plagi-pluskw. Gdyby wypadło wybierać z pozwórnego zła wybrałbym ciemnię i pluskwy, zaś chłód i głód omijałbym z daleka.

Drugim łagodniejszym utrapieniem w kacecie było nadmierne zageszczenie, z tej przyczyny wynikały kłopoty ze spaniem. O ile w dzień pewna ilość osób opuszczała celę z różnych przyczyn przez co następowało rozluźnienie, natomiast na noc wszyscy byli zamknięci do pudła. Do snu nie można było się ułożyć dowolnie jak komu podobano, lecz wszyscy ~~narazem~~ jednocześnie wyłącznie na boku, przyciskając się ściśle jeden do drugiego. W rezultacie nie było mowy, aby ktoś kiedy zapragnął mógł się obrócić. Przewracali się kilka razy w nocy wszyscy jednocześnie na podaną komendę. W takich warunkach nawet podrapać się ~~nie~~ porządnie nie pozwalano, bo zaraz sąsiad z prawa czy lewa budził się i zaczynał burezać, a tego pluskwy nijak nie mogły zrozumieć, wręcz przeciwnie cieszyły się, że przedmiot zeru nie był w stanie przed nimi opędzać. Pierwsza noc dla nowicjusza z przewracaniem i drapaniem była bardzo długa i z utęsknieniem wyczekiwało się świtu, ale już na następną przystosowywało do stawianych wymogów. Oprócz wymienionych mankamentów na pozostałe warunki egzystencji nikt nie narzekał, co było w głównej mierze zasługą profesora.

Komu w życiu przydażyło korzystać z uskóg profesora dobrze wiedzQ
czym się odznacza jednostka pełniaca taką profesję, są dobierani
spśród tych, którym imponuje wyładowanie siły na podopiecznych i
z zadatkami sadyzmu, nie majace skrupułów. Nasz do takich/ w
zasadzie normalnych/ nie zaliczał się. Mało tego, żeby było
jeszcze śmieszniej na wolności był naczelnikiem NKWD w Głębokiem,
wyznaczony do likwidacji resztek podziemia. Do obozu trafił za
to, że pod czas pewnej akcji wpadł ze swą obstawą w ręce ludzi
leśnych, obstawa została zlikwidowana, zaś jego wypuszczono żywym.
Z powodu tego, że wyszedł cało przypisano mu współpracę z
podziemiem i z niedobitkami AK w pierwszych latach powojennych
w okolicach Głębokiego/ ze stawianego zarzutu i stryczka jakoś
zdołał się obronić, tym niemniej przekwalifikowano mu sprawę,
podciągnięto pod inny łagodniejszy paragraf i z niego zainkasowaQ
lo-letni wyrok. Gdy znalazł się w biedzie, na ratunek mu pospie-
-szyli koledzy po fachu, jednym z nich był naczelnik naszego
obozu w Krasnym Uroczyszczu. Aby nie doznał krzywdy, kolega go
ściągnął do siebie i przydzielił odpowiednią funkcję gwarantują-
-cą długolletni beztroski żywot i tym sposobem był naczelnik
NKWD został profesorem. Władzy swej nie nadużywał wręcz przeciwnie,
mając za sobą poparcie najważniejszej figury, pozwalał na daleko
idące odstępstwa od obowiązującego bardzo surowego regulaminu
w kacecie. Miał on kilka słabostek i pasji z którymi się nie
krył a mianowicie: lubił dużo gadać, grać w karty i grzać się
przy palącym piecyku, jednym słowem był miłym człowiekiem towar-
-rzeskim, napewno dlatego w areszcie utrzymywała się atmosfera
w pełni rodzinna, aczkolwiek w śród nas przebywała liczna grupa
gitowców, ale oni również zachowywali się poprawnie bez najmie-
-jszego zarzutu. Nie wątpliwie wszyscy rozumieli jak wiele zawdz-
-ięczali opiekunowi, natomiast w razie nieporozumień jedynie
mogło się skończyć bardzo źle.

4 wyglądu liczył trochę więcej niż 40..lat, był pulchny z brzusz-
-kiem, niskiego wzrostu, niżej powierzchowności, genetyczny inte-
-ligent, wszystkie oznaki wskazywały, że sam lubił dobrze żyć i
zjeść, czego również nie żałował innym.

Lokatorzy kacetu dzielili się na dwie podstawowe grupy: na tych
przeciwko, którym prowadzono śledztwo i tych, co odbywali wymierz-
-ną regulaminową karę. Jedna i druga grupa w założeniach miały
być traktowane odmiennie: inne normy wyżywieniowe, ponadto w ~~min~~
stosunku do osób pozostających w śledztwie oficer dochodzeniowy
miał prawo nakładać indywidualne kary według własnego pomysłu
rzekomo w interesie prowadzonej sprawy. Taką karę zlecał do
wykonania profesowi, którego zadaniem było polecenie wykonać.
Wyżywienie osób będących w śledztwie /jesli nie była nałożona
kara/ ze względu ~~min~~ na nieokreślony czas przebywania, regul-
minowo było takie jak podstawowe w obozie.

Odnosnie osób odbywających karę w kacecie podlegały one następ-
-jącym presjom: wymierzano oprócz długości odbywania kary-ilość
dni, jednocześnie ostre ograniczenia w wyżywieniu. w karcie
represjowanego było drobiazgowo wyliczono, jakie produkty i ~~w jakiej~~
ilościach oraz po wielu dniach mu się należały.

Nie wdając się w szczegóły podaję orientacyjnie normę wyżywien-
-iową dla tej kategorii ludzi, wynosiła ona 200g chleba dziennie
i wody do syta, oraz raz na dwa czy trzy dni zupę.

Aby być w zgodzie z obowiązującymi przepisami należało nas
posegregować, prowadzić buhalterię i trzymać w oddzielnych celach,
a ponieważ do tego nie było warunków i nieprzeciętnej indywidu-
-alności profesora, on wszystkie ogórne nakazy miał w dupie,
niwelował kary na wiele było jego stać, w rzeczywistości sprowadza-
je do ^{prawie} jednego poziomu. Jednym pociągnięciem upraszczał skompliko-
-wany ogórny system. I tak: ponieważ chleb był ściśle rozliczany
więc wydawał tylko tyle, ile się komu należało, natomiast zupy

nasz profos wszystkim wydawał po równo, dwa razy dziennie, lepszej i więcej niż otrzymywali pracujący. Najprawdopodobniej był lubiany przez kucharzy i miał znajomości oraz wyrobione chody, poza tym odbierał zupę na końcu, stąd była ona gęstsza i przy okazji zabierał zbywające resztki poza przydziałowe. O wyżywienie swoich podopiecznych troszczył się sam, brał z aresztu do pomocy dwóch ludzi i udawał się do kuchni i bez względu na stan osobowy aresztu 20.. czy 15.. ludzi nieodmiennie przynosił dwa pełne wiadra zupy, oraz ekstra dla siebie prawdopodobnie specjalnie gotowana dla obozowych dygnitarzy. W jego wkładaniu znajdowało się kilka porządnych wojskowych kociołków z których wyłącznie korzystano przy rozdzielaniu zupy, twierdził, że było tam nie odpowiednie miejsce aby kłaść ręce różnorakimi czerepami.

W rezultacie rozlewano sup^ę wszystkim po równo z sutą dolewką nie jednokrotnie przekraczającą regulaminowe 0,75 litra. W konsekwencji jakby nie było z elementu najbardziej opornego, nie zdyscyplinowanego ukształtował anielski chór, zachowywali się pokornie i ulegle jak barankowie, konflikty stały się pojęciem obcym. Tam po raz pierwszy zetknęłam się w życiu, gdzie był określał świadomość w pełnej krasie. Profos po nakarmieniu podopiecznych - opiecznych wystawiał czujkę, wyznaczał jednego do palenia w piecu i do noszenia drewna, wypuszczał z celi kumpli do kart, w wyniku czego następowało rozluźnienie. Siadali w jego klitce do stolika i razem grali, dopóki z zewnątrz ktoś nie przeszkodził albo do zapadnięcia zmroku, natomiast jego lokatorzy w międzyczasie oddawali się tępieniem plusk^W i pogaduszkami.

Był człowiekiem pod każdym względem taktownym, za doznane krzywdy ze strony narodowości polskiej można było oczekiwać, że do Polaków będzie odnosił się wrogo, lub przynajmniej nie

przychylnie, w śród przetrzymywanych stanowili oni połowę, jednak podczas mojej bytności nigdy nie dał poznać po swoim zachowaniu, iż do Polaków czuł urazy. Za krótko przebywałem w karczerze, aby przedstawiona pozytywna ocena profosa była bez skazy, kto wie czy ten kryształ nie miał i drugiego oblicza, z powodzeniem mógł być konfidentem współpracujący z obozowymi organami bezpieczeństwa. Jeśli nawet założymy taką ewentualność i przyjmujemy, że przyczynił się do wystawienia pewnej ilości "wilczych biletów" to przynajmniej czynił taką powinność w formie kulturalnej w zgodzie z nadchodzącym duchem czasu. Odnośnie wystawionej charakterystyki dla jego osoby mogłem się przekonać, że nie odbiegała od prawdy, bowiem po 30.. z górą latach przez przypadek spotkałem się z osobnikiem, tym który wówczas darował mu życie i nasze oceny z grubsza pokrywały. Ów osobnik za swoje czyny znane i nieznane długo, długo pokutował w łagrach, lecz miał szczęście, gdyż doczekał odpowiednich lat i znalazł się w Polsce. Na marginesie wypada podkreślić, jak mały jest świat, zupełnie obcych sobie trzech jednostek, których losy bieżą odrębnymi torami a jednak w pewnych okolicznościach ich drogi życiowe zbiegają i na moment krzyżują.

Z powyższej charakterystyki warunków bytowych w karczerach można wyciągnąć dwa mylne wnioski: pierwszy, że w kacetach na profesów dobierano porządnych ludzi i drugi, że przetrzymywane tam ludzi traktowano humanitarnie. Otóż byłoby to zupełnie fałszywe zdanie, ponieważ został pokazany skrajnie pozytywny przypadek należący do bardzo nie licznych wyjątków, gdzie nie przestrzegano odgórnym instrukcji, ale ten przykład jednocześnie świadczy, że w tego rodzaju mini zakładach karnych było dopuszczalne istnienia w całej okazałości bezprawia. Właśnie w nich najczęściej nadużywano bezkarnie władzy, polegające na stosowaniu

przemocy i różnego rodzaju represji, stąd tego typu zakłady słynęły ze złej sławy. Niestety, tego typu negatywnie skrajne karcery na pewno były w zdecydowanej większości.

Wracając do zasadniczej treści, jak już wspomniałem nasz opiekun w dzień zajęty był grą w karty, zaś przed wieczorem popadał w znużenie i przerywał hazardową zabawę. Wieczorem rozpoczynał się cykl popisów krasomówczych. Mieliśmy dwóch bez mała etatowych mówców, jednym był profos, a drugim w starszym wieku Polak, były oficer carski i legionista. On miał dar i potrafił ciekawie opowiadać umiejętnie ubarwiając niektóre epizody ze swej bogatej przeszłości, z okresu pierwszej wojny światowej. W początkowym okresie był on wtedy oficerem carskiej armii, poza tem brał czynny udział w Kolskim ruchu niepodległościowym w tzw. PW-11. W pamięci utkwiała jedna jego relacja dotycząca udanej akcji na skarbiec państwowy przechowywany w pewnym banku. W połowie 1917 roku Rząd Tymczasowy zlecił jego oddziałowi przetransportowania z Petersburga do Moskwy i tam zabezpieczenia jednego ze skarbców ze względu na niepewną sytuację w Petersburgu. Cenny ładunek umieścili w wyznaczonym banku, natomiast załoga zorganizowała jego ochronę. Na straży powierzonych mienia zastała ich rewolucja bolszewicka. Zwycięzcy potraktowali ich ugodowo, pozostawili na dotychczasowych posterunkach po nie wielkiej reorganizacji. W następnym miesiącu nowa władza radziecka, trochę uszczyknęła z tamtych rezerw na niezbędne potrzeby, natomiast resztą zaopiekował się powstały spisek, w który był wtajemniczony i mój narator. Latem 1918 roku bez użycia siły i żadnej brawury, podstępem po cichu spiskowcy opróżnili skarbiec ze złota i przerzucili w rejon Wilna, gdzie został ukryty do nastania lepszych czasów. Ochrona jeszcze przez dłuższy czas strzegła pustych kas, zaś po odkryciu braków nie mogła znaleźć

sprawców, gdyż po nich nie pozostało żadnych śladów. Przyznawał się, że był jednym ze współorganizatorów tamtej akcji. Ile w tym było prawdy nie jest takie ważne. Z kolei na zadawane pytanie, za co dostał się do obozu zbywał wytkniętami, co świadczyło, że jego sprawa o charakterze politycznym w czasie rozprawy nie została wyjaśniona do końca, dlatego wolał do niej nie powracać, bo w razie przejrzyczenia czy drobnego potknięcia groziło ponowne dochodzenie. Z natury należał do osób ostrożnych czego nie wątpliwie nauczyło życie, stąd również nie przyznawał się, za co go prokurator wsadził do areszt i wytoczył śledztwo, ale tu już lekko przesadzał, bowiem za co trafił większość lokatorów kacerki wiedziała dokładnie. Pracował w obozowym biurze jako tak zwany szcztawod, zajmował się rozliczaniem pracy i uczestniczył przy ustalaniu norm. Ciążył na nim zarzut, że fikcyjnie dopisywał ilość prac y lub obniżał normy i przeważnie tylko Polakom. W rezultacie został postawiony w stan oskarżenia za naruszenie dwóch artykułów: jeden za narażenie na straty materialne z powodu rozchodów większych ilości chleba niż należało, a drugi dokładnie nie wiem jak brzmiał, ale nawiązywał do szpinizmu. Wobec powyższego zapowiadało się mu na dłuższe dokarmiania pluskw.

Z innych postawionych w stan oskarżenia zapamiętałem jednego za nie wykonanie polecenia wydanego przez funkcjonariusza obozowego dwóch za uchylania się od pracy, oraz za próbę ucieczki tj Wilnianina, o którym już wspominałem wcześniej, reszta odbywała kary za różne przewinienia. Na uwagę z grupy drugiej zasługiwał jeden więzień, który podpadł tym, że chodził na noc spać do kobiet. Przedostanie się do części obozu żeńskiego nie było sprawą łatwą, ale i niebardzo trudną, bowiem w prawdzie był on oddzielony drutami, lecz płot nie był pilnowany przez strażnika. Więc zrobił on w płocie dziurę i wieczorem po ciemku przedostawał

się cichcem do kobiet, zanim nie został przyłapany, a ściślej wsypany przez złośliwe zazdrośnice. Należał do ludzi z charakterem, miał wyrobiony pogląd na swe postępowanie, twierdził, iż woli harować przy męskiej pracy niż na budowie.³ Całą świadomością zdawał sprawę, że praca i jedna i druga doprowadzi do stanu wycieńczenia, czego w obozie nie da się uniknąć dla takich jak on niek otrzymujący pomocy zewnątrz, ale przy obsłudze kobiet miał tę satysfakcję, że sprawiał im i sobie przyjemność i do tego od czasu do czasu za świadczone usługi dostawał coś do zjedzenia.⁴ Apowiadał, że jak tylko zostanie wypuszczony z ka kacetu, znowu pójdzie spać do kobiet i dotąd będzie to czynił aż zabraknie sił. Według jego słów, w baraku kobiecym miał bardzo duże wzięcie takie: że nigdy nie mógł sprostać zapotrzebowaniu. Nie należy tych jego słów brać za przechwałkę, za wiele nie przesadzał?, gdyż wówczas istniała w tej materii specyficzna sytuacja a mianowicie: w tamtych latach władze radzieckie wprowadziły w życie nowe zarządzenie dotyczących kobiet przebywających w zakładach karnych w myśl którego kobiety ciężarne bez względu na wysokość wyroku były wypuszczane na wolność. Z powyższego faktu nie należy wyciągać mylnych wniosków i sądzić, że kobiety tak jak kury przed kogutem kładły się przed mężczyznami, bo po pierwsze je izolowano i tylko w wyjątkowych przypadkach zatrudniano razem, po drugie życie intymne jest bardziej złożone i nie ogranicza się jedynie do samego seksu, dlatego tych spraw nie powinno pochopnie generalizować. Oczywiście, tak jak w każdym zbiorowisku, również w obozach zdarzały się wypadki odchylenia od normy, ale nie było to regułą. Poruszyłem ten problem na marginesie, natomiast co się tyczy powyższego zarządzenia, to miało ono sens głębszy. Władzom radzieckim zależało na podtrzymaniu stanu liczebnego

narodu, zaś w zakładach karnych i obozach nie mogli zapewnić warunków do odchowania niemowląt. W pierwszych dwu latach po wkroczeniu wojsk radzieckich, gdy jeszcze nie obowiązywała omawiana ustawa, te matki, co zostały osadzone w zakładach karnych z małymi dziećmi, przeważnie je utraciły. Potem po wprowadzeniu zarządzenia w życie również w wielu wypadkach umiejętnie je omijano, gdy zależało na aresztowaniu matki, dziecko pod przymusem oddawano komuś pod opiekę.

Aczkolwiek w kacecie przebywałem tylko pięć dni, a w obozie przeszło piętnaście, lecz z karceru pozostało w pamięci kilka osób, natomiast z obozu nikt. Powyższy fakt oznacza, iż w obozie był duży natłok zdarzeń i dlatego zabrakło czasu i miejsca na zbliznienia do ludzi, inaczej nie zdążyłem jeszcze zaaklimatyzować się.

W drugim dniu lub trzecim pobytu w areszcie /przypadało to w niedzielę, niestety nie pamiętam, w którym miesiącu w końcu listopada czy na początku grudnia/ zorganizowano wymarsz do Łaźni. Z tego tytułu dla wszystkich skazanych był dzień wolny od pracy. Łaźnia mieściła się na terenie fabrycznym, z jednej strony przylegała do drutów fabrycznych a z drugiej do obozu rekonwalescentów, zaś z pozostałych boków przebiegała droga. Łaźnia w koło była ogradzona płotem z drutu kolczastego.

Gdy profos zawiadomił, byśmy szykować się do Łaźni, wszyscy tą wiadomością przyjęli radośnie w nadziei, że przy tej okazji przynajmniej wytępi część pluskw. W międzyczasie, kiedy czekaliśmy na wyprowadzenie, przybiegł goniec z głównej wartowni z wiadomością, że przyjechała do mnie osoba z rodziny. Odrazu podskoczyłem z radości, ale po chwili zastanowienia radość minęła i zamieniła się w rozterkę. Nie wiedziałem, jak miałem postąpić z jednej strony występowała nie przeparta chęć do zobaczenia się z bliską osobą, zaś z drugiej wstydziłem pokazać na oczy w takim

stanie. Tam nie tylko chodziło o wstyd, lecz o nieprzysparzanie rodzinie smutku. Po dłuższych rozważaniach za i przeciw postanowiłem nie pokazywać się. Żeby nie czekająca droga do kaźni taki zamiar z łatwością można było wykonać, bowiem paczki z żywnością odbierało się po sprawdzeniu na wartowni, a nie bezpośrednio od osoby dostarczającej i w takim wypadku nie musiało dojść do widzenia. Na oficjalne widzenie należało wyrabiać specjalne zezwolenie nie chętnie udzielanego. I tego w zasadzie nie praktykowano, bo jeśli odwiedzany był w pracy to i tak zezwolenia nie dostało, natomiast nieoficjalnie można było porozmawiać przez płot, oczywiście, jeżeli się odnalazło poszukiwaną osobę. Wówczas zaistniała wyjątkowa okazja do spotkania się na drodze prowadzącej do kaźni, gdzie byłem pewny, że będą oczekiwać przyjezdni, ponieważ wiadomość o przemarszu musiała do nich dotrzeć. Dla mnie tak sytuacja wcale nie odpowiadała, wolałem pozostać na miejscu w obozie i nie pokazywać się, ale swą wolę można narzucać w domu, natomiast w zakładzie karnym trzeba było robić, co kazali, więc naniem nic innego nie pozostawało, jak ustawić się w kolumnie i iść razem ze wszystkimi. Wyprowadzono nas około godziny jedenastej, gdy zbliżaliśmy się do bramy z daleka rozpoznałem w stojącym tłumie kobiet ciotkę Helenkę, za czasu zmieniłem miejsce w czwórce, aby się znaleźć po przeciwnej stronie od niej. Nim się zbliżyłem do niej większość kobiet rozciągnęła wzdłuż kolumny trzymając się bliskich sobie osób, ciotka i kilka innych pozostały w miejscu pilnie lustrując przechodzących, przeszedłem obok niej nie zauważony, oczywiście nie patrzyłem w jej stronę. Obejrzałem się do tyłu gdy, ją minęłam i trochę oddaliłem, ona w tym czasie omijała koniec kolumny i przechodziła na drugą stronę, wówczas ponownie zmieniłem miejsce w czwórce. Z kolei ciotka po chwili zrównała się z moją

czwórka i tak szła obok w odległości pięciu kroków jak przykutą przez większość drogi nie rozpoznając mnie. Dopiero kiedy czoło kolumny zbliżyła się do fabrycznej bramy, ciotka przyspieszyła kroku wysforowała do przodu, zajęła miejsce przy bramie i tam ponownie zaczęła lustrować wszystkich przechodzących po kolei. Przy bramie znowu przeszedłem niedostrzeżony już byłem całkowicie pewnym, że się udało i nie dojdzie do spotkania, ale się przeliczyłem. Ciotka należała do osób upartych nie poddających się. Po dojściu do żaźni połowa kolumny wpuścili do środka, a druga część w której się znajdowałem, pozostała na zewnątrz. Pogoda w tym dniu była znośna, na krótko ukazało się blade słońce, zaszedłem z drugiej strony żaźni, oparłem się o ścianę i popadłem w zamyślenie, bowiem z powodu uników było mi ciężko w duszy i nieswojo. Moment mojej nieuwagi wykorzystwała ciotka i wreszcie mnie dopadła. Nagle usłyszałem, że mnie woła! Ocknąłem się i zażenowany zbliżyłem się do płotu, czułem się winnym unikania spotkania, czym dla niej sporo kłopotów i naraziłem na znaczny wysiłek fizyczny, bowiem kiedy my weszliśmy na teren fabryczny ciotka nie dała za wygrane, gdyż w międzyczasie obeszła wertepami ogrodzenie fabryczne i wyszła na drogę po przeciwnej stronie. Zanim zrobiła te półkole musiała pokonać kilka kilometrów drogi. Nasze powitanie na szczęście odbyło się bez wielkiej czułości, obawiałem się, że gdy mnie zobaczy, uderzy w lament, ciotka jednak trzymała się dzielnie, udawała, że nic nadzwyczajnego nie nastąpiło. Ta jej postawa sprawiła dla mnie przyjemność i podtrzymała na duchu, mimo wszystko rozmowa nam się nie kleiła, tak na prawdę to niewiadomo było, od czego zacząć. Po pierwszej zdawkowej wymianie zdań ciotka zaskoczyła pytaniem gdzie się podziała moja odzież, na oczekaniu zmyśliłem, że wyniłem za jedzenie i aby oderwać się drażliwego dla mnie tematu, zacząłem ją wypytywać, co słychać w domu, odpowiedziała, że wszystko było w najlepszym

porządku/gdy w rzeczywistości było bardzo źle/.Z kolei ja starałem ja przekonać, że mnie powodziło się jeszcze nie najgorzej i, że da się wytrzymać. W ten sposób nawzajem okłamywaliśmy się, bo faktycznie inaczej nie można było postąpić? Prawda była wyraźnie wypisana na innej i mojej twarzy, a nim się zetknęli ciotka miała wystarczającą ilość czasu do jej odczytania, zaś do tego nie potrzeba było nadaremnie dobierać wyszukanych słów, by zrozumieć rzeczywistość, w której się znalazłem. Męcząca rozmowa z powodu zatajania faktów została przerwana przez polecenie eskorty nakazującej udanie się do łóżka.

Po ściągnięciu odzieży i rozebraniu się do naga mimowoli dokonałem niemiłego odkrycia, bowiem okazało się, że ciało gdzieś przepadło, natomiast pozostały same patyki, brzuch spoza parkanu żebër z trudem można było dojrzeć, gdzieś głęboko przy grzbiecie widniał jedynie płat skóry, tak się swym widokiem przestraszyłem iż bałem się energiczniej poruszać w obawie, aby trzymające się narazie kupy te patyki nie rozpadły.

Na pocieszenie takich zjaw ujrzałem więcej i to uspokoiło a zarazem dodało odwagi, ale takie pocieszenie nie zmieniało postaw niczym postaci rzeczy. Stwierdziłem, że stałem się "nastojaszczym dochadiahą". Ten proces któremu podlegałem od kilku miesięcy dobiegał końca, dochodziłem mimo wewnętrznych oporów do pełnej dojrzałości. Może się wydawać mało prawdopodobne, abym nie znał dokładnie własnego stanu ciała? Otóż w tym co powiedziałem nie było odrobiny przesady. W celu przekonania posłużę się takim przykładem-co może powiedzieć chory człowiek, jak wyglądają zbolące organy wewnętrzne najwyżej wskaże, gdzie coś mu dolega, a resztę jeśli zna anatomie może wyobrazić o zaszłych zmianach. Podobnie wyglądała sytuacja w moim przypadku, ogólnie wiedziałem, że byłem wyschnięty, ale co się skrywało pod kachmanami skąd mogłem wiedzieć? Bowiem prawie przez trzy miesiące gdy byłem

w kaźni w Wołkowysku wcale nie rozbierałem się nie tylko do naga ale i zwierzchniej odzieży, najwyżej na noc zdejmowałem płaszcz do przykrycia się, stąd ten obraz utrzymywał się w pamięci. Jeszcze w Wołkowysku nie wyglądałem najgorzej, mimo wychudzenia byłem pokryty trochę ciałem, natomiast stan, który zobaczyłem dostarczał bolesnego dowodu jak w międzyczasie posunął się daleko proces dystrofii, o czym dotąd nie zdawałem sprawy. Iż tak duże niekorzystne zaszczyły zmiany. Wtedy na codzień nie przywiązywałem znaczenia do stanu ciała, być może z powodu młodego wieku takie zainteresowania schodziły na plan dalszy, ale najważniejsze nie było kiedy zaprzętać sobie tym myśli, ponieważ gnębiło wiele ważniejszych spraw. W pierwszym rządzie myśli były nastawione na jak zaspokojć głód i zabezpieczyć się przed chłodem, podobnie gdy się trafiło do obozu, w dzień nie było kiedy zastanawiać i rozczulać nad sobą, gdyż wydarzeniom, z którymi stykałem po raz pierwszy nie było końca, natomiast krótkie noce ledwie starczały na sen, który zawsze miałem mocny i dlatego, nie marnotrawiłem go na rozpamiętywanie.

W kaźni, w drzwiach prowadzących z rozbieralni do natrysków stała grupa lekarzy i selekcyjonowali przechodzących, jednych przepuszczali nie zatrzymując, natomiast innym kazali podawać nazwiska, a niektórych między innymi i mnie obmacywali i również zapisywali nazwiska. W moim przypadku lekarz tylko uchwycił za skórę na pośladku odciągnął ją i puścił i na tym kończyło się badanie. Co chodziło tego nie wiedziałem, dopiero po powrocie z kaźni wyjaśnili mi na czym rzecz polegała współklokatorzy. Okazało się, iż wybierano kandydatów na tak zwane "UP" to znaczy upaźnitelny pajok, a krócej i zwięźle typowali do remontu. Wytypowane osoby przenoszono do sąsiedniego obozu mieszczącego obok kaźni, tam wydawano trochę większe racje żywnościowe, oraz

na czas rekonwalescencji nie brano do pracy/szerzej na ten temat i panujących tam warunków opiszę w dalszej części pracy/ Przy zasiąganiu informacji dowiedziałem się rzeczy dla mnie przykrej. Otóż byłem ciekawy poco mnie lekarz obmacywał, z wyjaśnienia jakie otrzymałem wynikało, że nie był pewny gdzie mnie zakwalifikować do żywych czy umarłych, bowiem na UP-e wybierali tylko takie osoby, które rokowały szybką poprawę. Czyli zadaniem tamtego ośrodka przywracanie zdolności do pracy a nie ratowanie ludzkiego życia. Po dokonanej klasyfikacji pozostawało czekać do której kategorii zostałem zaliczony, jeśli zabraliby do specjalistycznego obozu to wszystko w porządku, a jeśli tak by nie było, to oznaczało koniec, że zostałem spisany na straty. Ponieważ w tym przypadku te sprawy nie wchodziły w rachubę z powodu czekającego mnie przerwania do więzienia, więc tym problemem przestałem się interesować.

Muszę się przyznać, że tamta niedziela należała pod względem duchowym do jednej z najcięższych, czułem się wewnętrznie rozbity i nie mogłem w żaden sposób odzyskać równowagi, nawet nie cieszyła otrzymana poczka. Po powrocie z łaźni odebrałem ją z wartowni, była duża około 20kg, składała się przeważnie z sucharów z chleba. Zdałem ją do "kapiorki" przedtem napełniłem kieszenie różnymi produktami i z tym wróciłem do aresztu. Współmieszkańcy doradzali, co miałem jeść i ile, aby nie zaszkodziło, w szczególności ostrzegali przed spożywaniem tłuszczów. Skorzystałem z udzielanych rad rozmoczyłem w pół kociołka wody osłodzonej miodem suchary i za jednym zasiadem wszystko zjadłem. Resztę produktów profos polecił dać mu na przechowanie, nie dlatego aby nie zginęły, lecz po to, aby zapobiec przedjedzeniu się, do czego niewątpliwie doszłoby.

Upłynęło cztery dni od silnego przemarzenia, byłem przygo-

-towany, że się rozchoruję, a tu nie, nie wystąpiły żadne objawy chorobowe nawet katar. We wtorek rano polecono mnie zbierać się do przerzutki, muszę przyznać, że z żalem rozstawałem z kacetowymi lokatorami i pluskwami, pomimo tej udręki czułem się tam dobrze. Po odebraniu paczki zostałem zaprowadzony do punktu sanitarnego w celu dopełnienia kilku niezbędnych formalności takich jak: usunięcie zarostu, dyzjenfekcja odzieży z insektów, wystawienie zaświadczenia, że nie było się nosicielem chorób zakaźnych oraz ocena ogólnego wyglądu. Tych wymogów więcej stawiano niż do ślubu. Zakład wysyłający, aby uniknąć zwrotu osoby przekazywanej, musiał te warunki spełniać. Kiedy lekarz czy sanitariusz, wystawiając zaświadczenie przy wypełnianiu danych osobowych personalnych, gdy zorientował się, że byłem Polakiem zaczął ubolewać nad losem, który mnie spotkał. Z nutą żalu w głosie i zarazem pretensją zapytywał, dlaczego w ciężkich dniach nie zwróciłem się o pomoc do "nich", tak jakbym byłem temu winny, że nie potrafiłem odczytać właściwego szyldu. Słuchałem w milczeniu jego wywodów, nie przerywałem w przedstawianiu racji, ale on się zagłupował trochę za daleko, bowiem wyrażał swoje zdanie nie wnikając w moje położenie. Doskonale wiedziałem, co oznaczało słowo do "nich", ale to nie był żaden szyld. Jeśli nieśli pomoc to odbywało pokryjono bez rozgłosu, więc musiała mnie wprowadzić w zorganizowane środowisko Polskie zaufana osoba, tymczasem ją jeszcze nie zdążyłem zawrzeć żadnych znajomości, obracałem się wśród nowo przybyłych, aczkolwiek między nimi znajdowali się Polacy, ale oni również tak samo byli zdezerientowani jak i ja. Najprawdopodobniej moja pierwsza próba nawiązania znajomości z zaklimatyzowanymi rodakami kończyła się na "podpyleniu" im chleba i dalszymi perypetiami. Wobec tego co miałem robić? Wyjść na plac apelowy i krzyczyć, że jestem potrzebującym pomocy

Polakiem. O solidarności wschodnich Polaków mnie nie musiał przypominać, gdyż tego sam byłem pewny. Tę właściwość każdy posiadał we krwi, wynikała ona z kilku wiekowej tradycji. Cała rzecz sprowadzała się do tego, że zabrakło czasu na wejście w porozumienie. W tłumie Polacy niczym się nie wyróżniali, przeważnie biegle władali językiem rosyjskim, na ogół lepiej od innych narodowości radzieckich i po tym nie można było rozpoznać, natomiast z mową Polską zdradzali na osobności, wtedy, kiedy byli pewnym, że się ma do czynienia z Polakiem.

Wykład umaralnający trwał krótko, bo i formalności wyżytkowych było nie wiele. Po załatwieniu ich pod eskortą jednego strażnika w godzinach przedpołudniowych udaliśmy się pieszo do początkowego przystanku tranwajowego. Z obozem rozstawałem się bez odrobiny sentymentu, raczej była to ucieczka z czeluści piekła.

Niestety, pierwsza próba odrobku sa wikt i opieszunek nie powiodła się, moja praca nie przyniosła pożytku nawet przysiówowego złamanego grosza, zmarnowałem kilkanaście kilogramów socjalistycznego chleba nadaremnie i nic nie pomogło poświęcenie złożone z własnego ciała. Z takimi ludźmi komunizm można było budować do końca świata i nie ruszyłby on z miejsca, taki był bilans na półmetku szkoleniowej kuracji.

W tramwaju przez nas ~~nie było nikogo~~ i konduktorki nie było nikogo. Po ruszeniu tramwaju przysłała ona ~~innam~~ do nas i usiadła ~~naprzeciw~~ naprzeciw, siedziała dłuższy czas w milczeniu i patrzyła na mnie jak na jakiegoś raroga, co oddziaływała denerwująco. W pewnym momencie przemówiła do konwojenta - co wy tam za drutami wyprawiacie z ludźmi, takie owakie syny. Konwojent tym niecenzuralnym zwrotem wcale się nie przejął i ze spokojem odparł - kogo się czepiasz niby ja jestem temu winien. Rozmowa się urwała ponieważ na przystanku gdy się tramwaj zatrzymał, zaczęli

wsiadać pasażerowie. Resztę drogi do więzienia przebyliśmy bez istotniejszych przeszkód.

W m i n s k i m w i e z i e n i u

Wracając szybko do więzienia z o wiele bogatszym doświadczeniem. Udażyłem już poznać, co oznaczał obóz, pozbyłem się raz na zawsze ciągot do niego, miałem dość ruchu na świeżym powietrzu i większą swobody. Wprawdzie w obozie przebywałem zaledwie kilka tygodni, ale ten krótki okres w zupełności wystarczał do obrzydzenia mi życia. Do więzienia nie miałem poważniejszego uprzedzenia i strachu bowiem wracałem na przetarty znany szlak, lecz nauczony wcześniejszymi doświadczeniami obawiałem się nieprzewidzianych niespodzianek.

Z zewnątrz więzienie w Minsku /te większe, było i drugie mniejsze) nie wyglądało zbyt groźnie. Architektonicznie było zbliżone do Wołkowyskiego, jedynie o większej kubaturze. Podczas przyjęcia oznajmiono, że na okres dwu tygodni zostaną skierowani do celi przeznaczonej na kwarantannę. Nie wiem do dziś na czym tamta kwarantanna miała polegać, gdyż warunki higieniczne i bytowe były takie same jak i w innych celach. Wreszcie nie moją sprawą było dochodzić, co to był za twór i do czego służył. Ważniejsze, że zostałem przyjęty i nie musiałem wracać z powrotem do obozu. W celi mnie przyjęto bez żadnej ceremonii, widocznie po odzieży i fizjonomii z odległości wyglądałem na prawdziwego łagrowicza z dłuższą przeszłością a nie jakiegoś początkującego więźnia przestępującego próg zakładu karnego.

Cela była długa, lecz wąska, pod jedną ścianą stały piętrowe prycze, które wypełniały prawie całą powierzchnię, tylko pozostawała wolne wąskie przejście przy drugiej ścianie. Ku memu zdziwieniu na pryczach leżały sienniki wypchane trocinami. Wyznaczono mi miejsce w końcu celi na górnej pryczy. Wdrapałem

się na nią, przewitałem z sąsiadami, schowałem worek z żywnością pod siennik i wyciągnąłem się z wielką przyjemnością na miłkkim posłaniu po raz pierwszy od pięciu miesięcy. Na nowym miejscu po krótko trwałym oswojeniu, zacząłem dokładnie taksować współlokatorów w najbliższym zasięgu. W porównaniu z Wołkowyskiem na pierwszy rzut oka uwidoczniła się w ludziach większa nędza. Niby to i metropolia, ale na ludziach widoczne było wyraźnie piętno długotrwałej władzy radzieckiej. Nie spotkałem ani jednej osoby zdrowej-czerstwej, jakich w Wołkowysku było wielu, prawie wszyscy byli przywiędnięci i niedożywieni, w tym znajdowało kilku muzulmanów podobnych do mnie. Wyczuwało się na odległość, że tantsza gleba ludziom nie sprzyjała. Prawda, że jak się później okazało w więzieniu była liczna grupa ludzi z obozów, ale i ci, co trafili z wolności wyglądali, niewiele lepiej. Moim sąsiadem z jednej strony był młody żydek, uczeń średniej szkoły, wykazywał on pewne skłonności ku gitowcom, lecz nie na tyle, żeby komuś wyrządzać krzywdę, odznaczał się miłą powierzchownością i dobrym ubiorem. Drugiej strony zajmował miejsce starszy, schorowany człowiek o nazwisku Minkiewicz. W tym miejscu na marginesie przyda się krótkie wyjaśnienie? Otóż ludzie z Mińska i najbliższych okolic w zdecydowanej większości nosili nazwiska o brzmieniu polskim i to nie był żaden przypadek, bo w nie tak odległych czasach Mińsk był w dużym stopniu spolonizowany. Jeszcze za ostatniego cara, kiedy panował ucisk narodowościowy było kilka średnich szkół polskich i wychodziło parę czasopism w języku polskim, zaś kościołów było dwukrotnie więcej niż cerkiew. Natomiast gdy nastąpiła wolność, te ośrodki kultury polskiej zostały zlikwidowane. Pierwsze 30-lecie lat wolności zrobiły więcej niż 150 lat ucisku. Kim naprawdę czuli się ci ludzie-wprost nie wypadało pytać, a z powierzchownych obserwacji wynikało, że raczej porządnie